

58009

I

*Porriett 2008/I.*

1889. XII. 59.



Tramea X 2.  
Ossunowski.



WYCHOWANIEC  
N A T U R Y

Z FRANCUSKIEGO  
PRZETŁUMACZONY

---

CZĘŚĆ PIERWSZA

---



W SUPRASŁU

1785

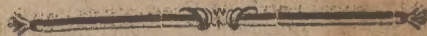


58009-1



# WYCHOWANIEC NATURY DO PODOLANKI.

*W tymże stanie natury wychowaney.*



Przypadki w równym nas stanie pozostały, które tym naturalnicysze zdają się być Czytelnikowi, im szczególniej z źródła natury są wyczerpane. Gdym czytał historią Fej wychowania, o mało com nie pomyślał, o iakomże szczęśliwy! znalazłem wychowanicę natury, sądząc, że to sam tylko na Świecie temu losowi był poddany; ale kiedym spóyrzał w wyznanie W. Mśc. Pani, iż pisząc o sobie, wiele myśli brałaś z iednego bezimiennego Autora, wpadłem w te sprawiedliwe iwniesienie;



( \* \* )

iż nie znaydę w niej stanu natury, a  
któraś zbierała potym myśli cudze,  
niepodobna żebyś one pierwiey  
praktykowała. O moich zapewnić  
mogę W. Mśc Panią, że nie więcey  
z nich pisał, iak tylko te, których  
doświadczałem, i nie radziłem się żadnych  
Autorów, prócz natury, która nay-  
obfitszym iest źródłem myślenia i  
prawidłem niewinnych postępków.

Pierwsze Jey wyobrażenia poczy-  
nały się od smrodu, i nie dziwuję się,  
że myśł to iest w iey płci nad inne  
czulszy, nie dziwować się też, iż on zale-  
ciał Sandomierzanke i Paryżankę, a co  
było przyczyną kłótni po między W.  
Mśc. Panią i niemi; moje są daleko  
inne, a przeto nie spodziewam się  
tych skutków dla siebie.

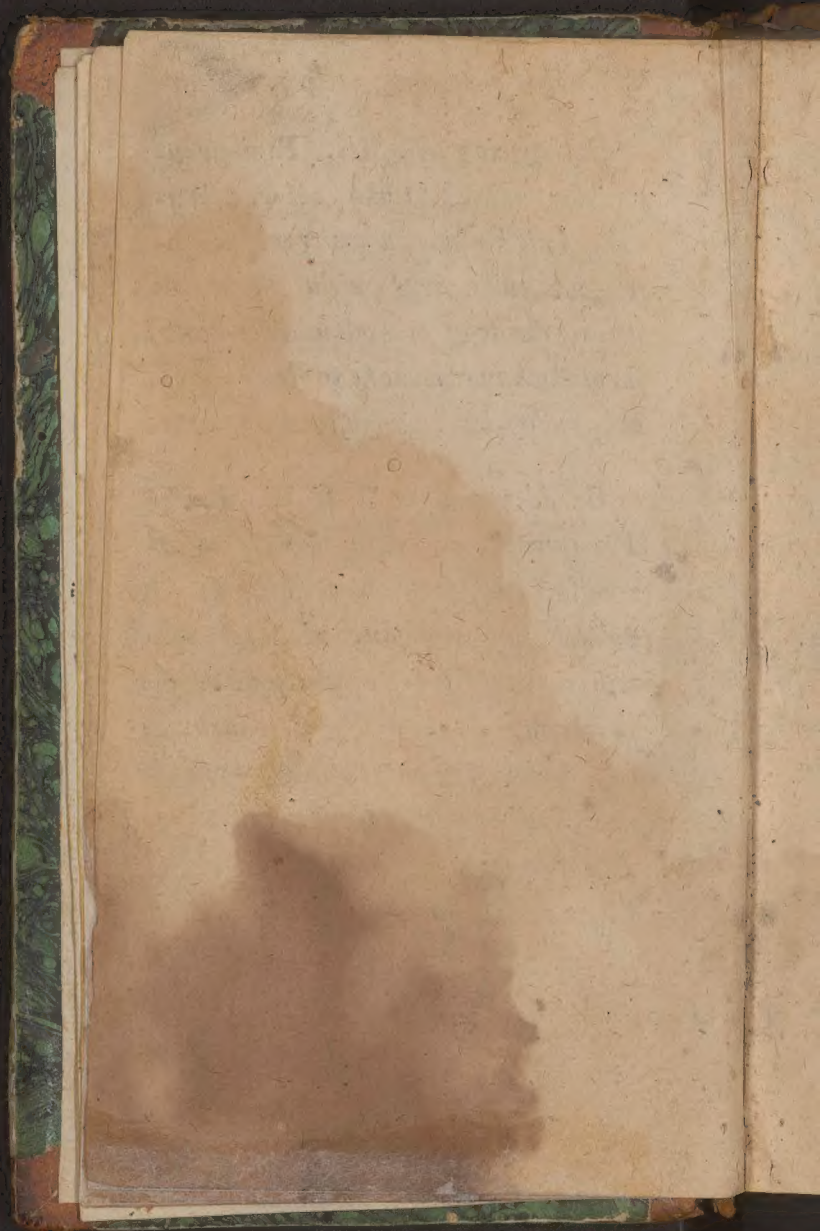
Dal-

( \* \* \* )

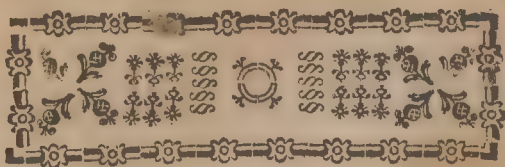
Dalszy ciąg *W. Mśc.* Pani przypadków nie jest, tylko zbiorem krytyk, i nie ku innemu zmierzał końcowi, iak tylko abyś wielu skrytykowała, dla tego też od wielu została skrytykowaną; może się to stać i zemną, boć trudno każdego gustowi dogodzić.

Co do mnie: myśl *WMśc* Pani o Francuzach, nad wszystko mnie zaskoczyła, i dla tego niechciałem się iey pokazać w tym stroju, nie przeto jednak, abym się bał *Jey* przesądów, ale przebrany w ubiór Polski okazał się miłszym w *Jey* oczach, i wyrozumianym, ieśli będziesz ciekawą przeczytać *Historyę* mego wychowania.









# WYCHOWANIEC NATURY

---

*Meare*  
*De cælo ad terram, de terrâ ad sidera mundi.*  
Lucrè: Li: I.

---

*Pierwsze moje poznanie.*

Miałem lat: dwadzieścia i trzy,  
kiedym się dowiedział, że prócz  
mnie są ludzie inşi; że trwałość  
i rozległość, mierzą się podług  
prawideł pewnych i stanownych;  
że rozległość ma trzy wymiary,  
a trwałość tylko jeden &c. &c.  
Dowiedziałem się o tym wszy-  
tkim od iednego starca, którego  
znalazłem w iednym ustroniu wy-  
spy, gdzie ten Pamiętnik piszę,  
niewidząc nikogo, nieznając ja-  
kem

kem się tam dostał, nieślysząc żadney mowy, prócz tych słów i to raz tylko *dać mu pokóy, dać mu pokóy*; nie widząc nic, tylko moją wyspę, i niektóre zwierzęta, a przedtym (przez piętnaście moich lat pierwszych) wewnątrz iedney wielkiej drewnianej zewsząd zamkniętey klatki, iedną muchę, kilka garści słomy, mięsa, chleba, owocu i wody (\*) co niewidziałem iak do mnie przychodziło przez iakąś rzecz, którą w tym większym miałem podziwieniu, że była dla mnie kanałem życia; mniey zaś ją szacować zacząłem, gdym się przyzwyczaił do Cudów. Było to to, co w Klasztorach Panieńskich nazywają kołem.

Powiem na swoim miejscu, dla czego od lat kilku nauczyłem się pisać. Powiem, iakim szczęśliwym zdarzeniem dowiedziałem się o moiej historii. Powiem, dla czego

---

(\*) Ta woda była w naczyniu, drewnianym łańcufzkami przykutym.

go przedsięwziąłem podróż do Kraiu polerownego, i dla czegoś się, ilem mógł, iak naysprędzey powrócił do mey kochaney wyspy. My niektórzy co ieszcze nieco trzymamy się natury, nie lubiemy gługich przedmów. Zaczynam.



*Opisanie mey Klatki i sposobu mego życia.*

Od czafu, iak się poznałem, aż do lat prawie piętnastu, kiedym przeniesiony został natę Wyspę, (która na ów czas była pusta, a teraz mam rokosz widzieć ją zaludnioną ludzmi nowego ro'zaju, mało podobnemi do tych, których gdzie indziey widziałem) historia moia nie może ani tę obfzer nie opisywać, ani czytelnika obchodzić, przeto pierwsze moje lata szybko przebiegnę.

Tak młodym byłem, kiedymnie w wspomnioną klatkę zamknięto, że nie pamiętam, co się ze mną  
dzia-



działo przed tym. Byłem nagi, ale piec rospalony, przez całą zimę, ogrzewał więzienie mey klatki. Sypiałem na słomie, która, przynajmniej przez lat dwanaście, była zawsze jedna. Nie można było iey odmienić, chyba podnosząc przykrycie mey klatki i wchodząc do niey, a było przykazano (jak dowiedziałem się potym) żebym nikogo ani widział, ani słyszał.

Klatka, troche słomy, koło, naczynie drewniane, było to i pomieszkanie i wszelkiemi moimi sprzętami. (\*) Niewiedziałem z kąd się wzięła ta słoma, te naczynie, ani, co to było; a niema-  
iać.

---

(\*) Żebym nie niezrozumianego nie zostawił moim Czytelnikom, którzy chcą być uwiadomieni o wszystkim a przez to pokazali, że z uwagą czytają, sądząc, iż mi należy ich przestrzedz, że miałem także miejsce od potrzeby, w sposobie Angielskim, ale bez stołca, to jest: kamień wycięty i na spodzie mey klatki ułożony.

iąc nic, doczegobym ie przyrówny-  
wał, a zatym nie mając sposobu  
poznania tych rzeczy, niechcia-  
łem o nich i myśleć. Ztąd samą  
prawie obojętnością na moje koło  
patrzałem. Widziałem co rano  
napelnione żywnościami; i nieza-  
stanawiałem się uwagą z kąd one  
pochodziły. Wielu jest co tak  
postempnia, choć nie są wklatce.  
Sama tylko potrzeba przymusza  
ich do rozumowania, i otwarcia  
oczów; ona stworzyła i moje.



*Nieszczęście które mi się przytrafiło,  
rodzi w myśli mey wyobrażenia.*

Jednego dnia zapomniano o  
mnie. Obudziwszy się rzuciłem  
podług zwyczaju oko na przed-  
miot mych żądz, na moje koło:  
nic na nim niepostrzegłem. Ro-  
zumiałem że się oszukiwałem.  
Wstałem więc porywczo, posze-  
dłem zobaczyć, i znalazłem, że  
nic na nim nie było. Czekałem  
przez

przez kilka minut, spodziewając się być świadkiem cudu, który niedział się nigdy, tylko pod czas snu mego. Nic się nie stało, a głód we mnie co raz się bardziej wzmagał. Niepokojność moja zamienia się w gniew; zaczynam płakać, krzyczeć, i bić ile sił, kóło. Usłyszano mię i przyniesiono mi mój obiad; ale zaledwie potrafię obrócić machinę, ponieważ ią ze wszystkiej mocy trzymałem, iak skoro postrzegłem, że się rusza. Tak ta niewiadomość sprzeciwia się własnemu swemu dobru. Na koniec postawiwszy potrawy, puszczano zwolna stronę, ktorom wielką trudnością pociągnąć dopuścił, i ktorą ieszcze w iednym koncie przytrzymywał.

Pochwyciłem w garść część żywności z wielką radością. Postrzegli to ci, co ią przynieśli, a będąc z liczby tych, ktorzy z cudzego nieszczęścia mają dla siebie rozrywkę, chcieli znowu przecią



ciągnąć koło na swoje stronę. Trzymam go rękami i zębami, krzyczę przeraźliwie, słyszę śmiech, i choć niepoymię z kąd on pochodzi, zdaie mi się jednak, że wyraża jakąś wesołość. Rozgniewało mię to mocno, zaczynam znowu ieszcze głośniey krzyczeć; w tym głos mocny zdaleka, ale wyraźnie wymawia te słowa. *Dać mu pokoy, dać mu pokoy, i danō mi pokoy.*

Aż do tego przypadku, który był przyczyną wielkiego wszystkich mych członków wzruszenia rosiem tylko w meyklatce iak drzewko, nie iak stworzenie żyjące. Stałem się na ten czas nowym iestestwem; poczułem w sobie władzy. Do tego czasu nigdy niewydałem głosu, tylko bezśłowny. (\*) Wtedy przedsięwziółem śmiało powtórzyć to, co usłyszałem; rzekłem *dać mu* - - to było wiele na pierwszą próbę, ale ośmielony pomyslnym skutkiem, w tym samym

---

Miałem na ów czas, iak mi się zdało, około lat dwunastu.

mym prawie momencie przyda-  
łem, *dać mu pokoy, dać mu pokoy*, --  
i zaraz zaczęłem się śmiać, fa-  
memu sobie dziwować się, i nie  
ustannie powtarzać, *dać mu pokoy*,  
*dać mu pokoy!* Ten dzień był dla  
mnie dniem uroczystości. Aż  
do tąd ledwiem się kiedy uśmiech-  
nął, i to, iak mówią, sposobem  
niezgrabnym; czy kiedy igrałem  
z memi palcami, lub słomą; czy,  
gdy się obudziwszy ze snu, postrze-  
głem na kole zapasy żywności; od  
tąd zaś zaczęłem się śmiać w sposób  
oznaczający poznanie.

Aż do tąd nie uważałem słone-  
cznych promieni, choć ukośnie  
przez spary w górze mey klatki  
umysłnie na to zostawione w cho-  
dzących, tylko nieco z podziwie-  
niem zmieszanym z głupstwem,  
odtąd zaczęłem domyslać się, że  
tey światłości przyczyna, musi  
być rzecz iakąś bardzo piękna;  
podobnie iak z sceny, która się  
dopiero odprawiła, w nosilem, że  
muszą być prócz mnie żyjące

festwa, ale bez wątpienia ode-  
 mnie niższe, wyiawszy te, na  
 ktorego głos, poprzesztano mię  
 przesładować. Aż do tąd piiałem  
 zawsze wolę, nie uważając że  
 odbiia swiatło, i że się w niey  
 mogę widzieć. Wtenczas to  
 dopiero zacząłem się wpatrywać  
 w naczynie, i gdy zobaczyłem  
 moje wyobrażenie, przestraszy-  
 łem się go z początku, ale potym  
 kiedy ośmieliłem się przypatry-  
 wać mu się z bliska, niewypowie-  
 dziane w nim miałem upodobanie.  
 Ale co to było com widział?  
 nic nie rozumiałem. Nie wie-  
 działem czy woda odbiia tylko  
 przedmioty, czy też tworzy tych,  
 których wyobraża. Podobieństwo  
 i wniosek nauczyły mię com  
 miał trzymać w tey mierze.

Blisko osoby, ktorey z upodo-  
 banem przypatrowałem się, po-  
 strzegłem sciany mey klatki, i  
 wierzch koła, na którym stało  
 naczynie. Nie było między na-  
 czyniem i wierzchem koła, tyl-  
 ko

ko moja głowa, wniosłem więc, że to była moja głowa, co widziałem w wodzie. Patrzałem na nią z podziwieniem, i miałem tego słuszną przyczynę, gdyż głowa ludzka, nowym i nie pomieszczanym, iak był mój, widziana wzrokiem, prawdziwie jest rzeczą piękną. Chciałem widzieć jeszcze bliżej, i wygodnie; pociągnąłem filnie naczynie, łańcuszek, którym było uwiązane urwał się, a ja okrokw dwa lub trzy, padłem wznak na płonę. Nowy ten trafunek był przyczyną dwoiakiego dla mnie odkrycia. Dał mi wyobrażenie choć ciemne praw ruchu, i uczucie rokoszy pochodzącej z kompieli, gdyż za wywróceniem się wiadra wraz zemną, woda luncła mi na pierś, z kąd aż do nog pociekła, co zdałomi się być rzeczą arcy przyjemną. Od tego więc czasu zawsze się myłem.

Ten dzień, w którym tak wielki uczyniłem postępek, tak wiele  
pię



pięknego rozumowania, tak wiele odkrycia, zdał mi się bardzo krótki. Gdy nadszedł wieczor, nie mogłem prędko usnąć. Gdyby mi był na ów czas czytał, iak czytywałem potym piękne *Fontaina* baieczki, powiedziałbym był sobie słowa wieśniaka, który owocem mierzy drzewa.

Trudno zaśnąć kiedy kto ma tyle dowcipu.

Nakoniec zaśnołem dosyć spokojnie, i nieobudziłem się, aż na uderzenie młota, które nie długo trwało, potym znowu spałem aż do jutra.

Niepoftawiłem naczynia znowu na kole, niewiem, ieżeli nie dla zayzdrości, żeby mi miał sprzęt, którego bym był zupełnie Panem, i dlatego zawsze go trzymał przy łóżku: nic nierozumiem jednak, że bym na ów czas miał te głupstwo. Cóżkolwiek bądź, obudziwszy się znalazłem nowe naczynie przykute na kole, i co mnie bardziej zadziwiło, znalazłem obok mnie drugie pełne wo-

dy. Bez wątpienia musiano uważać nie kiedy przez szparę z góry mey klatki, widziano iak się myłem wodą, i żeby mnie na tym ukontentowaniu niezbywało, zapewnie szparą przez rurkę nalano mi wody. Wstałem i napiłem się.

Nie myśląc iakim sposobem mogła przysć woda do mego naczynia odwiązanego, zdało mi się, iż łatwieyby go było napełnić, gdyby stało na kole, postaawiłem go tedy, i choć nie wiedziałem, iak, i iakie iesztestwa mi usługowały, czułem iednak nieiakką przyjemną roskosz w umnieyszeniu przykrości tym, którzy usługowaniem mi byli obciążeni, i szczyłem się z tego moiego czucia. (\*) Bawano mi potym zawsze wody i do picia i do umywania się.

Spie-

---

(\*) Umysliłem był z początku trzymać zawsze naczynie, przy moiey stronie,

*Spiwam.*

Do tych moich rokoszy przydałem sobie rokosz śpiewania, która była dla mnie nową, ale zdawałomi się na ten czas, że się doskonalił. Dobierałem sposobem moim tonów; chciałem czegoś więcej, przykrzyłami się Muzyka bez słów, zacząłem więc tonami śpiewać, *dać mu pokoy.* Możesz miarkować iak się to wydawało. Być iednak mogło, że się czasem ten zgodził z słowami, ale iaka kolwiek tam znay-

B 2

do-

mie, dla zadawania większey pracy mym sługom, i dla zemśzczenia się za to, że przed kilku dniami, chcieli mi byli odebrać żywność, którą mi dali, ale nakoniec ludzkość i wdzięczność w sercu moim przemogły.

Kóždy z Czytelników moich, niech z siebie sądzi o mnie. Szczęśliwy! komu te i inne które mam opisywać zdarzenia, zdają się być naturalne i prawdziwe.



dowała się zgodność, iam z tego zawsze był kontent.

Spiewałem, przeglądałem się w wodzie, gadałem iak papuga, zostawałem częstokroć głęboko zamysłonym, nie myśląc o niczym, dni moje upływały, i ieślim nie był zupełnie szczęśliwym, nie byłem także i nieszczęśliwym. Naywiększą zabawę miałem z moim zwierciadłem, byłem nakoniec przekonany, że to fałszywego siebie widział w wodzie; brałem się za brodę, za nos, za uszy, czasem twarz wykrzywiałem, czasem uśmiechałem się z przymileniem, wymawiałem, albo też spiewałem *dać mu pokoy*, i mocnom się cieszył że tak zabawny.



*Przenoszą mię w moiej klatce.*

Jednego dnia, gdy się podobnym sposobem bawił, postrzegłem, że moja klatka przechyliła

liła się na jedną stronę; w momencie potym zaraz na drugą, i zaraz zaczęła się zwolna podnosić i postempować. Przestraszyłem się, ale w krótkce zostałem uspokojonym, a niewiedząc, ani że mnie niesiono, ani co to jest być niesionym, czułem z tąd iakieś ukontentowanie. Zaczęłem śpiewać moją piosnkę, którą przerwałem dla przyśluchania się iakiegoś chrapliwego głosu, którego szemranie niespokojności mię nabawiło. Nieśłyszałem nic wyraźnie, ale iak sobie przypominam potym, kiedy mówić umiem, здаіemi się żem słyсzał, iż na ów czas głos te wymawiał słowa. *Dobrze, idź, śpieway, śpieway.* A tak nie przedstawiałem śpiewać, aż poczułem, że się moia klatka zatrzymuіe. Nadstawilem ucha, usłyszałem huk, klatka znowu się zaczęła unosić, a huk bardziej się wzmacniać. Już więcej nieśpiewałem, nawet lękałem się. Boiażn moja bardzo się  
po-

powiększyła, kiedy zatrzymany powtórnie, poczułem że mnie spuszczo na dół potym, niewiem raczym, potoczono zwielkim głuchim hukiem, nakoniec ieszcze niżej opuszczo. Nieprzyjemny iakiś zapach wnos mię uderzył, a rozliczne głosy iedne od drugich żywsze, obity się o moie ufzy, co wszystko sprawowało we mnie iakiś smutek. Zamyślałem się, płakałem, trzeba mnie było cieszyć, ale nie było komu; szukałem pociech wfobie samym. Pierwszy raz od tąd, iak siebie poznałem, uczyniłem na ten czas uwagę porządną dla usmierzienia mey niespokoyności, a to ofzukuiąc samego siebie, i na ów czas dosyć mi było na tym.

—  
*Uspokajam się rozumowaniem przeciw  
 bożym i pochodzący z hałasu, który  
 blisko siebie słyszałem.*

Jestem (mówiłem do siebie ię-  
 zykiem wewnętrznym, który wszy-  
 scy



scy ludzie mają, i który do pewnego stopnia same zwierzęta mieć zdają się) jestem jedynym iestestwem (\*) koniecznie potrzebnym; reszta wszystko jest dla mnie. Prócz mnie, jest rzecz inna, iak mi się zdaie. Czynią mi posługi, a ia nie czynię nie dla tych, którzy mnie służą. Obawiają się mnie a ia nikogo się nieobawiam. Raz mi usłużyć zaniedbano, rozgniewałem się, iuż więcej zaniedbania tego niema. Jeśli się to ieszcze

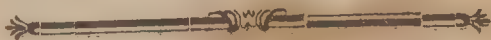
(\*) Niewiedziałem tych słów, iestestwo, klatka, las, naczynie, koło, ani żadnego innego: ale widziałem, albo przypominałem rzeczy przez te słowa oznaczone, a ich widzenie, lub przypominanie, były słowami w moim ięzyku wewnętrznym. Teraz wiem słowa rzeczem nadane, i używam ich w tym moim Pamiętniku. Ztym wszystkim, dla pokazania iakim się sposobem rodzą wyobrażenia, któreby choć słabo wyrażały wewnętrzny ięzyk duszy, będą ieszcze nazywać człowieka iestestwem, a inne rzeczy wyrażać okrażeniem słów, i nazwiskami ogólnemi, aż póki nie przydę do tej Epoki, kiedyś się nauczył ięzyka Francuskiego.

przytrafi, użyję teyże samey bro-  
ni, i co ztąd może wyniknąć? Kto  
może się dobyć do tey twierdzy.  
która mnie otacza? Ona mnie za-  
wsze okrażała. Ktoby mógł w  
niyść do niey inną drogą, iak  
przez te koło, które mi codzień  
przynosi żywność? Jeżeli tedy  
wniwdzie, będzie mnieyszym  
odemnie, to go pokonam - - Nako-  
niec, nigdy mi się nie przytrafiło  
nic złego, więc się nigdy nie-  
przytrafi.

Kontent, żem w sobie znalazł  
taki grunt *Loiki*, poprzestałem na-  
tych rozumowaniach (czasem się  
przestaie na tak słabych) i bez  
wielkiego wzruszenia, słuchałem  
powszechnego zamieszania, któ-  
re się około mnie działo. Nie-  
skończyło się aż za nadeysciem  
nocy, i ta noc była pierwsza któ-  
rą bezfennie przepędziłem.

Ledwie się noc skończyła, uy-  
zrzałem takie obracanie się koła,  
iakiemu nieco dawniey, usilnie  
opierałem się. Nieprzeszkadza-  
łem

łem temu bynajmniey, wiedziałem co ztąd dla mnie nastompi. Po kilku chwilach potym, odwróciło się na zad pełne pokarmów. Dla nadgrodzienia sobie zle przepędzoney nocy, chciałem podieść, ale w krótcie odechciało mi się, i powinno się było odechcieć.



*Widzę iestestwo żyjące.*

Gdyby moje kawałki chleba i mięsa, a nawet i naczynia zwodą zaczęły się znagła ruszać, z mieysca na mieysce przechodzić i tańczyć, to by mię było niezadziwiło, iak tylko pomiernie. Widziałem, że moje palce, i wszystkie członki moje czyniły to, i jużem się do podobnego cudu przyzwyczaił. Ale zobaczywszy, że iakieś stworzenie czarne, małe, z setną częstką iednego kawałka chleba równać się nie mogące, biega, skacze, na powietrzu chodzi, pogardza mną, i uśiada mi



na rękę i twarzy, to mi tak wielkie sprawiło podziwienie z mieszaną z bojaźnią, że nie mogłem przyiść do siebie.

Co za okazałe, może mi rzeczesz opisanie muchi? - Tak jest, ale możeby ci się niezdawało tak bardzo okazałym, gdybyś się postawił na miejscu człowieka, który niewidziawszy nic żyjącego, zobaczył muchę --- Nie wiem czy to przypadkiem, czy dla jakowey przyczyny, że nigdy przedtem nie wleciała żadna do moiej klatki, ale ta była pierwsza. Gdyby były przed nią weszły do klatki moiej inne, byłbym je widział, ponieważ nie się przed okiem moim nie kryło. Umysł mój chciwy umiejętności, wysyłał ustawicznie zmysły moje dla odkrycia tego wszystkiego co się wściśnym moim pomieszkaniu zawierało. (\*):

Zna-

---

(\*) Co to mówię nieprzeciw się temu co powie-

Znalazłem dla siebie towarzy-  
szkę: trzeba mi było ubeśpieczyć  
sobie posiadanie tego skarbu.  
Mucha moja mając nogi i skrzy-  
dła, mogła w nocy wyjść tąż fa-  
mą drogą, którą do mnie weszła.  
Był to ieden sposób nayspewniej-  
szy zatrzymania iey, odebrać iey  
skrzydła i nogi. Ale nieumia-  
łem tyle, ile *Sowa Fontaina*, po-  
tym, còż by była mucha bez nóg  
i skrzydeł? Przyday do tego, że  
nie śmiałem się prawie tknąć,  
tego biednego malutkiego zwie-  
rzątka, bo choć niewiedziałem co  
to jest śmierć, czułem iednak, że  
należałomi się o nią lękać, ieśli-  
bym na iey subtelność i szczu-  
łość nie miał względu.

Zebym iey był pewnym, przez  
noc (wdzień pilnowałem iey) w  
wie-

---

powiedziałem wyżej, że obojętny byłem  
na przyczyny zdarzeń. Postrzegałem  
z ochotą przypadki, ale niechciało mi się  
ich przyczyn dociekać, bo i leniwy byłem,  
i miałem te poznanie, że nie podobne do  
mego pojęcia.

wieczor postanowiłem łapać ją i główką sadzać powoli wflomianą rurkę, którąbym co rano dla niej uwolnienia rozdzierał. Ta myśl była dobra, szło tylko o przyprowadzenie jej do skutku, to jest: iak muchę złapać? Używałem różnych sposobow, nakoniec dokazałem swego, sposobem którego pospolicie używają. Złapałem ją z tyłu wgarść posunowfzy za nią szybko ręką popłaszczynnie po której łąziła. Tak więc łapiąc ją co wieczor, zachowałem aż do dnia, którego, poniey wyszedł z mey klatki.

Zamiast pierwszego mego zamysłu, to jest: wkładania jej w flomkę, coby ją mogło udusić a przynajmniej zranić, myślałem trzymać ją co noc wgarści, iakem ją na ten czas trzymał; ale poznałem natychmiast, iż to było rzeczą cale niepodobną, i że nie mógłbym śpiący mieć pilności, żebym trzymał rękę zawfze zamkniętą. Postrzegłem także, że te

małe

małe  
mey  
niew  
nim.  
ia b  
tak  
chę  
trzy  
wały  
szeg  
wyn  
go  
żne  
gory  
ko  
prze  
bie,  
ieże  
się,  
Ode  
Już  
Obu  
na  
reg  
nie  
któ  
wd

małe zwierzątko, ruszało się w  
miej garści, i zdawało się być w  
niewygodzie, zlitowałam się nad  
nim. Pomyślałam sobie, iakbym  
ja był biedny, gdyby moja klatka  
tak mnie uciskała, iak uciska mu-  
chę ta, w której zamkniętą ią  
trzymam. Takowe uwagi powodo-  
wały mnie do wynajdowania in-  
szego sposobu, który na koniec  
wynałam. Wylałam z iedne-  
go naczynia wodę w drugie pró-  
żne, przewróciłam go dnem do  
góry, i wsadziłam pod nie szyb-  
ko moją muchę. Te naczynie  
przewrócone trzymałam przy so-  
bie, ale mnie mocno obchodziło,  
ieżeby nie dano mi dla mycia  
się, naczynia z wodą trzeciego.  
Oderwałam te co stało przykute.  
Już mi się to dawniej raz udało.  
Obudziwszy się ze snu znalazłam  
na kole naczynie nowe, na któ-  
rego widok, poczułam w sobie  
nie iakie słodkie, ku iestestwom,  
które mi usługowały, poruszenie  
wdzięczności; byłam także kon-  
tent



tent z samego siebie, z przyczyny żem był z nich kontent, i sta-  
wiłem co wieczor na kole dwa na-  
czynia, a trzecie chowałem dla  
mojej muchi.

Przyzwyczajaliśmy się iedno do  
drugiego, ona się oswoiła, i mie-  
liśmy z sobą nie iaki gatunek przy-  
jaźni prawdziwszey, niż czasem  
między ludzmi bywa. Posrze-  
głem że iadała, i to utwierdziło  
mnie w rozumieniu, które iuż  
miałem, że pokarmy utrzymują  
i zachowują życie. Uważałem  
ją z taką pilnością, z iakąby iej  
nie uważał naydoskonalszy Natu-  
ralista. Kiedym widział, że się  
przyczepiła do kawałka chleba  
lub mięsa, nieruszyłem nic co by-  
ło przy niej, stałem iak wryty,  
dech w sobie zatrzymowałem o-  
bawiając się, żeby nieporzuciła  
swey małej ucztu,

Zdawało mi się, że ponieważ  
ładła, powinna była i pić, ale u-  
ważałem oraz, że niebezpieczno  
było dla niej pić z mego naczyn-  
nia,

nia,  
kie.  
pędza  
zbliz  
ka kr  
tem  
nich  
nie fi  
albo  
pokoy



Ju  
zwy  
ry ok  
spoko  
się se  
czyfi  
bardz  
iąceg  
dnego  
mien  
oczy  
patr

nia, bo na nią było na zbyt wielkie. Przykrywałem ie ręką i odpędzałem ją, kiedy się do nich zbliżała. Rzuciłem dla niey kilka kropel wody na koło, pokazałem ie; i kiedy przypadkiem do nich szła, drżałem z radości, i nie śmiejąc ruszyć się, mówiłem, albo po cichu nuciłem, *dać mu pokoy.*

---

### *Odprawuję Podróż.*

Już było kilka dni, iak przyzwyczaiwszy się do hałasu, który około siebie słyszałem, byłem spokojnym. Zaczotem cieszyć się sobą samym, a ta rokosz tak czysta ieszcze się powiększyła bardziej widzeniem drugiego żyjącego iestestwa --- Dnia iednego, gdy pierwsze światła promienie tylko co mi otworzyły oczy, gdy z ukontentowaniem patrzałem na koło zapasem obciążo-

żone, i gdy szedłem wypuścić na wolność, moją kochaną towarzyszkę, coś, czegom nie mógł z niczym porównać, zdawało się iakby mnie uderzyło w głowę, i kłatkę moją wywróciło. Zemdlawszy upadłem, i nie przyszedłem do siebie, aż na nieustanne ważenie się klatki. Zdałomi się, iakbym się z głębokiego snu obudził. Teraz wiem, że to, co mnie na ów czas tak bardzo przestraszyło, był to huk strzelenia z armaty. Byłem wsadzony na okręt, i płynęłem.

Chwianie się mey klatki trwało przez czas długi bo przez sześć niedziel, i trudno mi było do niego się przyzwyczaić. Naywięcej mię to martwiło, że często w wieczor, nie mogąc dobrze przyłożyć ręki do scian klatki, dla ustawicznego iey w tę i ową stronę ważenia się, nie podobna mi było złapać muchi, a kiedy ona nie zostawała w miejscu bezpiecznym, ia noc przepędzałem w wielkiej niespokojności. Pod-

p  
ufl  
okr  
kto  
mni  
czu  
ko  
stw  
zna  
ryc  
żał  
gra  
łow  
wfi  
cza  
iaż  
spr  
wfi  
oba  
zw  
do  
kto  
i fi  
rz  
(\*)  
—  
Na

Podczas iedney z tych nocy, uflysziałem swistokrzyk okropny -- okropny przynaymniey dla tego kto wiedział, co to było. Mało mnie to pomieszało, owfzem nie czułem nic względem siebie, tylko politowanie nad temi iestestwami, które sądziłem być przeznaczone do mey usługi, i wktórych głosie w tym momencie coś żałostnego rozpoznawałem. Wiatr, grad, pioruny, rozbianie się wałów, przykre kłatką rzucanie, wszystko to zdawało mi się rzeczą nową, ale nie tak wemnie boiaźń, iak bardziey podziwienie sprawuiącą. Niewidziałem w tym wszystkim, czegobym się miał obawiać. Moia mucha, ia, i inne zwierzęta, ieżeli się iakie znajdowały na okręcie, byliśmy sami, których nie przeraziła nawałność; i słusznie. Inne to bowiem zwierzęta, nie iak one, albo iako ia (\*) wynalazły sztukę gardzenia

C mo-

---

Na ów czas ieszcze, że tak rzekę, nie na-



morzem, i pływania po nim, a za-  
tym ani one, ani ja, niepowinni-  
śmy byli być za to karani, przy-  
najmniej boiaźnią, bo co się ty-  
cze utonienia, iesliby się było  
przytrafiło, nie było by dla nas  
ukaraniem, ale złym nie uchron-  
nym, na które nie moglibyśmy  
się więcej żalić, iak na spotka-  
nie się z lwem zgłodniałym, albo  
na iaki inny przypadek.

Burza trwała do białego dnia,  
i aż dopiero w ten czas przynie-  
siono mi moje zapasy. Zaczy-  
nałem się gniewać, i choć dorozu-  
miewałem się, że to, com słyszał,  
mocno sług moich zatrudniało,  
poczytywałem im iednak za złe,  
że tak mała rzecz była przeszk-  
kodą istotnemu ich obowiązкови-  
uprzedzenia mych potrzeb. Wmo-  
mencie mój gniew ustał, skoro  
zobaczyłem, że koło, iak innych  
czasów, zaczyna się obracać; i  
gdybym był zobaczył rękę, która  
mi

---

leżałem do rodzaju ludzkiego.

mi usługowała, byłbym ją sposobem moim pieścił, bo my ludzie naturalni, nie jesteśmy mściwi. Serce nasze jest iak tablica, na której zwierzęciu są napisane dobrodziejstwa, a ze spodu krzywdy, i nigdy tej tablicy nie przewracamy na drugą stronę (\*)

Po kilku dni jeszcze hałasu i rzucania --- Wielki Boże! którego po niejakim czasie, miałem szczęście poznać, bo w nieco czasu potem, poznałem moję duszę, i naturę, a w nich poznałem siebie.

C 2

(\*) Moznaby mi zarzucić na przeciw tego, co mówią o ludziach naturalnych, przeciwne doświadczenia; naprzykład, że w Ameryce, człowiek dziki przez osim dni czeka za drzewem na Hiszpana albo Portugalczyka, żeby go zabił, przez samą tylko nienawiść jego Narodu. Ale Amerykanie są jeszcze oni ludźmi naturalnem? - Niewyprowadziliż ich z tego szczęśliwego stanu Hiszpani i Portugalczykowie? - I mogąż oni dostatecznie te dwa Narody ukarać, za złe, które od nich poniesli? -

bie. Co za Epocha dla mnie, i fmiem powiedzieć dla Ciebie famego, dla Twoiey chwały! Epocha, od ktòrey dalsze mey Histo-ryi opisywanie zaczynam.



*Jeden Sen mnie przestrasza.*

Przepędziłem noc iedną spokojnie, klatka się moja nieruszała, hałas ukoło siebie więcey niesłyszałem. Zdałomi się weśnie, niby mnie ieszcze niesiono, iak przed moim pufzczeniem się na morze; ale obudziwszy się rozumiałem, że to mogło mi się snić, ponieważ częste sny miewałem, i te troche przedmiotów, które wchodziły w moję imaginacyę, odradzały się w niej, zgromadzały, iedne się do drugich stosowały, i częstokroć wystawiały się w postaciach bardzo dzikich. Naprzykład, tey samey nocy sniłem się, że moja mucha stała się tak wielka iak ia, że wzięła ieden kawałek chleba, i ziadła

go,

go, a mnie drugi podała, że potym wlaźła pomnie aż na ramioną, i tym sposobem dostała wierzchu mey klatki, i zrzuciła go. Tak mnie to wszystko przeraziło, żem się porwawszy ze snu, z łóżka skoczył. Uważano mnie i czekano, aż się obudzę, żeby mi sprawić podziwienie, iakiego nikt nigdy niedoznał.



*Dziwne rzeczy w oczy mi wpadaiaę.*

Postrzegłem w kole odmiany bardzo różne od tego, co w nim zwyczajnie widywałem. Rozumiałem, że to była iaka nowa potrawa, myślałem sobie przyśadzić się do niey, znalazłszy pierwey muchę, bo nie mogłem iey złapać z wieczora, ponieważ klatka nie przestała ruszać się, aż w nocy. Szukałem iey oczyma, śpiewałem niedbale *dać mu po - - -* i nie kończyłem. Poczułem że się moia klatka wywraca, to co było  
w ko-



w kole upadło na mnie; sunołem się okrakem w kątem klatki, jeszcze niezapęził, a oto przykrycie z niey spadło, a ja uyrzałem Niebo. Boże! co za widok! żeby go dobrze uczuć, potrzeba go widzieć raz pierwszy w wieku, który ja na ten czas miałem. Mucha moja ukieciała, a ja bynajmniej nie dbałem o zatrzymanie iey, owszem ani o niey pomyśli. Nieobchodziło mnie także ani to co spadło z koła, ani co się około mnie działo. Widziałem Niebo - - - stałem jak wryty. Dwa strumienie łez popłynęły mi z oczów. --- Ach iak te łzy były słodkie! - - widziałem Niebo. Jeżeli ja sam jeden jestem człowiek, com go zobaczył tak późno, ja sam tylko jestem, któremu się pokazało tak piękne.

Za podziwieniem nastąpiła chęć widzenia i poznawania. Postąpiłem, i wyrzałem z klatki, ale cofnołem się z boiaźni na widok drzew, skał, i gór które mnie otaczały. Nie żeby te wszystkie  
wi-

widoki nie sprawowały we mnie także podziwienia, ale że wielka ich bliskość, strachu mnie nabiła. Postąpiłem znowu, wyciągnąłem ręce moje ku Niebu, chciałem się do niego podnieść, ale upadłem na kolana; przemo-gły mnie ciężkość i słabość moia. Udałem się smutnie ku brzegowi mey klatki chcąc zobaczyć, jeżeli mnie przynajmniej ziemia na swoje łono przyjmie. Moja klatka nie ze wszystkim była wywrocona, ale tak ofry z płaszczyzną ziemi, kiedy się nachiliła uczyniła anguś (\*) że mogłem z niey na ziemię wyskoczyć bez wielkiego niebezpieczeństwa. Gdym się mamysłał, co miałem czy-

---

(\*) Gdzie ten Człowiek dziki, powiedzą może niektórzy czytelnicy, nauczył się, co to jest Anguś, co płaszczyzna? -- Podróżowałem, i znalazłem między ludzmi, cztery piękne sztuki, to jest pisanie, śpiewanie, malowanie, i rachunku albo rozmiaru. Nieumiem tylko te, ale je dobrze umiem.

czynić, postrzegłem, że się moja klatka bardziey nachylała, skoczyłem z niej i upadłem rękami na ziemię, a klatka znowu się podniosła do tey wysokości co była pierwey. Usłyszałem za sobą jakiś szelest, alem na niego nie uważał.

Wstałem podskoczywszy z radości, widząc się być przeniesionym z klatki tak małej, tak ciemney, tak nieprzyjemney, do klatki tak obfizerney i piękney. Ograniczało ją na około morze, bo to była iedna wyspa, ale ziemia tak się daleko rościagała w tę stronę, w którą na ów czas patrzałem, że morze zdawało się tylko, małym błękitnym przedmiotem, widok i horyzont kończącym. Obróciwszy się, niewidziałem nic, prócz tylko szczupłe więzienie, z którego wyszedłem, a za tym więzieniem drzewa. Ale z obfizerney części Nieba, którą widziałem z tey strony, wnośliem sobie, iż ten las musiał zaślaniać część ziemi

mi równą tey, co była przed moiem oczyma. Zboczywszy nieco w prawo dla oddalenia się od lasu, postrzegłem morze, które z tey strony daleko było bliżey, niż z owey, w której go najpierw zoba-  
czyłem. Nowy dla mnie cud! nowe zachwycenie! - - - Powracałem kolejno od Nieba do ziemi, od ziemi do morza, od morza do Nieba, a ani moje serce, ani oczy nie mogły się niemi nasycić. Małe przedmioty natenczas niewpadały ani w oczy, ogromnym się tylko przypatrowałem. Niebo, ziemia, morze, las, i łańcuch gór, to tylko mogło mój wzrok zaścianawiać.

Z tym wszystkim, gdy się moje pierwsze ukontentowało pragnienie, ciekawość moja zaczęła się rozprzeszczerzać i na drobniejsze części dzielić. Chciałem widzieć rzeczy iedne po drugich. Zobaczyłem troje zwierząt biegących ku brzegom Morskim. Z przyczyny odległości, zdawały mi się być nieco mniejsze ode-  
mnie-



mnie, ale inne podobieństwa znaków, dały mi pobudkę do mniemania, iż były tegoż co ja rodzaju, i w rzeczy samey uczyniłbym im ten honor, gdyby były nie miały na sobie odzienia. Probowiałem ich dogonić, skoczyłem dwa razy, a za trzecim upadłem na ręce. W takowym stanie czułem się być mocniejszy, mając cztery podpory, ale trudniej mi było postępować; ponieważ, bądź że przedwładzeniem mnie do klatki przyzwyczajono chodzić, bądź że nie jest naturalna człowiekowi łazić na czterech łapach, zawżem się trzymał na nogach. Wstałem więc, i postanowiłem iść zwolna aż do Morza. Była to dla mnie podróż, bo morze było odległe na szefcioro strzelenia z karabina.

Postawiono blisko mey klatki wiele koszów pełnych zapasu. Rostropność i głód doradziły mi poyść, i wziąć z nich ieden. Znalazłem na drodze kiy, który zdał mi się także ku pomocy; u-  
ży-

żyte  
z te  
N  
dzi,  
to ie  
na k  
i do  
Oto  
ska,  
niż  
przy  
mie  
nyc  
obia  
mni  
fwy  
tą i  
strz  
lała  
wie  
odp  
tem  
Już  
zaw  
kie  
pł  
któ

żyłem go, i mocnom się cieszył z tego docieczenia.

Nie co daley od tych trzech ludzi, których widziałem bieących, to jest na brzegu morza, był Okręt, na którym mnie przyprowadzono, i do którego ci ludzie powracali. Otoż, mówiłem, widząc go zbliżka, otoż klatka daleko większa niż moja: na co się ona może przydać? . . . . Czyniłem w tej mierze wiele innych uwag ciemnych, ale się te w czasie powoli obiaśniały. Ci trzy ludzie, co mnie w klatce nieśli, przybyli do swych Towarzyszków, igdy ja nad tą ich klatką rozumowałem, postrzegłem, że się od brzegu oddalała. Zastanowiłem się zpodziwieniem, myśląc czy to nie ziemia odpływała, ale nie długo zobaczyłem; że to okręt, i szedłem daley. Już byłem blisko brzegu morza, zawsze weń mając wlepione oczy, kiedy z niego wyszedł bałwan płomienia z strasznym hukiem, na który padłem na ziemię, rozumie-  
iąc

iąc żem umarł. Toprawda, żem już słyszał raz strzelenie z armaty przy moim wyjeździe, ale są to rzeczy do których Człowiek naturalny nie przyzwyczaja się za dwoma razami.

Przyšzedłem nieco do siebie z mego przeſtrachu, wstałem, i wzięwszy mój kiy i koszyk, ſzedłem daley ku morzu. Słońce mi ſwieciło w oczy, blaſk iego i gorącość przenikały aż do mey duſzy. Miałem go wpodziwieniu, i padałem przed nim na twarz. (\*) Chciałem widzieć te piękne ſwiatło, ale przeraziło me oczy, na co iednak nie ſzemrałem, owſzem mu oddawałem cześć wewnętrznie. (\*) Zbliżałem się do mo-

rza

---

(\*) Sam inſtyntk nas naucza, że padanie na ziemię, ieſt znakiem uſzanowania. Płaſzczyć się przedkim na ziemi, ieſt to uznawać ſwoią niſzſzość, ieſt nieiako się niſzczyć.

(\*) Jeſliby się kto dziwował, że podług prawideł inſtyntku niegniewałem się

na

rza  
iący  
moż  
stał  
iako  
piaſł  
godn  
i cał  
Wąt  
czy  
łem  
się  
się  
tak  
fze  
nie  
legł  
ſtro

na  
prze  
że  
cza  
raz  
zdo  
pod  
ziół  
któ

rza, gdym uyrzał chróft chw-  
iący się od wiatru. Łatwo go  
można było zobaczyć, ponieważ  
stał na miejscu czyстым, i niewiem  
iako on mógł wkorzenieć się na  
piasku. Czułem powiewanie ła-  
godne i ciepłe, które twarz moją  
i całe ciało przyjemnie pieściło.  
Wątpić nie trzeba, że ten dobro-  
czynny dech słońcu przypisowa-  
łem. Widziałem, że chróft wtę-  
się nachylał stronę, w którą bym  
się ia sam nachylał, gdybym był  
tak iak on słabym. Nie co więk-  
sze zioła, i krzewiny, które w  
nieiakiemy od siebie widziałem od-  
ległości, chylały się wtęż samą  
stronę; wniosłem z tąd, że słońce  
tak

---

na słońce, którego blask oazy moje  
przerażał, powinien sobie przypomnieć,  
że nie byłem, do widzenia go przyzw-  
czajonym, że go zobaczył pierwszy  
raz w tym wieku, w którym byłem  
zdolny czuć i rozumować; a zatem nie-  
podobna żebym na widok słońca niepow-  
ziół ku niemu podziwiania i uszanowania,  
którego nic nie mogło naruszyć.



tak na nich powiewało, iak i na mnie. (\*) Jch cień powtarzała zupełnie ruszanie się ich liści; to mnie bawiło. Obróciłem się w tył, i zobaczyłem coś wielkiego na ziemi rozciągniętego. Skoczyłem ze strachu w tył, a to skoczyło za mną --- uspokoiłem się widząc że mi nic złego nieczyni. To coś, miało iak ią, kiy i koszyk w ręku. Jam postawił mój koszyk na ziemi, i one śwóy postawiło. Dla doświadczenia, ieżeli miało te wszystkie co ia władzy, rzekłem, *dać mu pokoy*; ono się nie odezwalo. Był to dowód moiey nad nim wyższości. Rzuciłem się

---

(\*) Wielkie wiatry których doznawałem potym, stały się dla mnie pobudką do odmienienia moiego zdania. Widziałem iż one nie mogą być tchem słońca, ponieważ zdarzają się i w ten czas, kiedy słońce jest ukryte, a nawet i w nocy. Ale nie mogłem wiedzieć co było, i dopiero niedawno niektórzy mnie wielcy Fizycy nauczili, że to są skutki powietrza.

się na nie żebym go złapał i macając rękami, mógł dociec, co to było. Jłem się ią schylał, tyle się i ono schylało, a gdym padł na ziemię, znikło z mych oczów. Ja wstałem i to coś wstało --- Przypadek ten zdał mi się być trudny do pojęcia, odłożyłem dochodzenie go do mego powrotu od morza.



### *Kąpię się i pływam.*

Ze trzech wielkich przedmiotów, które na ten czas cały mój zajmowały umysł, ziemia najprzyjemniejszy mi czyniła wrażenie, ale najmniej żywe. Kochałem ją, iak dziecko kocha swoją Matkę. Inaczey było zdwojma innemi, to jest: z morzem i niebem, osobliwie ten przedmiot ostatni porywał mnie w zachwycenie, ale z boiaźnią tylko nań poglądałem.

Gdym przyszedł na brzeg, gdy zobaczyłem bliżey porządnym ruch  
i wspania-

i wspaniałe wód fale, zostałem  
przenikniony boiaźnią i uszano-  
waniem. Morze zdało mi się być  
Niebem ruchomym; rozumiałem  
nawet że Niebo drogi swòy i  
pyśzny lazur, którym się zdobi-  
ło, iemu było winne. Jm bar-  
dziey zbliżałem się do morza, tym  
mokrzejczy znajdowałem piasiek.  
Lgnołem wnim nie co, ale mnie  
to razem i zadziwiało i bawiło.  
Zebym był lekszym, zostawiłem,  
mòy kofz i szedłem daley z kiiem.  
Stanowszy blisko wody uważałem  
znowu ten żywioł. Poznałem go  
że ten sam który piiałem, i w  
ktòrym przeglądałem się. Po-  
strzegłem oraz, że Niebo swoją  
błękitność nie od niego miało, iak  
śadziłem pierwiey. Zbliżałem  
się z boiaźnią dla przeyrzenia się  
w nim, gdyż od nowego mego u-  
rodzenia, to iest od iedney lub  
dwóch godzin, wątpiłem prawie,  
zebym ten sam ia był, co pier-  
wiey. Poznałem się w wodzie  
morskiej, nawet zobaczyłem się  
cały

cały, z kąd niewypowiedzianie  
byłem kontent. (\*) Położyłem się  
potym na brzegu dla napicia się  
wody, ałem ią natychmiast z ust  
wyrzucił, skoro poczułem, że  
mnie gryzła w podniebienie i ię-  
zyk. Jeżeli nie była dobra do  
picia, przynajmniey była dobra  
na kompiel. Położywszy więc kiy  
na piasku, wszedłem w nią aż po  
szyję, potym głęmbiey, tak, że  
woda aż wyżej głowy mi zabrała.

Na ten czas zacząłem pływać,  
bo natura wszystkich zwierząt  
nauczyła tey sztuki, tak łatwey,  
tak przyjemney, a czasem tak po-  
trzebney. Wdałbym się był dale-  
ko, i przez długibym był czas  
pływał, gdybym był niezobaczył  
iakieys wielkiey ryby, która się  
zdawała za mną gonić. Dorwa-  
łem brzegu, wzięłem mōy kiy

D

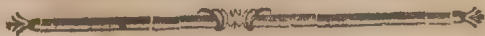
i ko-

---

(\*) Człowiek naturalny pospolicie  
jest z siebie kontent; i słusznie. Miłość  
bowiem własna, jest dla niego dobro-  
dzieystwem opatrności.



i koszyk, i podiadłszy nieco, powróciłem z niespokojnością do mey klatki, dla zobaczenia czy się tam co nowego nie przytrafiło.



*Dochodzę przyczyn cienia.*

Miałem na tenczas słońce z tyłu; zobaczyłem znowu moją cień powracając do Morza: już nie lękałem się iej więcej, łatwiej się do niey przyzwyczaiłem niżeli do strzelenia z armaty. Chciałem dociec coby to było ta cień? i jakie są iej przyczyny? Obeyrzałem się na około siebie, poznawałem bowiem, że tylko przez porównanie rzeczy iednych z drugimi, do poznania ich, i sądzenia o nich przyść można. Widziałem, że każde drzewo miało, iak ia cień swoją, że wiatr który z wolna ruszał gałęzie i liście, iednakowymże sposobem razem ruszał gałęzie i liście tych drzew fałszywych. To mnie zaczęło

czelo oblaśniać. Rozumiałem  
na czas, że powierzchność  
ziemi jest zwierciadłem jak wo-  
da, i tylko z przyczyny, którey  
domyslałem się (swey nieprze-  
zroczystości,) wyraża przedmioty  
w kolorze ciemnym, zamiast co  
woda wyobraża ie w kolorach na-  
turalnych. Ale widziałem siebie  
w wodzie na którąkolwiek obró-  
ciłem się stronę, a czemu nie  
mogłem podobnież widzieć się  
na ziemi? Czemu niewidziałem  
siebie idąc do Morza, (\*) a cze-  
mu powracając od niego z strony  
przeciwney zobaczyłem się? To  
mi dało pobudkę do nowych uwag.  
Potrzebłem że cienie tak drzew  
jako i moia, wszystkie nachylone  
były na stronę przeciwną słońcu  
i morzu; wniosłem więc, że ich  
przyczyną było albo słońce, albo-

D 2

litez

---

(\*) Kiedy mówię o Morzu, to się ma  
rozumieć część tylko morza, męj klat-  
ki naybliższa, która była na wschód  
Wyspy.

liteż morze, ale bardziey to przypisowałem słońcu, które większego podziwienią aniżeli morze zdawałomi się być godne. Ten mój przesąd pospieszył wesprzeć rozum. Jakoż płaszczyna morza, była daleko niższa, niżeli płaszczyna ziemi. Przeciwnie zaś słońce z góry mniej lub więcej ukośnie rzucało na ziemię swoje promienie, a ztąd powinno było wynikać, że ciała o które się te promienie obijały, czyniły większe lub mnieysze cienie, podług punktu, z którego świeciło słońce. Widziałem z nieiaką radością, że ten piękny skutek słońcu przypisywać należało; i czego bym ia mu nie przypisywał? - Przyszła mi na ten czas iedna myśl z którey się potym często śmiałem.



*Jedną z mych władz przyznaię  
Słońcu.*

Jestestwa, mowiłem, które mi usługowały, te jestestwa niższe, które dopiero woda wniosła z ich klatką; bez wątpienia głosu innego nie mają, tylko bezsłowny, ponieważ ja, Pan ich, innego nie mam. Zkądże więc pochodził ten głos, co wymówił te słowa, które ja tak dobrze powtarzam? -- Ach! zapewne był to głos słońca. -- Umyśliłem więc natychmiast zabrać z nim przyiaźń. One same tylko zdałomi się być przedmiotem mey przyiaźni godnym. (Mniey ja byłem hardym, kiedy nie widziałem, tylką iednę muchę.) Obróciłem się więc do tego światła, i padłszy na ziemię, (gdyż cześć moja dla niego bynajmniey się nieumnieyszała) rzekłem poważnym i pełnym uszanowania głosem, *dać mu pokoy, dać mu pokoy*. Rozumiałem, że



że na tychmiał do mnie z stomp, albo że mnie do siebie pociągnie, albo mi odpowie. Ale widząc że nic z tego wszystkiego nie nastompiło, to zapewne mówilem do siebie, dla tego, że niesłyszysz mnie, bo jest zbyt daleko. Bez wątpienia nierównie natenczas bliżej mnie było, kiedy wymówiło słowa, które ja dopiero powtórzyłem. Ale może się zbliży, to się w tedy z nim rozmówię.



*Przynoszę z morza małe rybki i ślimaki.*

Czekając nim się słońce zbliży, umysliłem nabywać innych wiadomości. Moja mucha, natęchnęła mnie skłonnością do społeczeństwa, albo raczy społeczność była mi wrodzoną, i tylko iey zbywało na okolicznościach wyjawienia się. Znajdowałem drzewa i skały bardzo przystępne, podobały się, miałem ich wpo-  
dziwie-

dziwieniu, ale nie znaydowałem w nich, coby moim chęciom dogodziło. Chciałbym, żeby były miały władzę krzyczenia i ruszania się. Jużem się doniektórych z nich przypytywał powracając od morza; popychałem ich, chciałem poruszać z miejsca, mówiłem do nich po przyjacielsku i śpiewałem, *dać mu pokoy: (\*)* ale nic z nich wyczerpnąć nie mogłem.

Troche więcej miałem ukontentowania z rybek i ślimaków, których zobaczywszy na brzegu morskim, nabrałem w koszyk iak naywięcey, bo mnie te przynajmniej trzepiotaniem się i łażeniem swoim bawiły, brałem ich iednak z ostrożnością; ledwiem się odważył wziąć ich wrękę, i lęka-

---

(\*) Jeżeli tego wszystkiego nie czynią dzieci, to z przyczyny, że od niemowlęcego wieku są przyzwyczajone rozpoznawać iestestwa żyjące od nie żyjących,

lękałem się ich nawet, niewiedząc że mogą kąsać. Boiaźń jest najlepsza bróń w którą nas opatrzyła natura.



*Powracam do mey klatki.*

Tak zawsze w badaniach, zawsze w filozofowaniu, nie wiedząc co jest Filozofia, powracam do mey klatki, i zaczynam ją uważać z wierzchu, bo wychodząc z niej, byłem czym innym zaprzętniony. Najpierwsze miałem staranie poznać koło i zrozumieć jego obrót. Była to rzecz prosta, prawie go rozumiałem, wyiawszy bieguny, których nie mogłem pojąć. Reszta powierzechu składająca się z czterech ścian i tyleż węglów, nie zatrzymała mnie, bo aż nadto miałem czasu przypatrzenia się wewnątrz ścianom i kątom.

Obcyrzałem potym zapasy, które postawiono przy mey klatce.

ce. Nie było ich iak tylko na dni kilka, a zatym rozumiałem, że po upłynionym tym czasie, znowu mi iak zwyczajnie będą przynoszone. Nie co daley zobaczyłem pod drzewem kupę ziela, korzenia i owoców. Te owoce były podobne do tych, co na drzewie, a tego drzewa gałęzie ponaginały się prawie aż do ziemi. Skosztowałem owocu leżącego na ziemi, ten dla mnie nie był nowym; chciałem z drzewa skosztować, a bojąc się, żeby mi drzewo swego owocu nie odmówiło, ieslibym go mu nie wydarł gwałtem, pochwyciłem filnie za gałąź, a w tym momencie posypały się owoce iak grad na mnie i na ziemię -- oh iakżem niesprawiedliwy, rzekłem, kiedy o sobie tak dobrze, a o drugih iestestwach tak zle sądę! Maszże iaką przyczynę żalenia się na którekolwiek z nich wyjąwszy te tylko iestestwa, które iednego dnia w wię-

zie-



zieniu dawszy ci potrawy, chciały ie znowu odebrać? Na cóż z tamtych sądzić o inszych? a do tego, czyż i tamte nie nadgrodziły ci potym krzywdy, którą byli wyrządzili? Ta uwaga mocno mi się podobała, i miałem sobie za zaszczyt, żem tak piękne miał zdania, które im bardziej mnie słodkim, z tym wszystkim co mnie otaczało, łączyły węzłem, tym szerszy rościągała się sfera szczęśliwości moiej.

Zjadłszy owoc, skosztowałem ziół i korzeni surowych, których mi także nazbierano, i zdały mi się dosyć smaczne. Postarzęłem około siebie zioła podobne, jeszcze z ziemi nie zerwane. Bardzo dobrze! zawołałem, (\*) jeżeli słudzy moi nie przy-

---

(\*) Mówię, zawołałem, ponieważ w rzeczy samej często z radości, z zdziwienia, albo z przejęknienia zażywałem tych głosów, *uhl u! a! a!* i gdy

przy  
nie  
czeg

Je  
zofta  
zoba  
potr  
pofta  
kied  
ciła  
filno  
tam  
ki,  
się  
wag  
słał  
tym  
przy  
będ  
tego  
meg

uſta  
wyn  
moy  
wał  
raża

przydą na sam czas, kiedy mi nie stanie zapasów, oto mam, z czego tym czasem żyć mogę.

Jedna mi tylko niespokojność zostawała, że nie miałem czasu zobaczyć tych nowego gatunku potraw, które dla mnie na kole postawiono, i które spadły na mnie kiedy się moja klatka przewróciła. Biegnę więc z wielką ufnością i kosztować ich; chwytam się rękami za wierzch klatki, chcę wleść do góry i spuścić się wewnątrz, ale mnie iedna uwaga zatrzymała. Jeżeli, pomyślałem, spuszczę się do klatki, a tym czasem kto przydzie i ią przykryje, iakim sposobem zniey będę mógł wynieść? dosyć było tego dla odprowadzenia mię od mego zamyśłu; iednakowoż chcia-  
łem

---

usta moje te głosy wydawały, albo te wymawiały słowa: *dać mu pokoy*, umysł mój na ten czas przyimował, i stosował myśli, które w tym pamiętniku wyrażam.

łem przynajmniej zobaczyć, czemu postradał, czepiam się więc rękami za wierzch klatki i podnoszę się stojąc na palcach. Otwór klatki nie był wyżej nad pięć stop tylko podniesiony, i to dla tego, że się oparła od góry na jednym belku, który szedł przez iey śrzodek, gdy drugą stroną od spodu spierała się na ziemi, a zatym równa prawie była z obu stron belki waga, tak dalece, że gdy się klatki rękami chwyciłem, przeważylem ją na moją stronę i prawie na siebie nachyliłem. Zdawało mi się na ten czas, że ona w tym momencie stała się iestestwem żyjącym, i połknąć mnie chciała, przeto daleko od niey uciekłem. Tym bardziej mię to zadziwiał, że nigdy nie dała mi żadnego znaku życia. Nakoniec ośmielony zbliżam się do niey, mając największą ciekawość zobaczyć, co z niey wyszło. Wszystko cokolwiek tam było, wypadło nie  
porzą-

porządnie na kupę, znalazłem między moją sromą i naczyniem od wody, rzeczy, które sądziłem, że są potrawy. Wziółem co mi pod rękę podpadło, chciałem ukąsić, ale poznałem, że nie była rzecz do iedzenia (była to korszula) mocno się dziwiłem, że mi położono do użycia rzecz iakąś, którey ieść nie można. Jakóż na co się to przyda, co nie może służyć za pokarm? Była to dla mnie tajemnica niezrozumiana.

Przypomniałem sobie w sam czas, że te trzy iestestwa, które widziałem biegące do morza, były okryte czymści, mocno podobnym do tych rzeczy, które tam znalazłem. Były tam bowiem korszule, iedna suknia, pończochy &c. Ha! ha! mówiłem, zapewnie śludzy być moi muszą szpetni, i używają tych łachmanow dla pokrycia swej brzydkości, chcieliby, żebym się także i ia niemi okry-

okrywał. Nie, nic z tego nie będzie.



*Odzywam się.*

Z tym wszystkim dla rozrywki, próbowałem niektórych, z tej odzieży. Zdawałyby mi się one śmieszne, choćbym je był pokładał na sobie jak potrzeba, dopióroż, gdym się w nie ustroił dziwnym sposobem. Nawlekłem jedną koszulę na jedno udo, drugą na drugie, i podkasałem je; po długich zaś próbach przyszedłem do tego, żem je poobwijał podkolanami ażeby nie opadły. Nie mogłem pojąć, do jakiegoby te rzeczy użycia służyły. Niewidziałem tam nic, co by mi się przydało, prócz pończoch i trzewików. Choć tego dnia szedłem tylko po piasku, i to mało, czułem jednak ból w nogach, ponieważ nigdy w życiu moim nie chodziłem. Uważając przez  
dłu



dlugi czas trzewiki, poznałem do czego są przeznaczone, spróbowałem ich, ale znalazłem, że były zbyt przykre, twarde i ciasne. Wpończochach same tylko kawałki osobliwszego, ale wszelako pięknego kształtu materii widziałem. Gdybym je był otworzył, zobaczyłbym do czego one służyły, ale nie wchodząc wpoznanie, biorę z nich dwie pary, składam każdą we troje, obwiązuję ich koło nog sznurkami i tym sposobem robię z nich sobie sandały. Potym wzięwszy w iedną rękę kiy, w drugą trzewiki, których widok mnie bawił, szedłem w tym stroju szukać wody, wktóreybym się przeglądał.

Nie szedłem aż do morza, myślałem, że iej znajdę w iednym dole, którego widziałem pochילות o iakie pięćdziesiąt, albo sześćdziesiąt prętów od miejsca gdzie stałem. Natura nauczyła nie co Geometrii wszystkich zwierząt. Prócz natury, tego mądrego

go i nieomylnego przewodnika, miałem jeszcze inną przewodnią. Postawiono o kilka kroków od mey klatki jedno naczynie pełne wody, którą ja wylałem powróciwszy od morza, drugie naczynie także z wodą było nieco dalej, a trzecie na wzgórku, od którego zaczynał się ów dół, który ja słusznie miałem za nieiakiie jezioro. Poszedłem tam i nie znalazłem nic w naczyniu, ale uyrzałem na dole tego wzgórka płaszczyznę wody. Może ta, mówiłem, która daleko jest mniejsza niż owa, w której się kąpałem, jest z lepszej wody. Nie dla tego to jednak zdawała mi się być woda lepsza, że płaszczyzna wody była mniejsza; gdyż od dwóch, lub trzech godzin kiedyś zobaczył rzeczy więcej, a zatem więcej nabyłem wyobrażenia, przynajmniej fizycznego, już lepiej rozumowałem, niż gdy podczas nawałności mówiłem. *Nie przytrafiło mi się nic złego*  
do

do tych czas, więc nigdy mi się nie złego nie przytrafi. Takowe rozumowanie było godne tylko albo człowieka naturalnego, który nie nigdy nie widział, albo człowieka polerownego, którego wychowanie i przesąd do fałszu przyzwyczaiły.

Chcąc zeyść z pagòrga, nastompilem na iedną z koszul, które mi za gacie służyły, i resztę podróży tocząc się na dół, odprawiłem. Mój kiy i trzewiki upuściłem, które pierwey niż ia na miejscu stanęły, i gdyby nie była woda nie co oddalona od pagòrka, byłyby w nią wpadły, a ia za nie mi: a na ten czas nie mogąc pływać wolno, doznałbym był, iak suknie bywają czasem niewygodne. Wstałem, zbliżyłem się do wody, przeyrzałem się w niey, i mocnom się z mego ubioru naśmiał.



*Różność zapachu trzewika i drewnianego naczynia, są mi powodem do nowej wiadomości.*

Jakom się zawsze przyzwyczaił pić z naczynia, a nie wziółem z sobą tego, co stało na wzgórku próżne, tak trzeba mi było, albo się położyć na brzuchu i łęptać, albo czerpać wodę dłonią, albo ią pić trzewikiem. Obrąłem ten ostatni sposób. Woda zdała mi się być złą, ale nie tak iak morska. Napilem się iey raz i drugi, potym zrzuciwszy me gacie wykąpałem się. Nie wyszedłem z kompieli nie skosztowawszy wody, która nie równie mi się lepszą być zdała, niżeli w trzewiku. Dla czegoż iednąż woda, ma raz inny smak, a drugi raz inny? niektóre uwagi przyprowadziły mnie do zgadnięcia tey zagadki. Sądziłem, że ta różność mogła pochodzić z frzodka, przez który przechodziła

ła woda. Poszedłem wjechać moją  
trzewika, z którego wychodziła  
wonia nieprzyjemna, która mnie  
odrażała. Za jednym promieniem  
światłości . . . następnie . . . drugie.  
Z doświadczenia któregoś doznał,  
uczyniłem dalszy wniosek. Uzna-  
łem, że gorzkość i słoność wody  
nie pochodziła, tylko znaczyła  
w którym znajdowała się. To ro-  
zumowanie było oczywiste. Wo-  
da nie traci niczym w naczyniu  
drewnianym, jak w tych co są w  
mojej klatce, ani w glinianym,  
jakie jest to, w którym niedawno  
się kąpałem, ponieważ ani drze-  
wo, ani glina niczym nie trąca.  
Ale z przeciwny przyczyny w  
trzewiku moim, który jest z kò-  
ry zwierzęcej, woda powinna trą-  
cić zwierzęciem zdechłym. Je-  
żeli woda morska jest słona i  
gorzka, to bez wątpienia dla te-  
go, że Ocean jest naczyniem z  
materii słonej i gorzkiej.



*Prowadzę na smyczy ieden paczek.*

Gotowałem się powrócić do mey klatki. Tylem miał przed oczyma przedmiotów, że ledwiem wzrokiem onie się ocierał, a na żadnym się niezaftanawiałem. Kontent z mey zręczności, żem potrafił podwiązkami poobwiązywać po podkolanami kofzulę, wiązałem te podwiązki iedną z drugą, przywiązałem do nich paczek, który zrobiłem z kofzul i pończoch, (\*) prowadzę go, że tak rzekę iak na smyczy, i mocno się cieszę widząc, że idzie za mną. Trzewiki moje rzucam na brzegu, rozumiejąc, iż ukarzę ich za to że mi wodę zepsuły. Zostawuję także naczynię, którem znalazł na wzgòrku, zakładając sobie przyiść inną razą, ieślibym go zechciał użyć. Idąc

za-

---

(\*) Niebyłem kontent z fandałów, widząc że są niewygodne, i porzuciłem ich na zawsze.

zawsze ku moiej klatce, nie przedstawiałem ciągnąć mych koszul, nakoniec węzeł się rozerwał, a ja rozgniewałem się i rzuciłem go na ziemię. Uważam potym coby za przyczyna była tego trafunku. Widzę że koszula, która służyła za obwinicie, pełna jest prochu, i już się nieco podarła. Z początku śmiałem się, chętnie bowiem zawsze od śmiechu zaczynałem; potym zastanowiwszy się trochę uwagą, powziółem z tego przypadku, przynajmniej ciemne wyobrażenie skutku, który pochodzi z ocierania się rzeczy iedney o drugą. Nakoniec przychodzę do klatki, i zmordowany tyle od rana chodząc, i tyle rozumując, kładę się na trawie i zasypiam.



## S e n

Sen mój trwał przynajmniej przez dwie godziny, ale nie był ani twardy, ani spokojny, nie dla tego,

tego, żebym rozumiał, iż niezofistę w zupełnym bezpieczeństwa. Nadto byłem prostym, nie umiałem nawet lękać się, chyba na jakie niebezpieczeństwo patrząc, a na ów czas żadnego nie miałem przed oczyma. Ale mnóstwo snów utworzonych z rozlicznych przedmiotów, które widziałem, cisnąć się do mey myśli, niespokojność mi sprawowały. Zdałomi się iakoby słońce oderwawszy się od Nieba, zstąpiło do mnie, i krążyło koło mnie iak mucha. Zdałomi się że naczynie, którem zostawił na wzgórku powracało prowadząc na smyczy moje trzewiki. Zdałomi się że moja klatka, zatoczywszy się aż do morza, rzuciła się w nią. ( Smiałem się mocno, kiedy się ona toczyła, i nie starałem się iey zatrzymać. ) Zdałomi się że iedne drzewo, które in ścisłem i z którym rozmawiałem, odpowiedziało mi *dać mi pokoy*, czym osmielony, ieszczem mu się bardziey przymilał.

Może

Może się mnie kto spyta, iak  
mogę pamiętać te frazki? Łat-  
wo tego można znaleźć przyczy-  
nę. Gdyby pierwszych twych  
myśli, i pierwszych twych czyn-  
ności Epochą był rok piętnasty,  
takby one w twym umyśle głęb-  
bokie uczyniły wyrazy, iż byś  
najmnieyszey z nich niezapom-  
niał,



*Wieststwie moim wzrasta nowe czucie.*

Obudziwszy się ze snu, widzę  
znowu Niebo, i rozumiem że  
go pierwszy raz widzę. Zda  
łomi się ieszcze pięknieysze; była  
bardziej pogodna, a błękitność  
iego żywiej odbijała. Łzy roz-  
rzewnienia i radości popłynęły  
znowu z mych oczów. Szuka-  
łem oczyma słońca po przestworzu  
Niebieskim, a miarkuiąc bieg  
iego, w miarę moiego chodu, szu-  
kałem go niedaleko od mieysca,  
na którym go idąc spać zostawi-  
łem

łem. Miałem biec za nim do morza, kiedy głos w zachwycenie porywający obił się o moje uszy, i wznicił w sercu moim nowe czucie, którego namiętność tylko ożywały się, kiedy zostawałem w moim więzieniu - - Co za wdzięczna melodia! Podniosłem moje ręce czyste i niewinne ku Niebu, podziękowałem mu, że się zdawało niezatrudniać, iak tylko moją szczęśliwością, bo niemożem do myśli przypuścić, żeby te głosy miały pochodzić, z kąd inąd iak z nieba. Zostawałem przez kilka minut w zachwyceniu, niepomyślałem nawet spòyrzeć na około siebie. Aż dopiero po niejakim przeciągu milczenia, podniosszy oczy i obróciwszy się wtę stronę, z kąd owe przyjemne głosy wyszły, zobaczyłem na jednej gałęzi dwa małe ptaśzki, które zdawało się, iak by się z sobą biły, a trzeciego także na gałęzi opodal, który się im przypatrował. Ledwiem na nich spòyrzał, by-



byłem bowiem cały w nateżeniu dōyscia, zkąd wyszły te głosy przedziwne, których już nieślychać było więcej. Głosy się znówu odezwały, a ja z większą ięszcze ufilnością zacząłem ich szukać, aż dopiero nachodziwszy się próżno wtę i owę stronę, powróciłem do ptaszków. Przypatrzyłem się im pilnie, i poznałem, że to one śpiewały. Widziałem że pyszczkiem, przez szybkie, i dziwne onego ruszanie, umilały głos, który z ich gardziołków wychodził; widziałem, iak ich gardziołki, przez swoje kołysanie sprawowały dźwięk i tony. Ach gdybym był mógł, albo się podnieść do tych ptaszków, albo ich do siebie sprowadzić, iakżebym ich był pieścił! One mnie niewidziały, stałem przed nimi, i zacząłem dawać im znaki przyjaźni; ale zdawały się ich nieuważać. Zaspiewałem *dać mu pokòy*, a one poleciały. Tak mnie to zadziwiło i zmartwiło,  
żem

żem odszedł od zmysłów, i nie-  
 miałem przytomności uważać cu-  
 downość ich skrzydeł. Zamysli-  
 łem się o innej rzeczy daleko pil-  
 niejszej, i ułożyłem u siebie, że  
 jeżelibym miał szczęście dogonić  
 ich na iednym drzewie niedaleko,  
 gdzie widziałem że usiadły, po-  
 trzeba żebym im zanucił z cicha  
 coś miłszego, niż com dopiero  
 spiewał, a to coś, nie mogło być  
 rzeczą inną tylko mój głos  
 prosty.



### *Zachód Słońca.*

Zbiegałem goniąc za niemi  
 ieden mały gaik, z którego wy-  
 szedłszy, ujrzałem dosyć ob-  
 szerną płaszczyznę, pełną samych  
 tylko ziół, wrzosu, piasku białego,  
 kończącą się w tym momencie  
 najpiękniejszym na świecie wi-  
 dokiem, słońcem zachodzącym.  
 Poznałem go choć już utraciło  
 część swojego blasku. Rzucam  
 się

się ku niemu, i rozumiejąc, że niedaleko jest odemnie, bo się zdawało dotykać brzegu horyzontu widzialnego, biegnę, i tak mi się zdało, porzuciłbym był moje ptaszki, gdybym szczęściem, które za największe moje uszczęśliwienie poczytywałem, gdybym mówił, był niezobaczył, że wteż stronę ptaszki moje leciały - - - leciały! i nietylko leciały - - ale i śpiewały, co mi niewypowiedzianie podobało się. Ztąd zacząłem mniemać, że nie był istestwem tak doskonałym, jak rozumiałem do tego czasu; zacząłem wnosić, że muszą być inne frzednie między mną i słońcem istestwa. (\*)

Szedłszy przez nieiaki czas, i mocno zmordowawszy się, dogoniłem moje ptaszęta, ale nie słońce. Musi być, mówiłem, że ucieka odemnie, albo raczey że

i nad mnie

---

(\*) Poznałem wczasie, że rozum. wy-  
nioR mię, i nad ptaki i nad słońce.

mnie niewidzi; bardzo daleko jesteśmy od siebie; wolę tu trochę spocząć; może się inną puszczę drogą, to go przebiegnę. Ach gdyby się udało wtę stronę, gdzie są moje zapasy; chciało mi się iść a nie widziałem nic prócz wrzołu; skosztowałem go, ale widziałem że to zbyt twarda potrawa.

Tym czasem spoczywam usiadłszy pod drzewem, na którym usiadły ptaszęta, mając wlepione oczy w słońce, żebym widział co się z nim stanie. Spuszczało się naddość widocznie, co mnie nabawiło niespokojności. Któż wie, myślałem, czy go nie nazawsze utracę? Bawiąc się tą smutną uwagą, postrzegam, że przedmioty coraz stają się mniej wyraźne. Obracam się w drugą stronę, widzę że mgła ciemna, zasłona iakaś czarna powstała z morza, i rozciąga się ku zachodowi. Cóż jest! zawołałem, toż to i ta niezmierna klatka ma swoje nocy, iak miała tamta szczupła, w której

rey zostawałem zamknięty! Pionki mych małych ptasząt, które ten smutny siodziły nocy początek, słaiały zwolna, potym zupełnie ucichły. Poddałem się cały smutkowi, a im więcej dla mnie widok dnia miał przyjemności, tym okropniejszy mi się zdał widok nocy. Dla zobaczenia czym się niemylił? i czy w rzeczy samey słońce zstąpiło w morze? wlałem na iedne drzewo. (Natura nas nauczyła tey sztuki.) Otarłem sobie nieco skórę, gdyż iak wszystkie dzieci wieyskie, tak i iachowany byłem w pudełku: gorzejby ieszcze było, gdyby mnie od niemowlęcia powiowano w pieluchach, i w odzienie ubierano. Im wyżey lałem na drzewo, tym żywsze wydawały się promienie, które odbiiało słońce zachodzące. Ośadziłem więc, iż gdybym się mógł dostać, na wierzch iedney bliskiey skały, która była wyższa od tego drzewa, ieszczebym lepiej zobaczył, co się stanie z słońcem.

Uda-



Udałem się do tej skały i już zacząłem się na nią gramolić, kiedy fowy i inne ptaki nocne, zaczęły wrzeszcząc przeraźliwie około mnie latać. Gdy porównałem te wrzaski z piosnką ptaśząt, którą nie dawno słyszałem, smutek się mój powiększył, i wkrótce potym przyszedł do ostatniego stopnia. Dostawszy się na wierzch skały, ujrzałem, że słońce zupełnie zniknęło, a noc rozciągnęła się i natę część Nieba, która ieszcze zostawała còżkolwiek jasna.

Niebo było posępne, choć nie zachmurzone; gwiazd niewidziałem, a przynajmniej nie uważałem ich. Powróciłem znowu pod moje drzewo, płakałem mocno i powaliłem się na ziemi, obróciwszy się twarzą ku zachodowi. Sen powieki moje ścisnął, a smutek i otwierał: nakoniec usnąłem, ale sen mój nie był ani długi ani spokojny. Ta noc miała dla mnie wszystkie znaki śmierci, ach czemu nie miała także ostatnich, nie-

nieczucia i milczenia! -- Nie-  
stety owszem przeciwnie, sny o-  
kropne i tłumne, niedawały mi  
pokoiu, i nieskończyły się aż na  
pierwsze promienia światłości.  
Co za promienia! co za światłość!  
Dusza moja, pierwey się dla ich  
przyjęcia otworzyła, niżeli oczy.

Wyobraź sobie w myśli, iak jest  
szczęśliwy niewolnik, z którego  
zdięto kaydany; zbrodzień, kto-  
remu darowano życie, kiedy już  
fzedł pod miecz katowski; czło-  
wiek pocziwy, który w iednym  
momencie został uleczonym z  
głupiey miłości, którą miał do  
podłey zalotnicy; Król, co przy-  
iaciela znalazł, prawdę poznał,  
dla ludu swego o pokoy się posta-  
rał; o toż tak ja byłem szczęśli-  
wy obudziwszy się ze snu. Led-  
wiem nie upadł pod zbytkiem mey  
szczęśliwości, ale część iey uie-  
ła iedna uwaga: (kiedy kto jest  
nadto szczęśliwym, może się spu-  
fzczać na iey pomoc.) Uważa-  
łem że niebyło podobieństwa Słoń-

ca na tym mieyscu, gdzie się  
znaydowało, nim się spać położy-  
łem. To mi wielką sprawowało  
niepokoyność. Szukałem go w  
inney stronie. Obróciłem się na  
koniec ku morzu wschodniemu,  
iednak namysliwszy się pierwey,  
bom się obawiał, żeby oczy mo-  
ie nie przeraziły się znowu iakim  
widokiem podobnym widokowi  
zafłonie czarney. Spòyrzałem i  
zobaczyłem, iak nie słuszną była  
moia boiaźń.



### *Wschòd Słońca.*

Pióro *Homera* i pèzel *Apelleśa*  
nie wyraziłyby, iak tylko słabo,  
widoku, który dla mnie w tym mo-  
mencie wystawiły Niebo i ziemia.  
Mówię, że *wystawiły dla mnie*, bo  
ten widok był tylko dla mnie sa-  
mego. Kòżdy inny na mieyscu  
moim, widziałby te same przed-  
mioty, załedwie tyfiączną w nich  
uważając część tego, com ia w  
nich

nich uważał. Nie zapominay, że iuż miał umysł doyrzały, a cale nowy.

Zobłoku fioletowego, który się na puł horyzontu rościagał, wychodziły płomienie ogniste, tey-że samey rozciągłości z purpurą i lazurem zmieszane. Ten tak wspaniały widok, morze ieszcze pięknieyszym czyniło, i podwajało go odbijając promienie. Wyspa moja, w mieyscach nawet nie równych i piaszczytych, wesółą się wydawała pod tak pięknym Niebem --- Jak ia żałuję tych ludzi, od tąd iak wiem, że się znayduią tacy, którzy nie widzą codzien Jutrzeńki, i że wielka iest z pomiędzy nich liczba, którzy iey nigdy nie widują!

Przypatrowałem się przez nie-łaki czas tym cudom, raz ogu-łem, drugi raz pojedynczo, ale że mój żołądek próżny, przy- muszał mię do szukania pokarmu, udałem się ku mey klatce tym chętniey, że idąc do niey zawsze

F mia-

miałem Jutrzenkę przed sobą, którą wchodziła i Niebo malowała. Światło promienia wynikając z frzód tego koła purpurowego i ogniściego, rościagały się po całym przestworze Niebieskim. Zbaczyłem że z głębi wód, ukazuje się ogień, z którego wychodziły te promienie: była to kula złota, było to słońce. --- Rozumiałem że się oszukał; obróciłem się w tę stronę, w której go zostawiłem z wieczora. Można się domyslić łatwo, że tam tego nie znalazł, i trzeba mi było wiele rozumować dla docieczenia tej tajemnicy.

Nie myślałem żeby słońce przeszło po podemną. Cóż miało czynić, oświeciwszy mnie i moje ptaki? Ale oto jest, co mi się zdało być najpodobniejszy do prawdy. Ten wielki mrok, co się wczora w wieczor rozciągnął po całym Niebie, zapewne morze posłało słońcu, ażeby się nim okryło, i żeby przechodząc po nade-  
mną



mną dla zaczęcia swego biegu (\*) nie obudziło mię ze snu zbyt żywym swoim światłem. Miłość własna podawała mi do myśli te rozumienia; ale taż miłość nie zaślepiła mię aż do tego słopnia, żebym nie czuł iak wiele hołdu, iak wiele wdzięczności byłem winien temu pięknemu światłu, albo raczey iego Twórcy, ku któremu zaczynało mnie one prowadzić. Już ja mówiłem do siebie widząc słońce, któż to jest co to wszystko stworzył?

---

*Wymyślam iedno systema względem  
wzrostu ciał.*

Przez ten czas, gdy szedłem  
przeciw słońcu, te wielkie wyo-  
F z bra-

---

(\*) Dla czego słońce nie odprawując przez noc podróży Niebieskiej, nie zostało aż do iutra tam gdzie zaszło? Nie wiedziałem iakim sposobem usprawiedliwić tę podróż niepotrzebną. Po długich rozumowaniach zdało mi się, że to mógł być figiel, który mi słońce zrobiło.

brażenie i wiele innych, pomieszanie snuły się w moiej myśli. Cóż ja jestem? zkądżem się wziął? cóż to jest te słońce, te Niebo, ta ziemia, te ptaki, te drzewa, te skały? iak się to wszystko stało? iak się stałem ja sam? ponieważ bez wątpienia przedtym mnie nie było. Widziałem się tak małym, że za ledwie mogłem dosięgnąć koła, na którym stawiono dla mnie potrawy, a teraz głowa moja ziego się wierzchem równa. Może urosnę tak wysoki, iak są te drzewa i skały, które nie z inney może przyczyny są tak wielkie, tylko, że są dawnieysze odemnie. Ale czyliż i ja nie byłem tak małym, iak te ziółka, które, kto wie? jeżeli z czasem nie urosną tak wielkie iak te drzewa? Cóż ja byłem przedtym? Czym staniemy się, ja, te drzewa, te ziola, te skały, gdy będziem tak wysocy iak Niebo, kiedy słońce będzie przechodzić pomiędzy moje palce, po między gałęzie drzew

drzew i ziół, i będzie musiało,  
choć tak małe jest, pomiać ska-  
ły, bo nie potrafi przeysć po mię-  
dzy niemi i Niebem, ktòrego się  
one głową swoją dotkną? może  
też i słońce urosnie? a ztąd wy-  
niknie naywiększa zawada, bż  
czyliż i Niebo, w ktòre to wszy-  
stko jest obwinione, będzie się  
mogło także rozrość? --- Wi-  
działem iak są nad pojęcie moje  
te wyfokie badania, i miałem  
przecie rzadką roztropność zanie-  
chania tych myśli.

Ani morze, ani iezioro z ktò-  
rego piłem, niewchodziły wte  
trudności, ktòrem sobie zadawał,  
przez nie trzymanie się swych czę-  
ści iednych z drugiem, i przez  
swoją ciekłość, ktòra zawsze  
dążyła na dół, a zatym nie mogła  
rość chyba wgłąb; głębią mia-  
łem za nieskończoną, ponieważ  
niewidziałem iey granic, przeto  
nie zatrudniałem się dochodze-  
niem,

niem, jakim sposobem może rość woda. (\*).

Wszystkie te badania, które dopiero wyznałem, były zbyt dla mnie wysokie, jak wysokie są i dla innych wielu; ale miałem upodobanie w ich dochodzeniu, ile mój rozum bez doświadczenia mógł być do tego

---

(\*) Niechay się temu nikt nie dziwuje, że ja będąc młodym tak wielkie rozumowania, i tak śmiało czyniłem domysły. Zmysły moje, które odtąd, jak poznałem moje iestestwo, uślowały nieustannie rościagać się po całym świecie, dla przynoszenia z niego wyobrażeń do mowy myśli; nie miały aż do tego czasu, zamiast obszerne go pola, tylko fczuły plac między czterma klatki moiej ścianami zamknięty. Mój rozum ściszony od dzieciństwa, i że tak rzekę w siebie samego zebrany, spuściwszy się razem z swej sprężyny, powinien się był daleko rozciągnąć, ale oraz nie będąc dobrze prostowanym, powinien był w tym pierwszym z cęgła spuszczeniu do wielu trafić błędów. I czemuż nie? to się przytrafia i rozumowi najlepiej prostowanemu.

tego zdolnym. Zdawało mi się, że lepiej niżeli przedtym myślał, lepiej rozumował. Nie wiem czy to pochodziło z ukontentowania, które miałem z przypatrzenia się iutrzeńki i pięknego poranku, czyli też ztąd że byłem nadźczony? Tę drugą przyczynę sądziłem być śmiechu godną. Co za związek mógł być między u. myślem i żołądkiem? potym aż nadto doświadczyłem, że jest wielki, mimo dziwney różnicy iestestwa materyalnego, od iestestwa myślącego, i ztąd nauczyłem się pokory.

Przybywam do klatki, przybywam mocno zgłodniały, iem podobostatku, i podiadłszy do syta, mam się tak za szczęśliwego, iakem się miał za wielkiego, co wiele znaczy. Bo chociaż nie byłem pierwszym woczach moich iestestwem po słońcu, byłem przynajmniej drugim. Zaczółem nawet wątpić, czy mi należało kląć się w niższym stopniu od ptaków?

i wkrót-



i wkrótce potym zostałem przekonany, że nie należało.



*Doznaię iednego czucia zmysłowego.*

Dwoie drzwi duszy moiej, powonienie i dotykane były ieszcze zamknięte. Pierwsze miały się wkrótce otworzyć i powiększyć podziwienie, w którym względem siebie zostawałem.

Wszedłszy do iednego bliskiego mey chaty gaiku, poczułem to, co nazwać można wonią poranku, zapachem słodkim ocucenia się ze snu natury. Poczułem ten zapach, który się tylko w lasach rozszerza, zapach tak przeciwny temu, którym tchną miasta i ich okolice. Do tego zapachu łączyła się wośła zieloność, na którą iutrzeńka świeżo rozrzuciła tak rzetelne skarby, iak perły i dyamenty są przywidziane.

Szczęśliwi tego ustronia mieszkańcy nuciły swoją szczęśliwość,  
i śpie-

i śpiewały powrót słońca. Zanurzyłem się razem cały w tych lubościach: serce moje zostało napełnione rokoszą czystą, rokoszą słodką, która jest nadgroda cnoty i niewinności życia. Rozumiałem że nie ma nic miłszego, nad to czegom doznawał, z tym wszystkim rokosz moja wkrótce się jeszcze bardziej powiększyła. Jakiś mię zapach jeszcze miłszy zaleciał. Nie dosyć żem go czuł, żem nim oddychał, pobiegłem jeszcze na miejsce, z kąd wychodził.

Uczyniwszy kroków kilka, posfrzegłem za krzakami trawnik zielony, kwiatami i brylantową rosą okryty, widać było z pod zieleniny trawnik błękitny, a jednak miękki, a po między tym wszystkim, wznosiły się szlachetnego i przyjemnego kształtu liścia, i tam, i ówdzie rozsadzone krzewy, na których wisały małe ziarna, do najpiękniejszego alabastru podobne. Położyłem się na  
ziemi

ziemi, dla potykania tych wszystkich zapachów. kąpię się w roście na konwalii i na notkach; serce moje pływa w rokoszy, która do niego wchodzi przez zmysły. Tarzałem się, wyciągałem się na ziołach, używałem lubości piętego moiego zmysłu --- Ach *Inho!* --- Ach ja cię pokrzywdzam! Nie -- nie poczułem ja rokoszy dotykania, aż dopiero w owym momencie, kiedy pierwszy pocałowanie odebrał z ust twoich.



*Czuję się być nieszczęśliwym nie mając towarzysza.*

Postrzegłem w niej jakieś odemnie odległości dwie Synogarlice, które razem w roście i ziołach bawiły się, pieściły i dziobały się --- i skrzydłami trzepotały. Zasmuciłem się tym widokiem, widząc, że jeszcze nie znam tego wszystkiego, co jest stworzonym dla mnie. Ta uwaga wzbudziła we mnie drugą potężną go-

goryczy. Tych ptasząt jest dwo-  
 ie --- Mucha, co przez nieiaki  
 czas zostawała ze mną w więzie-  
 niu, zapewne żyła z innemi mu-  
 chami, bo ich tu wiele widzę.  
 Moi słudzy, których widziałem  
 biegących do morza, są w towa-  
 rzystwie. Ptaszeta, co na drzewie  
 śpiewały, nie są samotne; Rybki  
 i ślimaki, którem od morza przy-  
 niośli, żyją w społeczeństwie. Te  
 krzewiny, kwiaty i drzewa, ie-  
 żeli do siebie nie mówią, jeśli się  
 z sobą nie pieścżą, bo to nie jest  
 rzeczą do ich szczęśliwości po-  
 trzebną, przynajmniej mają ro-  
 zkosz widzieć się i być razem;  
 a tylko ja jestem sam ieden? moż-  
 naż być szczęśliwym nie mając  
 towarzysza? Ach! gdyby drugie  
 stworzenie podobne do mnie, dzie-  
 liło ze mną moją szczęśliwość,  
 czuję, żeby ta moja szczęśliwość  
 w dwójnasób powiększoną była.  
 Więc napół tylko jestem szczę-  
 śliwy. Gdzież znajdę te iestestwo,  
 któreby mi było tak miłe? nie-  
 chciał-

chciałbym, tylko iednego; dosyc-  
by mi było - - - Któżkolwiek ie-  
steś, coś mię tu osadził, dla czegoś  
mię osadził samego? Będzieszże  
okrutnym, że mnie tak zostawisz  
na zawsze? Mógłbym być tak  
szczęśliwym. - - - Trzebaż że-  
bym prowadził życie nudne - - -  
Gdybyż się te przynajmniey mo-  
gło skończyć! - - - W tym się wy-  
obrażenia moje pomieszały; zda-  
ło mi się iak gdyby obłok gęsty  
zaćmił mój umysł. Zostawałem  
przez nieiaki czas pogrążony  
w zamyśleniu i smutku, nakoniec  
usnołem. Jeden sen miły pocie-  
szył mnie w utrapieniu, które mi  
sprawiły moje uwagi: oto on  
jest.

Zostawałem na tymże samym  
trawniku zielonym, naktórym u-  
snołem, słyszę iakiś szelest w ie-  
dnym krzaku, biegnę do niego,  
widzę że się gałęzie i liścia rusza-  
ją; odskoczyłem z boiaźni, potym  
znowu przyśtopiłem - - Co za  
widok! (Już temu lat trzydzie-  
ście



ście, iakem go widział, a ieszcze tak wielką mi czyni impresję, iak gdybym go widział dopiero wczoraj) Postrzegam iakieś iestestwo -- iakąś Boginią -- Była ona podobna do mnie z nieiaka iednak różnicą. Była nieco wyższa, ale daleko piękniejsza odemnie. Członki iey nierównie były wdzięczniejsze i kształtniejsze, żyły nie tak wyraźne iak moje, skóra daleko bielsza. Zbliżam się do niey, ona mnie przyimuie z uśmiechem; którego wdzięku nie można wyrazić. Mówi do mnie razem i usty i oczyma. Jak rumiane iey usta, iak świeże! Jak wspaniałe, iak miłośne i żywe iey oczy! Niosę do iey ust pocałowanie tchnące iakimś świętym ogniem, który iey oczy w moim sercu roznieciły. Sciskam ją, trzymam za ręce, tak się obawiałem, żeby nie umkneła odemnie. Ona mnie wtey uspokaia boiaźni z upodobaniem postempuiąc za mną. Prowadzę ją na ten że sam trawnik,

i na

i na też mieysce, z którego miałem  
szczęście usłyszeć szelest krzaku,  
który ją przedemną ukrywał. Mo-  
je spójrzenia, moje pieśszoty,  
mówią iey tyfiąc rzeczy, na któ-  
re ona tak dobrze odpowiada - - -  
Czuję żywe pragnienie, których  
przedmiot mniemam mieć przed  
oczyma, ale serce moje będąc tyl-  
ko na wpół rozwinięte, nie zna  
jeszcze z kąd te pragnienia po-  
chodzą. Rozumie że go zagrze-  
wa ogień, iak ciało grzeią pro-  
mienie słoneczne, z tym wśzy-  
skim czuję upał iego. Sciskam  
ręce mey towarzyszki miłej, po-  
rywam się nagle ze snu, przetwie-  
ram oczy, i widzę że sam jestem.

Te nieszczęśliwe ocknienie się  
pograżyło mię w smutku. Wiele  
wzdychałem i płakałem. Do te-  
go czasu nigdy płacząc nie  
wzdychał; tego dnia ledwie pierś  
mogły wystarczyć wzdychaniom,  
i iak wiele razy potym wzdycha-  
łem do tegoż samego przedmiotu!  
wzdychania moje były dla mnie  
bole-

boleścią i smutkiem, nim go znalazłem; teraz gdy go dziedziczę, są lubością i rokoszą.



*Jedno zdarzenie i niektóre uwagi  
uspokajały mnie.*

Łzy moje z początku pomieszane z goryczą, a nawet i z rozpaczą ośłodziły się powoli. Właśnie iakby dla przerwania mi smutku, ptaszęta niedaleko mnie uśladły, spiewać zaczęły. Podniosłem słaby wzrok w tę stronę, gdzie one siedziały: wskazałem głową i ręką na te miejsca, które podług rozumienia mego, miało w sobie to, co mego smutku było przyczyną. Smutek ten tak był żywy, tak wielki, że zdawało mi się, iż wszystko powinno być dzielić wraz ze mną. Przywidziało mi się, że głos ptasząt był żałośny, odpowiedziałem im takimże, ale słabym głosem, *dać mi pokoy.* Nieodleciały iak tamte,  
do

do których dnia poprzedzającego rzekłem też same słowa, z czego tak kontent zostałem, iż to w sercu moim roznieciło pierwsze światelko pociechy, którą na potym następująca uwaga powiększyła.

Wszystkie sny, które miałem do tych czas, albo mi przypominały przypadki przeszłe, albo wróżyły co mi się przytrafić miało. Ten ostatni, niestety! nie jest bynajmniej obrazem zdarzenia przeszłego. Oh! gdyby skutek tak prędko nastąpił i tak się doskonale zyscił, iakmoich snów pierwszych, iak żebym był szczęśliwym! Jesteśtwo mocniejszy które mnie stworzyło, i te tak żywe, tak gorące pragnienie w serce moje wlało, przyprowadzi mi tu bez wątpienia ten przedmiot, który mi ukazało we snie. Byłoby niesprawiedliwe, byłoby okrutne, gdyby tego zaniedbało uczynić --- Nie, nie, nie zaniedba: tyle mi one uczyniwszy do-

dobrego, mie może byc niesprawiedliwe, ani okrutne -- Ale co to iest te iestestwo? gdzie one iest? stanotem na tym, niesmiałem ieszcze postępować daley, lękałem się pograć w przepaści.



*Wystawiam pamiątkę, i dwie wiadomości odkrywam.*

Żebym uwieczyscił, że tak rzekę, w oczach moich sen ostatni, przyszło mi do myśli położyć kamień, który niedaleko od siebie widziałem, na tym mieyscu, gdzie godzina pierwey, byłem tak szczęśliwy i tak nieszczęśliwy. Idąc po ten kamień postrzegłem zdroj, napiłem się z niego wody i mocno ucieszyłem się z tego odkrycia. Od tego zdroju poszedłem do kamienia, przeniosłem go na mieysce, na którym zdawałomi się, że ktoś *drugi ja* przebywa. Poślanowiłem do niego przychodzić co dzień, żebyin go iza

G . . . . . mo



moimi skrapiając, uczynił czułym na me wzdychania, czegom w rzeczy samey nigdy nie zaniedbał.

Gdy ten kamień toczyłem ku swemu przeznaczonemu miejscu, postrzegłem nad gałęziami zielonemi nie których krzaków nieruchomemi, dwie gałęzie dosyć rozłożyły, ale bez liścia, które się ruszały, lecz mnie to niezastanowiło: toczyłem dalej kamień; byłem cały zaprzątniony pamiątką, którą miałem wystawić. Jednakowoż gdy tę skończyłem robotę, i gdy dla położenia na tym wielkim dziele pieczęci, ucałowałem kamień i kwiatami go uwieńczyłem, udałem się na tę miejscę, gdzie te cudowne widziałem gałęzie. Postrzegłem że szły ku mnie: zastanowiłem się. Co za podziwienie moje było, uyrzawszy krzak, z którego one wychodziły? Właśnie to głowa Jelenia. Szedł on się natę murawę, gdzie ja dośmiutny hołd oddałem miłości.

Zo-

Zobaczył mię i nie zląkł się. (\*) Zbliżył się aż do kamienia snu (tak go'ia zawsze nazywałem) i był odemnie na strzelenie z pistoletu. Przypatrowaliśmy się sobie z równą ciekawością, mierzyliśmy okiem ieden drugiego, obydwaj mieliśmy się na baczności, ieżeli ieden drugiego miał mieć iak za przyjaciela, albo iak za nieprzyaciela. Nayprostsza była rzecz, żebyśmy się oddalili, on w swoją, a ja w swoją stronę; ale natura nas nauczyła, że gdy niebezpieczeństwo jest wątpliwe, potrzeba doświadczyć dla dowiedzenia się, ieżeli od tąd na potym od niego należy lub nie należy uciekać.

Na zbliżenie się ku mnie Jeleń, poczułem z początku w sobie boiaźń, ale mnie chód jego szlachetny i wspaniały uspokoił. Z niewymównym ukontentowaniem

G 2 przy-

---

(\*) Doświadczyłem z samego siebie że zwierzęta nie tak się lękaia Człowieka nagiego, iak odzianego.

przypatrowałem się temu pięknemu zwierzęciu, dziwiłem się jego kształtowi, porównywałem układ ciała jego z moim, i znaydowałem w nim coś doskonalszego niżeli w sobie. Sposob jego pasienia się mocno mię bawił: padłem także na ręce i zacząłem gryść trawę, ale gdy ta zdałami się być twardą i kwaśną, chciałem skosztować kwiatów. Jako ja na ów czas mało miałem wiadomości, a żadnego na świecie doświadczenia, tak dziwiłem się, że mając tak miły zapach, były smaku tak gorzkiego i nieprzyjemnego. Zaczęłem poznawać że nie można o wszystkim sądzić z podobieństwa, nawet w tym co wydaie natura, a to mnie mocno zmartwiło. Wstałem z ziemi porywczo: Jeleń uciekł, próżnom go usiłował dogonić, zniknął mi z oczów.

Głód mi dokuczał, poszedłem iść, a odłożyłem na poobiedzie, iść nie polować na Jelenia, ale zobaczyć się z nim z przyjaźni,  
ktò-

którą z nim zawrzeć umyśliłem.

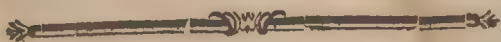


*Gram z moją cieniem.*

Powracając do mey klatki przypatrowałem się Słońcu z nowym co raz podziwieniem. Widziałem, że taż samą idzie drogą, co dnia poprzedzającego, i gruntowałem się w mym rozumieniu, że przeznaczenie iego było krążyć około mey wyspy. To powiększało moją ku niemu wdzięczność i przywiązanie. Czucia te głębokoko się wraziły w moje serce, a te szczerem tchnęło uszanowaniem: ale nie sądziłem, żebym powinien był te uszanowanie rościagać, aż do cieni, która przy słońcu, mego ciała i innych, nieprzezroczystość sprawowała. Zpoufaliłem się z moją cieniem, igrałem z nią, i kiedym miał słońce z tyłu albo z boku, goniłem za nią, groziłem iey kłosem i różne wyrządzałem figle. Gdy była z tyłu,

tu, zachęcałem ją, żeby za mną  
szła, i okazywałem przez znaki,  
żem był kontent z iey punktual-  
ności.

Miałem ją zboku idąc koło ka-  
mienia snu do mey klatki, a lenic  
do niey niemówiłem przez ten  
mały przeciąg, będąc cały za-  
przątniony słońcem, ieleniem,  
snem i potrzebą pośilenia się.  
Było na ów czas późniefy iak połu-  
dnie, gdyż moia cień, która z ra-  
na była z prawey strony, to iest ku  
morzu zachodniemu, była iefzcze  
po prawey stronie gdym powra-  
cał, a zatym ku morzu wschod-  
niemu.



*Zaczynaią się psuć moje zapasy  
mięsne.*

Przybywszy do klatki zastałem  
moie kosze z zapasami w tym  
stanie, wiakim ie zostawiłem, ale  
które zostawiłem pod drzewem,  
zdatymi się nie co poruszone i  
umniey-



umnieyszone. (\*) Z tym wszystkim iakieby iestestwo śmiało ruzzać to, co było przeznaczone do użycia mego? Miałem to za rzecz niepodobną, i nieczyniąc ztąd sobie żadney niespokojności, wzięłem, albo raczey pochwyciłem kawał mięsa.

Choć kosze postawiono w cieni drzew, słońce iednak przechodzącędy drugi raz po moim przybyciu, zaczęło niektóre kawałki świeżego mięsiwa psuć. Zapach nieprzyjemny zaleciał mnie od tego kawałka który wzięłem, rzuciłem go nieśmiejąc iść i płakać zaczęłem. Mój chleb także z sechł mocno, co mnie niewypowiedzianie martwiło. Uważałem z rana, że im bardziej słońce dogrzewało, tym znacznie rosa ubywała z kwiatów, i zaczęło mi w myśl wpadać, że to słońce ją wypiało, wnosilem także, iż to

one

---

(\*) Dowiedziałem się na potym, że to króliki moją żywność poruszały i zjadały.

one chleb mój wysuszało, i od tego momentu starałem się skryć go przed jego upałem.

Mała iaskinia wykłpana w zgórku, przy którym kompałem się w wodzie, zdała mi się być dobrym miejscem na mój drogi skład żywności. Umyśliłem ię tam przenieść, wyróciwszy w przód kosze i zobaczywszy, iężeli wszystkie mięsiwo nie ięst zepsute, iężeli wszystkie chleb nie ięst uschły. Ale miałem się ięszcze dowiedzieć o rzeczy inney, niemniey iak ta ważney, to ięst: zobaczyć, iężeli także zioła moie i korzenie uszkodzone nie są, tak iak inne zapasy. Pobiegłem do nich zwielką niespokoinością i znalazłem nie co zwiędłe, ale bez żadney nieprzyiemney odrazy. Kosztuię, i widzę, że są tak dobre, iak były pierwiey, tylko co nieco twardsze. Zebym miał z czym porównać (gdyż to ięst pierwszy poznania sposób, którego nas uczy natura) biegnę zebrać

brać innych korzeni, których bez trudności nawyrywałem bo rosły w ziemi -piaszczystey i letkiej. Znayduię że te tą świeższe, miększe i przyjemniejsze. Poznawałem iuż pierwey còżkolwiek, że słońce przez swoje ciepło z fylało urodzayność i życie na łono ziemi. Wniośłem na ten czas, że ieśli sprawowało foki żywiące i wyprawowało ie wroslinach, pòki zostawały w ziemi, fuszyno ie wysysając z nich teź same foki skoro zostały z ziemi wyrwane. Kontent z tego odkrycia, które bez wątpienia na ów czas ciemniey poymowałem, niżeli ie teraz na piśmie wyrażam. Chciałem tak-że porównać owoce zerwane, z zostaiącemi ieszcze na drzewie, i znalazłem w nich teź samę prawie różnicę co i wziołach. Jak to być mogło? Owoce wiszące na drzewie bardziey były wystawione na upał słoneczny, niżeli te co zerwane, a przecie pierwsze nie były, ani tak pomarszczone,

ne, ani tak zwiędle, iak drugie? to przechodziło mój rozum, choć tak głęboki. Mogłbym się był wprawdzie domyślać, że drzewa będąc wkorzenione w ziemię, ciągnęło z niey soki, prowadziło je w gałęzie, a z tych wowoce, ale iakim narzędziem, i iakiemi kanałami mogło je prowadzić? Wszystko to nie było rzeczą iasną, a ia zostając wstanie Człowieka naturalnego, pośpolicie niewiadomość przenosiłem nad domysły i mniemania. Czasem też czyniłem domysły, iak można widzieć w poprzedzających rozdziałach; gdyż każdy Człowiek, nawet i naturalny bywa nierozsądnym.



*W iakim stanie znajduję moje Slimaki i Rybki.*

W wilią dnia tego, to iest wdzień mego przybycia, długom się przypatrował i dziwił moim  
ma-

małym rybkom i ślimakom. Wiedziałem że te drugie łążą po ziemi to w przód, to wtył, to nabok, i choć niemogłem nic z tego wszystkiego pojąć, mocnom się tym iednak zabawiał. Rybki się zaś tylko trzepiotały, i nową dla mnie arcy przyjemną czyniły igraszkę. Ich kształt, ich odzież błyszcząca się, żywość, oczy ruchawe, i że tak rzekę swywolne, zawierały w sobie coś cudownego, co mnie w podziwieniu wprawowało.

Ale miałem nad niemi politowanie, że nie mogły tak łązić iak slimaki. Zdawałomi się że iestestwo nie znaiome, te iestestwo, z którego one rąk wyszły, nie uczyniło między tym dwoiakim stworzeniem równego swych darów podziału. Nie wiedziałem, że istność przeznaczyła Ryby do pływania w wodzie, i że one zostając w tym żywiole, zażywały wszelkiej wolności i szczęścia, do którego mogły być zdolne.

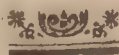
Za-



Zaprzątniony wielkimi i ogromnemi świata przedmiotami, Ziemią, Niebem i morzem, nie miałem przytomności umysłu i cierpliwości potrzebney do zażłanowienia się uwagą nad rybami i slimakami.

Powróciłem do nich dnia drugiego przeniosłem do iaskini moje zapasy. Znalazłem że slimaki rozproszone z kofza wszystkie szły, iedne prędzey, drugie powolniey iednąż drogą, do naybliższego morza, to jest: do morza wschodniego, z którego ich przyniosłem. Same tylko rybki zostały bez ruchu żadnego na dnie w kofzu, w który ie włożyłem. Smutna ich postać zmartwiła mnie. Chciałem się im przypatrzeć bliżej, ale mnie odraziło nieprzyjemne z nich wychodzące powietrze. Oczy miały otwarte, gdyby nie to, rozumiałbym że spały. Zawżde otwierałem oczy, gdym się obudzał, więc podczas snu mego były zamknięte, a ia o kół-

kòżdey rzeczy z siebie samego  
 sądziłem: lecz oczy ich były  
 otwarte, a nie ruszające się i zga-  
 słe, te więc stworzenia małe, ani  
 były śpiące, ani przebudzone.  
 Choć nie wiedziałem iaki to był  
 ten ich stan, zdałmi się iednak  
 być okropnym. Wziołem iedną  
 rybkę wrękę, ruszałem ją, prze-  
 wracałem, nic nie opuściłem, po-  
 wiedziałem iey nawet *dać mu po-*  
*koy* - - - Niesfety! iuż w tym sta-  
 nie zostawać musiała, aż pòkiby  
 iedne części iey ciała, przyłą-  
 czywszy się do materyi ożywio-  
 nej, drugie do martwey, nie pow-  
 róciły do nieustannego wichru; a  
 ten moment nie był daleki. Wło-  
 żyłem znowu zwolna rybkę do  
 kosza, bojąc się żebym iey nie  
 uczynił przykrości, i poszedłem  
 zobaczyć, ieślibym nie znalazł  
 mego Jelenia.



*Idę szukać Jelenia i doganiać Słońce.  
zachodzące.*

Już nic nie przeszkadzało tey małej podróży, gdy ziadłem obiad dobry. Ale żebym mógł odprawić dłuższą, i pòysć aż na koniec mey wyspy, gdzie myślałem dogonić słońce przy iego zachodzie, ieśli-by iak dnia poprzedzającego, swóy bieg obróciło w tę stronę, nabierałem wiązkę korzeni, i związałem ją podwiązką, która mi służyła za smycz do ciągnięcia kózul.

Szedłem tak nagi, niosąc korzenie pod pachą, i byłem naybogatszym i nayszczęśliwszym na świecie człowiekiem, bo nie miałem ani potrzeb, ani obowiązków, ani interesów.

Przeszedłszy łakę snu, ucłowawszy pamiątkę, westchnow-  
szy kilka razy i włożywszy nie-  
co kwiatów na kamień, przesze-  
dłem-

dłem blisko strumienia, który idąc po kamień znalazłem; napiłem się z niego i zostawiłem przy nim jedno moje naczynie, żebym go mógł, kiedybym chciał, użyć. Na koniec przyszedłem na miejsce, gdzie Jelenia zgubiłem z oczu. Szukałem go tam przez czas długi, nie znalazłem: a obawiając się, żeby słońce nie przyszło do końca wysepny zachodniey, wprzód niż ia, pośpieszyłem w tę stronę, iak mogłem nuyprędzey, ponieważ widziałem, że się tam już spuszczać poczęło. Uszedłem nie mało drogi, i przybyłem aż do morza, które znalazłem tak nieskończone, iak z strony wschodniey. Słońce zachodziło za ten nowy horyzont. (straciłem wszelką nadzieję dóyscia aż do niego.) Ten smutek powiększał inny jeszcze żywfzy. Prawda miłsza była w oczach moich, niżeli słońce, a ia co moment postrzegałem się wiakim nowym błędzie. Moia klatka, gdym na nią patrzył. zda-  
leka,

leka, wydawała się tak małą, iak moje koszyki, a koszyki zdaleka zdawały mi się tak małe, iak ptaszęta. Toż samo drzewa, góry, skały. Morze zachodnie z miewsca, z którego zobaczyłem raz pierwszy, zdawało się być małą cząstką wody kończącą moją wyspę i stykającą się z Niebem. Zbliżywszy się do tey mniemaney cząstki zobaczyłem, iak bardzom błędził względem iey szerokości.

Gdy klatka moja i inne przedmioty wydawały się mniejsze zdaleka niż z bliska, z początku tę odmianę przypisywałem rzeczy iakieys, która mogła mi wlecić w oczy: przeto przetarłem ie ręką spodziewając się, że potym będę lepiej widział, ale gdy te lekarstwo nic nie pomogło, niechciałem więcey kusić się o docieczenie tajemnicy; osądziłem ią za niedościgłą. Naybardziey nie pojętą zdawała mi się na widok morza, które brałem za iezioro pomierney rozległości. Szemra-  
łem



tem nato, bo zawsze niewiado-  
mość do tego udaie się frzodka.  
Naco się przydadzą oczy, ieżeli  
niemi nic pewnego nie można  
odkryć, i ieżeli iednąż rzecz  
widzą sposobem dwoiakim cale so-  
bie przeciwnym, z których ieden  
koniecznie musi być fałszywy, a  
może i obydwu? --- Niektóre u-  
wagi i w tym miejscu dały mi  
docić prawdy.

Jestem istotnością doskonałą, wszy-  
stkie moje zmysły i organa są prze-  
dziwne, panuje między niemi i  
w ich czynnościach doskonała zgo-  
da i porządek, który sprawuje  
moją szczęśliwość. Czyż podo-  
bna żeby najpiękniejszy z nich,  
oko moje, miało wadę? nie, bez  
wątpienia, potrzeba, żeby dla  
własnego mego pożytku, im są  
przedmioty dalsze, tym mniejsze  
wydawały się, i oto, rozumiem,  
jest tego przyczyna. Gdybym pa-  
trząc z nayodlegleyszego miejsca,  
widział ich takich, iakimi są  
wrzeczy samey, nie mógłbym ich

razem widzieć, chiba fześć, albo siedm, i zaięłyby mi cały møy wzrok, i to ciemnoby tylko ich widział. (\*) Daleko lepiej żeby wzrok møy buiał wolno, i mógł pojedynkiem przypatrować się rzeczom w tym pięknym i wielkim znaydującym się przestworze, który otacza Niebo. Uczymnie doświadczenie, że im daley iest iaki przedmiot, tym mnie się zdaie być mnieyszy. To tedy w takim razie powiększę pozorną ciał wielkość w miarę odległości, z ktorey ie będę widzieć, i będę znał wielkość ich istotną, a przeto nie podpadnę błędowi.

Tak

---

(\*) Natura miała ieszcze inną przyczynę w umnieyszeniu nam przedmiotów w miarę odległości, aby nam podała przez to sposob, iakimbyśmy o teyże odległości mogli sądzić. Bo daymy naprzykład, żeby wieża stojąca od nas o sto kroków wydawała się tak wielka, iak druga wieża podobna odległa od nas tylko o kroków dziesięć, zdawałoby się nam, że druga nie iest od nas daley, iak pierwsza.

Tak byłem kontent z tego rozumowania, choć w sposobie ieszcze daleko słabszym, niżeli się teraz wyrażam, że w niejakim zachwyceniu z podziwienia samego siebie, zawołałem, *dać mu pokoy* -- Zaczotem już nie tak często powtarzać pomienione słowa, które z początku zlawuły mi się tak miłe. O! iak to jest prawda, że rozkosze nawet najwyższe tępieją przez nałog, i że pomierność w ich używaniu jedynym jest frzodkiem do uniknienia ich sytości.

Słotce się spuszczało na dół, wi działem iak wchodziło w wodę. Próżno dla zatrzymania go czy niłem proźby, zanurzyło się w niey całe. Ciemna zaflona powstająca z morza wschodniego, zakrywała już wielką część Nieba, a ziemię blade tylko zimroku światło, oświecało. Szukałem schronienia, gdziebym mógł tę noc przepędzić spokojniey niż przeszłą, ponieważ miałem zimno, i to nieciaką we mnie sprawowało chęć

H a przy-

przykrycia się, przynajmniej dwoma lub trzema koszulami, ale nie uczyniłem tego, ponieważ zawsze kalkulując podług mego chwalebnego zwyczaju znajdowałem nieprzyzwoitość odzieży nieco większą, nad iey pożytek, (\*) co mi powodowało do przepędzenia nocy w iakich iaskiniach. Znalazłem iedną, spałem w niej bardzo dobrze, gdzie przynajmniej nic mi nie przeszkadzało spaniu, prócz niektórych snów, które pierwszych dni podziwienia, i że tak rzekę zachwycenia, są nieuchronne.

---

*Placzę rozumując że natura została  
w iakimś smutku.*

Pierwszy mój wzrok, iak tylko się obudził, rzuciłem ku  
Nie-

---

(\*) Musiałem na potym uznać, że nie tylko nie ma nic skromniejszyego i uczciwszyego, ale też nie wygodniejszyego i zdrowszego, nad odzienie, byleby było bez wymysłu i zbytku.

Niebu. Całe było zakryte chmurami; ani iutrzeńki, ani słońca nie widać było na horyzoncie. Poszedłem aż do morza wschodniego, od którego oddaliłem się był prawie na milę, i tam nic nie zobaczyłem. Obróciłem się kilkanaście razy ku zachodowi. Może być, myślałem, że w tamtej stronie słońce zostało, ale i tam go nie widać było. Pograżony więc w smutku rzewnie płakałem.

Uważałem że cień jest skutkiem przytomności słońca, ale że nie zawsze rozumowałem słusznie i z przynależnymi wnioskami; chciałbym być, żeby słońce, jeżeli zmordowane, odpoczywało na miejscu, gdzie go zostawiłem w wieczor, przynajmniej dla pociechy mojej w smutku z jego nieprzytomności, przyśłało mi moją cień, te iestestwo malowane ze mnie, którego małpie figle mocno mię bawiły. Próżnom go o tę ulgę prosił, iesliby niechciało przyiść famo, przez przytomność



mnosć swoją przywrócić mi radość. Próżno płaszczyłem się na ziemi ku wschodowi, obracałem w te strony inoż wzrok smutny, i wyciągałem żebrzące politowania moje ręce: wszystko to było nadaremnie. Przepędziłem dwa dni całe w nayokropnicyszym smutku: przepędziłem je nie idząc i nie śpiąc. Dni te były prawdziwie dla mnie dniami żałoby. Wzdychałem do słońca, które zniknęło mi z oczów, iak miałem zwyczaj wzdychać do *Fatymy*, którą, nieestety! nie widziałem tylko weśnie. Utrata słońca, przypomniała mi utratę *Fatymy*; żal mój był niewypowiedziany. Jedyna nieszczęśliwych pomoc, nadzieia, mnie utrzymywała: drugą weśnie znalazłem, po bieganiach tak długich, iak nadaremnych, zmordowany, szukając przynajmniej jednego z dwóch serca mego przedmiotów, którymem cieszyć się był zaczął.

Przez

Przez trzy nocy nie spałem błąkając się nieustannie z niespokojności, ale niedaleko klatki, bo mnie ciemność przerażała. Nakeniec padłem na ziemię słabością, żalem i snem znudzony. Spałem kilka godzin, i już był dzień, gdym się ze snu obudził. Ten dzień nowy, zdawało się, że powinien być być jeszcze smutniejszy niż pierwsze. Niebo bardziey było zachmurzone, rozpoczołem z nowu mój płacz i udałem się ku morzu zachodniemu. W tę ia to stronę od dwóch dni największe miałem upodobanie chodzić: tam był grób mego Słońca.

Pogrążony w głębokich zamyślach, szedłem smutnie, z spuszczonemi w ziemię oczyma, z zwieszoną głową. Poczułem, że na mnie kilka kropel wody spadło. Ach! zawołałem, ach! Niebo także płacze! zapewnie słońce zginęło na zawsze! w còż się ia teraz obrócę? w co się teraz obrócą wszystkie iestestwa?

Defzcz

Deszcz zaczął kropić rzęście, aże był ciepły, niewypowiedzianie mi przyjemną czynił kompiel. Łzy Nieba zdawały mi się arcy słodkie, ziemia dla przyięcia ich otworzyła swoją łono, lasy i łąki tchnęły przyjemnym zapachem: zobaczyłem, że niektóre kwiaty jeszcze w pączkach, zaczęły się prędko rozwijać i żywsze na się brać kolory. Nowy widok dokończył usmierzając mój skutek i wlał w duszę moją tę radość, której moment ieden czyni nas daleko szczęśliwsi, niż wiek rokoszy szumnych. Dwie Synogarlice, które wzięłem za te same co widziałem dawniej, przyleciały rozpocząć z sobą miłą igraszkę, której świadkiem byłem. To wszystko razem nie wymowną mi sprawowało ukontentowanie, którego tym chętniej używałem, że zacząłem mieć nadzieję zobaczenia znowu słońca. Chmury od zachodu rozrywały się, i deszcz ustawał.

Nie

Nie przedstawiałem przypatrować się igraszkom mych Synogarlic. Poczułem, choć ciemno, pobudkę ich, i zazdrościłem im. Nieftety! one się całują, one się piezczą, one iedne drugiego szczęśliwość sprawują, one w parze, a ja sam! - - -

Ta uwaga miała mnie znowu pograćzyć w smutku, gdy słońce nagle wychodząc z zachmury uderzyło mi w oczy i aż do serca przeniknęło. Krzyknołem z podziwienia i radości, zacząłem skakać, tańczyć i z całej mocy śpiewać, *dać mu pokoy, dać mu pokoy*, a to z takim ukontentowaniem, iak kiedym go raz pierwszy zobaczył. Moie Synogarlice zleciały; goniłem za nimi, właśnie iakbym się mógł spodziewać złapać ich w locie. Popętniłem i innych kilkadzieśiat głupstw, ale wszystkie były dobre w naturze. Sądzę o tym z iednego małego pieśka, którego miałem w czasie późniejszym. Kiedy

dy mnie zgubił a potym znalazł, robił dla mnie to wszystko, com ia w tedy robił dla słońca.

Przyszędłszy do siebie z tego przyiemnego zachwycenia radości, rozpoczołem moje filozoficzne uwagi. Postrzegłem, że słońce z naydowało się na teyże samey na Niebie drodze, iak kiedy dwóch dni przeszłych wśchodziło z morza wśchodniego. Niewątpilem, że zeszło w tymże miejscu, i że zawsze chodziło pod zasłoną, aż pokiby znalazłszy miejsce słabe, nie przedarło się przez nią, dla oświecania bez przeszkody moiey Wyipy.

---

*Widzę Jelenia i znim iego łanę.*

Znaydowałem się nie daleko *Kamienia snu*, poszedłem wypłacić mu hołd smutny i słodki, który na siebie włożyłem: spotkałem Jelenia, zaczęliśmy się poznawać, iuż się więcey ieden drugiego nie obawiał



wiał. Wszedł do gaju zwolna i udał się drogą, która nie do mey klatki prowadziła, ale do małej iaskini, gdzie moje były złożone zapasy. Postrzegłszy to pośtempowałem za nim. On sam także szedł za innym zwierzęciem, które w niczym się od niego nieróżniło, tylko że głowę miało bez gałęzi, a brzuch daleko grubszy. Poznałem z wesołej Jelenia miny, że to była towarzyszka jego. O słońce! zawołałem, ich jest dwoie, a długoż jeszcze sam będę zostawac?

Jeszcze nie uszedłem czterech mili, idąc za niemi obok tej drogi, która od klatki prowadziła do pagórka, kiedy zobaczyłem, że weszli na ten pagórek i spuścili się potym do izeiorka, z którego ja dnia pierwszego piłem wodę.

Wszedłszy do mey izby iadalney małej iaskini, (\*) która iak po-

---

(\*) Nazywam ją tak, dla różnicy oinney iaskini więkkszey, w której, iak

powiedziałem wyżej, pod tym pagórkiem była wykopana, poczułem stęchliznę z niektórych kawałków nie solonego mięsa, które dniem pierwej rozumiałem, że się kilka dni jeszcze, bez zepsucia może zachować. Wyrzuciłem wszystko co mi zostawało, nawet i chleb, który był po części zeschły, poczęści spleśniały. Zostawiłem tylko w mych koszach mięso wędłe i nieco sucharów. Przyzwyczajono mię na okręcie do tych dwóch potraw nie smacznych i nie zdrowych.

Tym czasem, gdy ja moję reformowałem kuchnię, i używałem ucztę złożoney z sucharów, mięsa wędzonego i korzonków, zobaczyłem że Jelen i Łania powracały koło mnie bardzo blisko tąż samą drogą, którą przyszły, z czego wnosiłem, że nie daleko *łuki snu* musiało ich być pomieszkanie.

*Uwa-*

---

się wkrótce da widzieć, przepędzałem nocy.

*Uważam skutki zgnilizny.*

Skończywszy obiad, chciałem zobaczyć, ieżeli Rybki moje zostają w tym ieszcze nieruchawości i nieczułości stanie, w którym ich zostawiłem. Poszedłem widzieć ich o kilka kroków od moiej małej iaskini, gdzie ich w koszu postawiłem. Smród który wychodził z kosza oznaymił mi, że złe było powiększone. Uyrzałem, że Rybki zżiniały i rozsypowały się wkawałki. Zgnilizna zdałami się być rzeczą okropną. Przypatrzyłem się im bliżey, i zobaczyłem, że w ich ciałach iuż prawie zgnitych znaydowały się tyfiące robaczków. Ach! zawołałem, iakże to, co z początku zdawałomi się być rzeczą straszną, godne iest podziwienią mego! nic więcey nieginie, nic nie niszczeie. Albo te drobniuchne stworzenia staną się rybami, albo przynajmniey

mniej ryby znowu żyć będą w tych małych iestestwach. Wziytko więc, co jest obdarzone życiem, zachowuje go zawsze? Wziytko więc, co jest, będzie zawsze, i tylko swòy kształt odmienia? widziałem już dzisiaj inny tego dowod. Łzy żyżności, które dzisiajszego poranku na całą ziemię nawyspie moiej wylewało Niebo, im rzęśściey płynęły, tym bardziey wchodziły w ziemię, przenikały nawet liścia, owoce i kwiaty: widzę bowiem, że to wszystko rośnie, rozwia się i pięknieie, od tąd, iak te łzy drogic spadły; więc one odmieniły swòy kształt, więc one stały się liściem, owocem, kwiatami. --- Po tych uwagach czyniłem inne podobne nad ziołami i korzeniem, które wyrywałem z ziemi; dochodziłem na iakiby koniec mogły być te niezliczone ziółka w gałązki drobne i liścia przybrane. Wszystkie te badania w prowadziły mię w nieiaki domysł, że  
cie-

ciepło słoneczne i wilgoć, co nazywać można ciepłem i wilgocą natury cierpiętliwą, są przyczyną mocy rośnienia, i że też same przyczyny złączone z ciepłem i wilgocą natury, to jest z fermentacją, (\*) są początkiem rodzenia się ciał ożywionych. Są to (powiedzą mi może niektórzy czytelnicy, co chcą żeby się im ze wszystkiego sprawiać) są to wiadomości za obszernie na Człowieka, który niczego się nie uczył. Natura odkrywa mu nagłe tajemnice, któreby może ukrywała przed największym Europejskim Fizykiem, gdyby łącząc do badań swoich, równie mądrych i głębokich, zysk korzyśćania zbłądów ludzi najsławniejszych, którzy żyli przed nim

---

(\*) Fermentacja potrzebna także jest do niejakiego stopnia dla wyprowadzenia roślin, i wszędy się tam znajduje fermentacja, gdzie się znajduje ciepło i wilgoć, ale daleko iey mniej trzeba, dla wydania roślin, aniżeli zwierząt.



nim, niezdart z natury grubey zasłony, pod którą ona ieszczeby się chciała ukrywać. Są to ludzie, co naturę ustroili w grubą i ciemną oponę. Odkrywa ona swoje łono Człowiekowi prosiemu, który chce tylko iey łono widzieć, a niema ani szaleństwa, ani okrucieństwa chceć szperać w iey wnętrznościach. Słowem mówiąc i bez ogródki, znalazłem łatwe Fizyki początki, (\*) ponieważ niemałem immaginacyi i umysłu, ani zepsutych, ani podzielonych; ponieważ niesłyszałem nigdy mówiących, ani o formach istotnych (*formæ substantiales.*) ani o własnościach ukrytych

---

(\*) Łatwo zrozumieć można, że ja tu nie mówię, tylko o Fizyce iestestw blisko pod zmysły podpadających. Człowiek naturalny to tylko uważa, na co nastąpi; a przynajmniej nie rozumie, tylko otym co go otacza. Nadto od krywałem ja te prawdy iedne po drugich, i nie pierwey, aż poznałem rzeczy, które do tego należało wiedzieć.

rych i w myśli od istoty rzeczy oddzielonych, (*qualitates occulta & abstracta.* ) ani o systematach żadnych.



*Dociekam przyczyny rosy.*

Nietrzeba wiedzieć, co to jest Systema, żeby go sobie uczynić. Umysł sam do tego z swej natury dąży. Utworzyłem sobie około tego czasu iedno, którego nigdy nie zapomnę. Usnąłem raz wieczorem, zwiesiwszy głowę na pierś. Obudziwszy się zobaczyłem, że ciało było ukryte wilgocią z pary już moich otwartych wychodzącej. Podobieństwo między tą parą y rosą zastanowiło moję uwagę. Miałem całą moją wyspę, za nieiaki wielkie ciało, którego duszą było to, co, potym dowiedziałem się, nazywa się naturą. Wpadłem w rozumienie, że te ciało ma głowę i usta. Wziółem za głowę iego

wielką skałę, która wznosiła się z frzód morza wschodniego, i zdałomi się rzeczą bardzo podobną do prawdy, że gdy natura usnie, iaskinia tey skały, tchnie na ziemię parą, z którey się robi wilgoć, i którą słońce pociągnąwszy w górę, nocy następującej przetworzywszy w rosę, skrapia nią ziemię. Zostawało mi ieszcze do pojęcia, iakim sposobem para z ust moich wychodząca, w rosę się przemieniła; niemogłem tey trudności rozwiązać, i wołałem trzymać, że ią także słońce pociągnąwszy w górę w rosę przetworzyło, i na mnie ią spuściło, aniżeli mego systemu odstompić.



*Znayduię Wywiórkę zdychającą.*

Nie mogę pamiętać wyraźnie, tylko pierwsze dni mego nawyspę przybycia. Im się bardziej w oczach moich przedmioty

ty mnożyły, tym bardziej mieszały się w mej myśli. Nadto byłoby rzeczą całę niepożyteczną, ażebym tym porządkiem odkrycia, i wyobrażenia moje opisywał, iakim się piszą dzieie roczne. Mało się na co przyda wiedzieć, naprzykład, którego to dnia, po moim nowym narodzeniu, po moim przybyciu nawyspę, usłyszałem grzmot raz pierwszy; ale potrzeba wiedzieć, czy przed usłyszeniem, czy po usłyszeniu piorunu, usłyszałem pierwszy raz armatne strzelenie: czy pierwey nim widział łanią, czy potym zobaczyłem, iak się stało ieleniątko: czy przed, czy po widzeniu trupow zgnitych, napadłem na zwierzęta zdychające; i będę się starać nicnie mieszać tego porządku; bo ponieważ on służył mi do postempku w nabyciu wyobrażeń i ich z sobą połączenia, tym tylko iedynie, porządnym ich po sobie następstwa opisywaniem mogę poka-

kazać, iak te wyobrażenia z różnych przedmiotów we mnie się wznieciły, i że tak powiem, iedne drugich urodziły.

Bez żadney trudności przypominam sobie, tych wyobrażeń następstwo, ale tak iest rzeczą niepotrzebną, iak i niepodobną, żebym mówiąc, iż iedną rzecz widziałem pierwey, potym drugą, dodawał ieszcze, rzecz pierwszą widziałem tego dnia, a drugą w tyle dni potym, ponieważ ia nie piszę gazety.

Już przepędziłem czas nieiaki w moim pomieszkaniu nowym, którem znajdował tak miłe, tak przyjemne, i które takim było w rzeczy samey, choćbym go nieporównywał z moją klatką: już nabyłem w miarę przedmiotów, w oczy mi wpadających, wszystkich wiadomości naturalnych, których przez same światło rozumu nabyć można, i te wiadomości są dostateczne ku uszczęśliwieniu Człowieka. Ow-  
szem



szem im się więcej ich nabywa, tym się bardziej oddala od instynktu, któremu natura wruciła staranie prowadzić nas do szczęśliwości. Znalazłem tuż od *kamienia snu*, iedną wielką iaskinię, która mnie z początku zdała się być okropną, ale nakoniec przyzwyczaiłem się przepędzać w niej nocy, mówię nocy, ponieważ wędnie, gdy mogłem cieszyć się z moim iestestwem, mając wysokie o sobie rozumienie, gardziłem wszystkimi granicami, i tylko zakładałem sobie granicę ziemi i nieba.

Uczyniłem już niektóre uwagi nad przyczynami rośnienia drzew i wszystkich krzewów; uważałem i przypatrywałem się, robaczkom wylęglým z trupow moich rybek. Nieprzyjemne powietrze, które musiałem ponosić przychodząc do tego gabinetu naturalnego, gdzie się działy same przez się te cudowne przeistoczenia, nadgradzała mi rokosz widze-

dzenia, że się to działo w oczach moich. Byłem nie tylko *Platonem*, *Arystotelesem*, *Montesquieu*; ale razem *Pliniuszem*, *Swammerdamem*, *Réaumur*em. Widziałem że te robaczki wyszły z mych zgniłych rybek, robiły sobie małe klateczki, z których po niejakim czasie wychodziły opatrzone w skrzydełka, i na powietrze leciały. Otoż mówiłem, ryby przetwarzają się w ptaki, i bez wątpienia ptaki znowu się zamieniają w ryby, albo w inną rzecz iaką.

Jednego dnia gdy przechadział się czyniłem badania nad cudami, które mnie ze wszystkich stron otaczały, ujrzałem wieliórkę, niedaleko iednego drzewa na ziemi rościągnioną. Widziałem iuż dawniey ich kilka, iak biegały, i z sobą się bawiły. Brałem ich za małe ielońki, które zamiast gałęzi na głowie, a cale nic ogona, miały ogony długie, a nic gałęzi; podobnie iak małe latające robactwo, miałem za  
ptasz-

ptaszki bez pierza. Zbliżyłem się po cichu do wiewiórki, rozumiejąc ją być śpiącą. (choć godzina na ten czas dziewiąta, lub dziesiąta przed południem, niezdawała mi się być porą spania.) Zobaczyłem, że ma oczy otwarte, ach! zawołałem otoż jest znowu, iak moje rybki, ani śpi, ani nie śpi. Pewnie rozsypane się i zgnije iak one? to mówiąc wzięłem ją w rękę; ruszyła się, iam się zląkł i upuścił ją na ziemię. Jeszcze się nie co ruszała, i obróciła oczy w sposób, który we mnie wzbudził politowanie i okropność. Przykląłem dla przypatrzenia się iey: wyciągnęła się mocno, i spójrzała na mnie tak smutno, tak żałośnie, że mi łzy dobyły się z oczów. Zamknęła potem powieki, widziałem, że się coraz oczywiście umnieyszało, a potem zupełnie ustało oddychanie, które w ostatnich tych momentach było bardzo żywe i nieustanne. Ten wi-  
dok

dok osłabienia i okrzepłości, napełnił mię smutkiem. Patrzałem na wiewiórkę i płakałem. Mówiłem językiem moim wewnętrznym. Niestety! ona już na mnie więcej nie patrzy, już się więcej nierusza! cóż się z nią stanie? zniszczeje? czy się obróci w kamień? moje serce nieprzeżłapie bic tak regularnie, a iey ustało. (\*)

Wziółem w ręce te małe zwierzątko, całowałem go, bom wiedział, że mi już szkodzić nie może, pieściłem go, uśmiewałem przywrócić do życia ale już było po nim, zgaśł już ogień serca iego.

Za-

---

(\*) Od dzieciństwa mego zawsze miałem upodobanie widzieć jak się serce biie. Zdawało mi się, że czułem, iż to nie tylko jest życia znakiem, ale też i przyczyną.

*Zaczynam czynić sobie wyobra-  
żenia śmierci i icy skutków Fizycznych.*

Już zaczął zmrok padać, kie-  
dy te ciało martwe niosłem smu-  
tno do moiej iaskini. Nazajutrz  
o wschodzie iutrzeńki znalazłem,  
że oczy miała blade, a wszyst-  
kie członki zimne i skościałe.  
Próżno uślowałem ją ogrzać na  
łonie moim; widziałem oczywi-  
ście, że się znią stanie taż sama  
przemiana, co z rybami, a przez  
uwagę, którą te wyobrażenie ko-  
niecznie było sprawić powinno,  
zaczółem domyslać się, że mimo  
wysokości mego początku, który  
zatym większy miałem, im mnie  
był mniey wiadomy, i mnie ta-  
kiż los czeka, alem się ia wtey  
mierze łatwo pocieszył - - Eh  
dobrze, mówiłem, zamiast tego  
co teraz jestem iednym zwierzę-  
ciem, będę tyśiącem zwierząt;  
życie moje zamiast zguby roz-  
mnoży się. Nadto ieżeli śmierć  
jest



jest złym, a koniecznym i nieuchronnym, trzeba się do przyięcia go przygotować. Bez wątpienia sposób opuszczenia życia bez żalu, najlepszy jest, nacieszyć się do woli naturą i sobą samym... Postanowiłem z nowym pragnieniem wylać się na te dwie rokosze tak czyste i tak doskonałe. Dostyc było takiego lekarstwa na okropne śmierci wyobrażenie. Z iak nierównie większą statecznością umysłu czekam iey odczasu tego, kiedy mam szczęście poznania Ciebie mój Boże! od czasu tego, iak mam szczęście mieć nadzieję, że gdy ciała mego części rozsypujące się tworzyć mają robaczki i inne iestestwa materyalne, część mnie najpierwsza, dusza moja, której ty jesteś celem, złączy się z tobą na zawsze.



*Poznaię, że nauka Astronomii ma  
niebeśpieczeństwa.*

Przytrafiło się mi iednego wieczora, że nie mogłem zasnąć tak prędko, iak pospolicie, a to ztąd pochodziło, iż tego dnia mniej przechadzałem się, niż innych.

Wyszedłem z iaskini dla oddychania powietrzem chłodnym, aż póki by mnie do niey sen nie wezwał. Spöyrzałem na Niebo, uyrzałem wenerę, ale coby ona była, i coby się z nią stać mogło, to mnie niespokojnym czyniło. Czas był pogodny i miły, ( lato się zbliżało ) bawiłem się przypatrowaniem się tey gwiazdy, po tym drugą, trzecią, daley wiele innych; nakoniec nieznacznie całe Niebo pokazało mi się gwiazdami zasiane. Widok to był nadto. dziwny, żeby nie miał w zachwycenie porwać wszystkich moich. zmyślów i wybić mnie ze.

ze snu. Ale pierwszy tego skutek nie był, wpodziwienie mnie wprawić, owszem przeciwnie bo-iażnią mię przeraził. Jak skoro widziałem, że nowa gwiazda Niebo przesztywa, drżałem ze strachu: sądziłem iak wiele razy zadrzeć musiałem. Kiedy już wszystkie widzieć mi się dały, rozumiałem że wyniknie nowy porządek rzeczy, że mnie tylko będzie te słabe oświecać światło, że słońce na nieskończoną liczbę drobnych części podzielone, będzie po wszystkich mieyscach oświecać Niebo, które do tego czasu na iednym tylko razem oświecało. Szcześnie ukazanie się Xiężycy przyniosło sercu memu promień nadziei. Był na ten czas nów miesiąca. Wniosłem że będzie rość co moment aż do iutra, że zbiera w siebie iedne po drugiey wszystkie gwiazdy, i tym sposobem stanie się nowym słońcem.

Prze-

Przechadzając się przez kilka minut, nie patrzałem na Xieżyca. Obróciwszy się ku niemu, już go nie zobaczyłem. Rozumiałem, że się spuścił za jedną wielką skałę nie daleko odemnie; pobiegłem spieszno zobaczyć, czyliby go tam nie było, aże się na drodze mojej znajdowało drzewo, a ia o większych, niżeli te co są na ziemi, zamysliłem się przedmiotach, nie postrzegłem, i mocno o nie uderzyłem się głową. Jeszczem nie przyszedł do siebie z bólu i podziwienia, które mi te uderzenie sprawiło, kiedy wpadłem w dół dość głęboki, gdzie mało było wody, ale wiele błota. Krzyknąłem lecąc w tę przepaść i rozumiał bym był, że umrę, gdyby mi się był nie przytrafił wstrzód dnia podobny przypadek iak opisałem *na karcie 58* wyżej. To tylko wynikło z tego nowego upadku, żem sobie stłukł rękę; za nic miałem żem się w błocie zwał. Byłoby to nieszczęściem dla nie  
któ-

których ludzi, u których wiele zależy na tylu frażkach, że ich niełczęście spotyka za kōżdym krokiem; ale człowiek nagi, który się myje, iak infzymłby swe ręce, czego się ma obawiać błota?



*Zbliżam się do iedney skały, która mnie przestrasza.*

Idąc daley, lecz z większą ofróżnością, ku skałce, za którą spodziewałem się znaleźć Xiężycą, pomacałem się ręką za głowę i poczułem guz wielki. Rozumiałem, że tam wlażł kawałek drzewa, i że skóra moja, która zapewnie na przyięcie go otworzyła się, natychmiast się zamknęła. Tey nie-spokoyności nie mogłem się pozbyć, aż przy świetle dziennym od zdroiowego odbiiającym się kryształu. Odłożyłem te obiaśnienie się, ponieważ tak było potrzeba aż do iutra, i spieszyłem się przybyć do skały. Była to  
nay-



naywiększa ze wszystkich, którem  
widział na potym, przeraziła mię,  
a ciemności ieszcze bardziey po-  
większyły moją boiaźń. Miałem  
jednak odwagę obeysć na około tę  
ogromną machinę, a nie zobaczy-  
wszy nigdzie Xiężycy, osądziłem,  
że się znowu w gwiazdy podzie-  
lił. Pełen tego smutnego wyobra-  
żenia, powracałem do mey iaskini.  
O kilka kroków od siebie posirze-  
gam ieden loch w tey skale, idę do  
niego w mysli przepędzenia w nim  
nocy. Niebyłem przyzwyczajony  
do ciemney zaślony, którą się cała  
natura okryła. Drżałem od strachu  
osobliwie od kwadransa godziny:  
strach mój powiększa się skoro w  
ten loch wstępuię; mówię głu-  
chym i przerywanym głosem, *dać*  
*mu pokoy*, a w tym wiele głosów,  
smutniey niż ia powtarza razem,  
*dać mu pokoy, dać mu pokoy*. Gdybym  
był miał edukacyą, gdybym był  
wiedział, co to są upiory, czary,  
a przynajmniej złodzieie, zem-  
dlałbym był z przestradchu; lecz bez  
wąt-

wątpienia wiedziałbym był, co jest echo, i możeby mnie to było uspokoiło.

Powracam do pomieszkania mego z wielką boiaźnią, niedochodząc przyczyny tego nowego przypadku, i nie chcąc przez długi czas powracać do skały. Rzucam się na ziemię, zasypiam jak mogę, to jest: bardzo niespokojnie.



*Ranię iedno drzewo: dobywam ognia.*

Obudziwszy się ze snu, takie miałem pomieszanie w głowie, tak się wyobrażenia moje pogmatwały, że nie mogłem rozpoznawać snów, od tych przypadków które ich były przyczyną. Pomacałem się za głowę, poczułem że guz z uderzenia się o drzewo był nie wątpliwy. Obeyrzałem rękę i zobaczyłem, iż była siłuczona, a nawet i z skóry otarta. Niewątpiłem już że w iaskini byłem, tylko odpowiedz głosów głuchych, snem mi się być zdała, ale nie miałem  
ocho-

ochoty pójść doświadczyć," czy to było rzeczą istotną, czy nie?

Daleko byłem ciekawszy zobaczyć, co to była ta narośl na moim czole. Obróciłem kroki moje ku strumykowi, który między moją iaskinią i *łąką* *snu* płynął. Przybywszy do niego, przejrzałem się pierwiej nawet, nim sobie wypłukałem gembę, i nim się wody napiłem, (\*) zobaczyłem na czole moim narość okrągłą, finą. Przykrość i ból które czułem, podały mi do myśli nowy sposób zemsty, i natychmiaś ją wykonałem. Biorę wielki kamień i prosto idę do mego nieprzyjaciela, to jest drzewa. Rozpoznałem go między dwóma drzewami, koło niego stojącemi; myśląc, że iak drzewo mnie, tak kamień go prze-

K cho-

---

(\*) Codziennie wymywałem sobie gembę, było to dla mnie zabawką.

chodząc twardością (\*) powinno mu prawie tyle złego zrobić, ile drzewo mnie zrobiło. Zadałem mu dwa czy trzy ciężkie razy, z czego nic więcej nie odnośzę pożytku, tylko że mi ręka zdrętwiała. Niektóre z jego owoców spadły na ziemię: biorę ich jeden, tłukę go (\*\*) dla doświadczenia, czy na nim wyrośnie guz iak na moim czole, ale po kilku dniach zobaczyłem rzecz całę przeciwną; czoło się moje zgoiło, i stało się iak było pierwey, a owoc się popsuł. Poznałem na ten czas, iż zemsta moja większa była nad złę, które poniósłem, a zatym niesprawiedliwa, i żałowałem tego-

---

(\*) W żadnym kraju nie widziałem drzewa tego rodzaju: kwitnie na końcu zimy, i w pół wiosny wydaie owoce wielkie czerwone, dość twarde, podobne do jabłek.

(\*\*) Łatwo mi było widzieć, że drzewo było dziurkowane, a kamień nie. Jak tylko zacząłem czynić uwagi, zaraz nauczyłem się tę małą postrzegać różnicę.

go. Tenże sam kamień, którym  
biłem drzewo i owoc, służył mi po  
dwu godzinach do innego dwoi-  
kiego użycia. Widząc że był o-  
stry, użyłem go do roskroienia  
w kilku miejscach iednego owocu,  
do naszego melona podobnego,  
ale nie tą myślą, żebym mu iaką  
zadał boleść, tylko żebym do-  
świadczył różnicy między zranie-  
niem mey ręki i zranieniem ie-  
go. Ręka się moja zgoiła, znak  
nawet sfluczenia zniknął; prze-  
ciwnie zaś rany melona stały się  
głębsze, i widziałem, że z jego  
rośnieniem powiększały się. Czo-  
ło i ręka moja w kilku się dniach  
zgoiły, ale daleko więcej czasu  
potrzeba było, dla doświadczenia  
skutku ran którem melonowi za-  
dał, i czekając tego doświadcze-  
nia końca, zrobiłem wielką liczbę  
innych, ale z nich nie które tylko  
wyrażę.

Gdybym pisał dla ludzi natu-  
ralnych, nie lękałbym się znudzić  
ich moją rościągłością w tych ba-



gatelnych materyach, bo byłbym pewny, że się im podobają. Ale po więkŝzey części, ci dla których piŝę, nieŝczęściem zowią fraŝkami piękności natury, i nie mogą się z niemi bawić długo, ponieważ inne fraŝki, które oni nazywają interesami, całych ich zatrudniają.

Zaraz po zranieniu melona, poŝedłem zobaczyć wiewiorkę, od której przez kilka dni ŝroniłem, bojąc się żebym iey nie znalazł w takim ŝtanie, iak moje rybki małe. Zbliŝam się do niey z boiŝnią; iŝŝcze była cała, zacząłem mieć nadzieję, biorę ją w ręce, chcę się dowiedzieć, czy miał ŝ rozŝypania się i zepŝucia iak ryby, nie uŝnęła może ŝnem twardym. Budzę ją, ruŝzam, palce moje lgną w iey ciało z ŝiniąte, ze wŝŝyŝkich iey członków wychodzi przerazliwe powietrze ŝmierci, które aż do duŝy mey przenika i ŝmutkiem ją napętnia. Zapach ten może się podobać na ŝtole

stole pańskim, (\*) ale takiego człowieka iak ja, niewypowiedzianie trapi.

Sze-

---

(\*) Nie przeto żebym był odludkiem ani żebym psuł ludziom przywiązanie do społeczeństwa, kładę tę następującą uwagę: jestem bowiem przekonany, że po zniesieniu społeczeństwa, panowanie zwierząt drapieżnych stanie się powszechne; że ludzie stawszy się łupem zwierząt mocniejszych od siebie, pożeraią, nim sami zostaną pożarci; zwierzęta, które dla tego tylko są spokojne że słabsze; że przeto ludzie nie mają w sobie niełudzkości, i że cała ziemia jest tylko obszerną iatką. Jeśliby mi powiedziano, iż ludzie są tym wszystkim, com dopióro wyraził, i jeszcze czymś okropniejszym, ja się na to zgodzę, bo to jest w samej rzeczy prawda. Ale mogę odpowiedzieć, iż nasze złe nie jest nieuleczone, a na te złe któreby wynikło z zniesienia społeczności, nie byłoby żadnego lekarstwa.

Jakimkolwiek sposobem wyprowadzać zechcemy początek społeczności i majątków, nie ma bogatego domu, któryby nie był spaiamy łzami i krwią nędzy, a te  
łzy

Szedłem od melona do wiewiorki myśląc, coby się mogło stać z ranami melona, z stłuczeniem drzewa i owocu, z otarciem mey ręki i z guzem czoła, tudzież z snem wiewiorki. Łatwo poznać można, iż tak ważnemi zaprzętniony myślami, mogłem zapomnieć, że trzymałem w ręce kamień: iakoż w rzeczy samey o tym zapomniałem; a te roztargnienie (\*) trwało iefzcze, kiedy sprzykrzywszy sobie odrażające powietrze wiewiorki, upuściłem ją na ziemię. Skóra się  
iey

---

łzy, ta krew są czarami, które sprawiają, że mieszkający w takich domach, przyzwyczajają się do widoku nieszczęśliwych bez czucia litości nad ich stanem, a w odróżnienie trupów, nie znajdują tylko przyiemny zapach zwierzyny.

(\*) Wpadałem często w mey klatkę w roztargnienia, że nie miałem tyle wyobrażeń, żebym się był mógł niemi nieustannie bawić. Potym wpadałem często w roztargnienia, dla tego, że miałem wyobrażeń zbyt wiele.

iey rozpekła, wnetrznosci z niey wyszły. Na taki widok odpadła mi chęć dociekania i dochodzenia wiadomości. Naypierwsze moje poruszenie było odwrócić się i uciekać, ale nie szemrzając na naturę, gdyż codzień przez nowe coraz odkrycia doświadczałem, że gdym ią o iaki błąd oskarżył, zawsze przez niewiadomość moją, stawiałem się iej bluźniercą. Przeto krzyk duszy moiey, nie był krzykiem buntu i złości, ale boleści i goryczy. Podniosłem ręce moje ku Niebu, iakby się go pytając, czy i mnie takiż los czekał, i dla czego się to tak działo? Niebo było głuche na mój głos: wylałem też potok.

Trzymałem zawsze mój kamień; postrzegłem się nakoniec i rzuciłem go, bez złości jednak, silnie o drugi kamień. Uderzenie się wydało kilka iskr, więcej nie trzeba było dla rozerwania mych smutnych myśli. Chciałem powtórzyć te tak zabawne doświadczenie:

spra-

sprawiło tenże sam skutek, i tak mi się podobało, że go więcej stu razy powtórzył raz poraz. Na koniec niektóre iskry chwyciły się suchych liści; zobaczyłem, że się te liścia kurzyły i paliły, co mnie nabawiło bojaźni, uszanowania i podziwienia. Patrzałem długo wlepiwszy oczy; poznawałem że ten cud sprawiły iskry wybite z kamienia, ale iak się to wszystko stać mogło? i co ztąd potym miało wyniknąć? miałemże te odkrycia poczytać sobie za szczęście, czy za nieszczęście? O iakże tu wiele niepewności!

Tym czaśem się paliły liścia, którem ia zgartywał, bo widziałem, że się te paliły lepiej, których było wiele w kupie. Postrzegłem także, iż się lepiej zajmowały ze strony, z której wiatr powiewał. Zbliżam się dla dmuchania, i czuję przyjemne ciepło, które mnie zadziwia i zachęca do kończenia mego dzieła. Dmucham;  
mały



mały błękitny płomyk błyska pod-  
moiem i usty, i w tymże samym  
momencie, wszystko się zapala.  
Osądź jeśli możesz, iak wielki  
mnie strach ogarnął --- ale ten  
nie trwał, iak tylko iedną chwi-  
lę. Widok ognia bez gwałtowno-  
ści, iest bardziej piękny, ani-  
żeli straszny. Powracam do tego  
ognia, który roznieciłem, a po-  
wracam tym spieszniej, że płomień  
pożarliwszy w momencie tę trochę  
liści, których nazgartywałem,  
zaczął gasnąć, co ia za naywięk-  
sze dla siebie nieszczęście poczy-  
tywałem. Pośpieszyłem się dodać  
mu nowych pokarmów, to iest no-  
wych liści, między któremi dro-  
bne gałązki znaydowały się: zo-  
baczyłem że się i te palą tak iak  
liście i dłużey utrzymują ogień.  
Nakładłem gałęzi większych, i  
miałem z nich płomień, żar  
i ciepło.

Niewiadomość czyni człowieka  
śmiałym: chciałem się bawić głów-  
niami i sparzyłem sobie rękę.

W tym

W tym samym czasie, kiedy z tak wielką szkodą moją dowiedziałem się o jednym ognia skutku, dowiedziałem się także, że zostawszy ranionym, trzeba ukryć i ochronić od przypadków część ranioną.

Jedna uwaga bardzo łatwa, bardzo prosta, a zatył bardzo dobra ukazała mi lekarstwo nierównie lepsze, niż recepty najuczeńszych Doktorów. Sądziłem, że zimno jest lekarstwem przeciw gorącu. Poszedłem do bliższego źródła i włożywszy rękę w wodę, trzymałem ją przez czas dosyć znaczny. Potym obwinołem ją w listek gładki i świeży, (\*) podobny prawie do cwikły. Położyłem takż  
na

---

(\*) Bawiłem się kamieniami ostreimi zdzierając z drzew korę, pod którą znajdowałem łyka cienkie, ale dosyć mocne, które mogły mi służyć do tegoż użycia, co moje podwiązki i inne sznurki, to jest: do wiązania wszystkiego co mi się podobalo. Temi to naturalnemi wstążkami b wiązałem liście na czole i na ręce.

na czole, co mi wielką sprawiło ulgę.

Jeszcze nie upłynęły dwie godziny od czasu, jak pierwszy raz zobaczyłem płomień; nie było jeszcze godziny, kiedy się sparzywszy uczułem ieden z jego skutków a już przyzwyczałem się do tylu ziednoczonych cudów. Tak to jest prawda, że się przyzwyczaić można do wszystkiego.

*Czynię uwagi nad naturą i skutkami ognia.*

Gdy podziwienie moje nieco ustało, a ból się uśmierzył, chęć i potrzeba rozumowania znowu wzięły miejsce w mej duszy, które w niej posiadały.

Cóż to jest ten ogień? z kąd on pochodzi? dla czego pali wszystko, czego się tylo chwyci? Filozof miałby trudność w rozwiązaniu tych badań, a ja żadney nie miałem. Mógłbym jeszcze inne sobie zadać pytanie, które Filozof rozumie że do niego należy,

a po-

a podobno do niego nikt niema prawa. Mógłbym się zapytać, iak ogień moc swoją wywiera na ciablach? Ale te wszystkie *iak* zawsze mi się zdawały nie zrozumiane i niepożyteczne; nigdy ich nie dochodził. Cóż jest ogień - - - ogień? jest to, iakiekolwiek bądź jest, iestestwo mocno żarłoczne, które pożera inne iestestwa, karmi się ich zniszczeniem, i niszcząc je, samo umiera. Zkąd on pochodzi? oh co nadto nic nie ma prosiwego. Nie może z kąd inąd pochodzić iak od słońca. Słońce które codzień przechodzi po nad moją wyspą, i kōżdey nocy połowę idzie przez morze zachodnie, a drugą połowę przez morze wschodnie, dla tego iedynie żeby zawsze nad wyspą moją bieg swój odprawowało; słowem iednym, słońce które fzczegulnie jest dla wyspy moiej, udziela bez wątpienia ognia swego kamieniom i wszystkim innym

nym ciałom, (\*) a podobno i we mnie utrzymuje ciepło, którym żyję.

Cóżkolwiek bądź, dosyć że się on znajduje w kamieniach, i tak się prawie w nich znajduje, jak owoc na drzewach, potrzeba strząsnąć drzewo, dla spadnięcia owocu; potrzeba uderzyć kamień dla wydobycia z niego ognia.

Dla czego ogień pożera ciała, których się chwyta? dla tego, że pochodzi od słońca, że jest jego udziałem. Słońce jest małą kulą ognistą, która na mnie, i to wszystko co mnie otacza, patrzy z daleka, i z tej przyczyny nie paląc nas ogrzewa. (\*\*)

Prze-

---

(\*) Nie wymieniam tego, że ciskałem kamienie w wodę, na drzewa, na gałęzie, i że gałęzie także biłem iedne o drugie, próbując czy z nich nie wyidzie ogień. Potrzeba zbyt mało znać charakter naturalnego człowieka żywy i ciekawy, żeby się tego wszystkiego nie domysleć.

(\*\*) Czym się utrzymuje ogień słońca? nie z tego na ów czas niewiedziałem i teraz niewiem.



Przeciwnie ogień jest słońcem większym kiedy ma więcej, mniejszym kiedy mniej ma pokarmu; a niezoftaiąc w górze ale na dole, nie może daleko rozprzestrzeniać ani swego światła, ani ciepła; ale to co ma blisko siebie, mocno oświeca i pali.

Nie przerywając mądrych mych badań nad początkiem ognia, szedłem dla utrzymania go szukać drewek. Ządać by potrzeba, żeby głęboko myślący Filozofowie, brali mnie za wzór w tej mierze. Uważałem, nie mając już oczym wyfoko myśleć, że szczęściem nie rzuciłem kamienia na brzegu lasu nie daleko odemnie odległego, ponieważ ten ogień pierwszy raz odemnie widziany, sprawiłby był pożar, i iaki pożar! Drzę z boiaźni, pomysliwszy o tym. Las ten rozciągał się z jednego końca do drugiego mey wyspy. Ale aczkolwiek strata lasu byłaby wielka, dla człowieka, który zna powaby pułstyni i cienia, zda-

zdawała by się iednak zbyt małą  
w porównaniu z nieszczęściem,  
którego obawiać mi się należało  
z takowego pożaru. W głęb-  
lasu tego było ubogie schronienie,  
albo raczey wspaniała Świątynia.  
Chciałbym w tym mieyscu opisać  
najpięknieyszą część Historyi mo-  
iey, ale porządek przypadków tego  
nie dozwala, więc spieszno prze-  
biegnę te, co mi się pierwey przy-  
trafiły: iuż ich nie wiele zostało.



### *Odkrywam nową własność ognia.*

Był to dla mnie dzień rokoszy,  
ten dzień którego wynalazłem  
sztukę dobywania ognia nie my-  
śląc o tym, sztukę, którey cudu  
i pożytku nie można należycie po-  
znawać, chyba kiedy się zaczyna  
rok piętnasty i to po wynalezie-  
niu iey przez siebie samego.

Byłem dowcipnym i przemy-  
slnym: natura iest matką prze-  
myślu, a potrzeba Oycem. Próż-  
do-

dofwiadczenia ciepła ognia, którego takim sposobem doznałem, iż nie mogłem go zapoźnić, czyniłem doświadczenia inne, z których nayprzyjemniejszy, a zatym naypiękniejszy było użycie go do pieczenia korzeni. Jeden z nich zaczepił się między gałęziami, którem kładł na ogień. Widziałem że z niego wychodziła woda i para. Widziałem że skórka na nim czerniała i marszczyła się, a jednak nie palił się tak iak drzewo. Wygarnąłem go iednym małym kiikiem hakowatym, alem się go strzegł dotknąć zaraz po wyciągnienu z ognia. Wszystko co z ognia wychodziło miałem w podeyrzeniu; ale dosyć miałem rozumu dla poięcia, że gdy ustaie skutek, ustaie i przyczyna, i że ten korzeń będąc daleko od ognia, powoli ośtygnie.

Czekałem przez iaki kwadrans, a zobaczywszy że iuż nie paruje, do tknołem się go zwolna; iuż tylko  
takie

take miał ciepło, które mi ukontentowanie sprawowało. Najlepsze rzeczy nie są zewszędch miar dobre, a przynajmniej nie mogą być zupełnie dobrymi, chyba za nieiaka pomocą sztuki. Różne inne doświadczenia nauczyły mnie tej prawdy, a upieczony korzeń potwierdził ją. Poznaawszy, że był z tych którym iadał, włożyłem go w usta, a że był gorętszy wewnątrz niż z wierzchu, sparzył mi podniebienie. Rzuciłem go na ziemię, zadziwiony, i nieiakiem gatunkiem zdrady, którą mi uczynił, i nieszczęśliwym natenczas czuciem, którego doznałem w podniebieniu podobnie jak na ręce. Zuię smak pozostały w ustach; dla goryczy i popiołu który się w zembach rościerał, przenoszę korzenia surowe nad pieczone. Postrzegam że ręce moje były zczerniałe i fokiem zwalane, to druga była pobudka przenoszenia korzeni surowych. Jednakowo uważam przez nieiaki

L

mo-

moment, że pieczone korzenie są miększe. Zdaie mi się iak bym między goryczą czuł iakis fok delikatny iakiegom ieszcze w niczym niekosztował. Zaczynam znowu rozważać moje zdanie, na ktòrym zbyt porywczo poległem, radzę się mych ust i ięzyka. Te зда-ia się iakby namysłać zbliżaiąc się i dotykaiąc się. Kreska ich wypada na stronę korzeni pieczonych. Biorę go znowu, łamię, i czuię, że iuż nie iest gorący; kosztuię go powtòrnie, i poznaię oczywiscie, że tylko skòrka iego gorzka i w popiele zwalana. Odzieram ią, i znayduię w reszcie korzenia wyborną potrawę.

Gdy zobaczyłem wzniecaiący się ogień, zawołałem z poruszenia, ktòrego tylko na widok wielkich przypadków doznawałem, *dać mu kokoy*. Też same powtórzyłem słowa skosztowawszy potrawy, ktòrey przyprawę sam tylko ogień sporządził. Powracam do niego, i znayduię ofla-  
bio-



biony i prawie wygaśły. Zgar-  
tuję głównie, roznieciam je, i  
widząc państwo moje powiększo-  
ne iednym żywiołem, pełen rado-  
ści, tupam, skaczę, śpiewam,  
czynię to co na świecie zowią  
głupstwem, a w oczach natury  
osobliwszą jest mądrością.

Pomyśliwszy nieco o sposobach  
zapobieżenia, aby się korzenie  
nie przypalały, znayduję ieden  
bardzo dowcipny, to jest zagrze-  
bywać je w popiele. Dziwuję się  
sam swoim dziełom, czynię sobie  
obfite pochwały, i prawie zapo-  
minam, że wynalazek ognia  
przypadkowim winien.

Noc następowata, już przy-  
najmniej siódma lub ósma była  
godzina kiedym się grzał, i cza-  
sami dla zabawy rozumowałem.  
Czas prędko upływa na wyspie  
bezludney, kiedy kto nie ma ty-  
le dowcipu, że sobie sam wynay-  
duje tęsknotę.

Przypatrywałem się mojemu  
dymowi, mojemu promieniowi,

moim główniom. (gdyż mogłem powiedzieć, iż to wszystko do mnie należało) Przypatrowałem się także małym górkom popiołu, pod którym korzenie zagrzebałem. Były to dla mnie niby wulkany, z których wybuchając para niewypowiedzianie mię bawiła. Tym sposobem poznawałem skutki powietrza, ale daleko było od tego, żebym mógł być ich przyczynę zgadnąć. Temu się wszystkiemu przypatrując ufniełem, i tak twardo, iż nie obudziłem się aż za wschodem iutrzeńki. Smutne było moje przebudzenie się ze snu: niezobaczyłem więcej najmnieyszego podobieństwa ognia na tym miejscu, gdzie go był przed spaniem tak piękny rozniecił. Szperałem w popiołach, ale się kòždy łatwo domyśla, żem to robił kiiem, bo choć niewiedziałem iak Horacy, (\*) że popioły są zdradliwe, iednak miałem ostrożność. Znalazłem

---

(\*) *Ignes suppositos cineri doloso.*

złem ogień --- Staw sobie w  
myśli nikczemnego Poetę, wiel-  
kiego swych pism czciciela,  
który od godziny szuka w swej  
tece wybornego Madrygału i po-  
strzega go pod nogami swoimi.

W zbytku mey radości wypadło  
mi z ust dwoie lub troie *dać mu  
pokoy*. Miałem ieszcze drevka  
których nazbierałem z wieczora  
dla utrzymania ognia przez noc.  
Łamię ie, układam, roznieciam.  
Do tego czasu nie przyszło mi  
przypomnieć zagrzebanych w po-  
piele korzeni, aż dopiero w ten-  
czas ich sobie przypomniałem.  
Dobynam ich z pod popiołu,  
zdeymuię skórkę, która posłuszna  
jest mym palcom. Znayduię że  
są miększe, lepiej upieczone i  
śmacznieysze niż wczora. Otoż  
dla mnie nowy zdrój niewinnych  
roskoszy ---

Nieszczęśliwy *Kolumbie!* smu-  
tna losu i wałów morskich ofiaro,  
ty z niebezpieczeństwem życia  
twego czynisz odkrycie, którego  
skut-

skutkiem będzie, że się czwarta część ziemi zaleie krwią fwych mieszkańców, a zbytek i zbrodnie nad śmierć gorsze, (\*) rozeydą się w inne trzy części. Bodaybys nigdy nieżył, pròcz tylko na moiey wyspie! bodaybys nigdy innego nie uczynił odkrycia, pròcz moich!

Nie powiem z iaką troskliwością zawsze mój ogień utrzymywałem, popiół iesli zawadzał wygartywałem, i iak wiele drew co wieczor kładłem, ażeby nie wygaśł nim się obudzę. Lubiłem korzenia pieczone, lubiłem ciepło podobne słonecznemu, nim we-  
szło, albo gdy zaszło. (\*\*) Nadto ogień zdawał mi się (iak jest wrzeczy samey) wielkim cudem. Trzebaż pobudek większych nad  
te

---

(\*) *Peius letho flagitium.*

(\*\*) W pierwszych zaraz dniach postrzegłem, że im bliżey ognia, i im dłużej się grzałem, tym tklivszy byłem na zimno. Wystrzegałem się tego napotym: grzałem się mało, a wiele biegałem.

te Człowiekowi, który niema co-  
robić, tylko co mu się podoba, i  
który nigdy ani widział, ani mógł  
sobie wymysleć nic, co nie warte  
jest bawić Człowieka?

Przypominając sobie troskli-  
wość, z którą uśiłowałem zacho-  
wać ogień, iak własne moje ży-  
cie, przypominam myśl iedną,  
która mi przyszła, kiedy iuż  
znaydowałem się w społeczności.  
Pewny Starzec, o którym w krót-  
ce powiem, uczył mnie i przy-  
wodził naypięknieysze kawałki  
z Historyi. Mówił zemną raz  
o Kapłankach *Westy*. Mówił mi,  
iaki był ich urząd, i że *Westa* nie  
miała tylko Kapłanki. „Dobrze za-  
„wołałem, czyż nie pamiętasz,  
„com ci rozpowiadał o sposo-  
„bie, iakim sam żyłem na tej  
„wyspie, i iak utrzymowałem  
„ogień nieustanny? Oh tak  
„jest bez wątpienia, byłem Ka-  
„płanem *Westy* nie wiedząc  
„o tym, i bardziey ieszcze  
„przez panieństwo, niż przez  
„utrzy-



„ utrzymowanie ognia nieustan-  
„ nego.

---

*Znaydwię łanię, którą już widziałem, ale w inszym stanie.*

Od trzech lub czterech dni zostawałem przy ogniu moim, a przynajmniej nie oddalałem się od niego, ani chętnie, ani na czas długi. Ale zabespieczony, że może trwać przez godzin ośm bez przykładania drewek, iak doświadczyłem pierwszej nocy, zostawowałem go kiedy niekiedy przez część dnia, a czasem od rana aż do wieczora.

Chodziłem często do iednego łasku (\*) gdzie prawie zawsze zna-

---

(\*) Dowiedzą się czytelnicy o początku mey historyi w dalszym tego dzieła przeciągu. Wyspę małą bezludną, na którą aż w piętnastym roku byłem zawieziony, przygotowywano dla mnie zaraz od narodzenia mego. Polowano na niey co rok i wygubiono wszystkie zwierzęta szkodliwe. Wycięto nawet wiele drzew starych, a na nich mieysce zafasowano młodych.

znachodziłem ielenia i łania, które próżno dogonić usiłowałem: zawsze odemnie uciekali. Łania od kilku tygodni daleko bardziey zgrubiła. Biegąc za nią dogoniłem ją nakoniec, w najszczęśliwszym dla mnie momencie. Kładzie się i wyciąga pod jednym drzewem: krzyczy smutno, i widać że cierpi bole. Wychodzi z niey z trudnością, wprzód głową, zwierze ze wśzystkim do niey podobne, tylko co daleko od niey mnieysze.

Nieśmiałem ani się cofnąć, ani tchnąć: uroniłem kilka łez rokosznych, których czułem przyczynę chociaż iey nie rozpoznawałem; ale czucie któregoś z tey przyczyny doznawał, nie przeto było mniey żywe. Rozumowanie i pamięć, tylko by w tey okoliczności sprawiły mi były roztargnienie. Oh! jak często poznanie rozumu szkodzi szczęśliwości serca!

Pa-

Patrzałem na małego ielonka z niewypowiedzianą radością, widziałem iak rodząca się dusza jego otwierała się na rokosz iestności. Probuje wszystkich swych członków jednego po drugim, a poymuiąc ich użycie, serce mu z radości skacze. Wyciąga swe nogi, i za pierwszym ruszeniem się, wspiera się nakolanach, za drugim staie na nogach. Uderza powietrze boiazliwym ieszcze i słabym wierzgnieniem, strząsa z lekka głowę, zdaie się iakby chciał dociekać nowego żywiołu w którym mieszka, i kontent że mu się udaia jego ufilności; krąży naokoło swej matki, patrzy na nią, cieszy ją po boleściach dla siebie podjętych, i dziękuje iey za nieofszacowany dar życia. Przychodzi potym, i położywszy się przy niej ślie z iey pierś pokarm życia, a ona obróciwszy łagodnie ku niemu głowę, patrzy nań wzrokiem pełnym miłości i upodobania

nia, widzi że to jest owoc iey mi-  
łości, widzi że to ona druga.

Przepędziłem dwie lub trzy go-  
dziny, przypatrując się z podzi-  
wieniem łani i ielonkowi. Dwie  
lub trzy godziny prędko upływa-  
ją, kiedy się mało rozumie a czu-  
je się wiele. (\*) Uczyniłem na  
ów czas niektóre uwagi nad tym,  
com dopiero widział. Jedno zwie-  
rze wydaie drugie. Może być,  
że to wszystko co mnie otacza,  
dawno już zostaie czekając na  
mnie. Co ieśli tak jest, i ieśli  
kòżde zwierze wydaie tym spo-  
sobem inne sobie podobne, musi  
ich być pełna wyspa moja, albo  
przy-

---

(\*) Mòglbym ieszcze przydać, i kie-  
dy się nic nie robi: ale należałoby mi  
przydać znowu. i kiedy się nie wie, co  
to jest rzecz jaką robić, bo. to wiedząc,  
koniecznie trzeba robotą rzeczy jaką za-  
bawiać się, albo być nieszczęśliwym,  
choćby to nie było, iak tylko dla pozba-  
wienia się ukontentowania z tąd, że się pra-  
cowało, że się rzecz, jaką zrobiło, albo  
się iey inny kształt dało.

przynajmniey wkrótce się niemi napełni tak dalece, że nie znajdą czym żyć, i ja sam przymuszony zostanę umrzeć zgłodu, gdy one wszystko pozrzą. Ale może iedno zwierze wydawszy na świat drugie, przestaie żyć, i rozsypuie się iak moja wiewiórka i rybki: Ten ostatni domysł acz mnie uspokajał, nabawiał iednak smutku. Wyobrażenie śmierci zawsze iest smutne, (\*) przynajmniey, iесли niebędzie osłodzone nadzieią, że się żyć będzie potym, a żyć wiecznie (gdyż my niechcemy puł szczęcia) Owoż widziałem

---

(\*) Zdawało mi się, że z pomiędzy wszystkich zwierząt, ieden człowiek iest, który poymnie, co to iest śmierć i zepsucie, i który to sobie żywo wyobraża w myśli. Można z tąd wyprowadzić dowod na stronę nieśmiertelności duszy. Bóg byłby niesprawiedliwy, gdyby nam te opłakane dawszy przewidywanie, razem niewłał w ferca nasze dla naszej pociechy, nadziei i nawet pewności, żeśmy  
nie



łem zbliżka zepsucie, widziałem śmierć oczywiście, a nie miałem innego mey nieśmiertelności dowodu, prócz mego pragnienia być nieśmiertelnym. Prawda jest, że nie miałem żadney pewności, iż potrzeba mi było zostać równie iak innym zwierzętom łupem śmierci. Co здаie się, że mnie zaspokoić było powinno, ale też same iakieś przeswiadczenie wewnętrzne, które mi obiecywało nieśmiertelność, zdawało się zapowiadać także, iż nie należało mi codo części zmyślowey iestestwa mego, spodziewać się końca pięknieyszego, nad koniec zwierząt. Za temi

---

nieśmiertelnemi. Wszystkie części ciała składające zwierze rozdaią się i rozdzielają na zwierzęta inne; gdy więc te życie przestaie i rozsypuie się, życie w nich iak inne w nim żyły. Cóżby było z człowiekiem, który ma pragnienia tak obszerne, duszę tak wielką, gdyby taką tylko pociechę słabą przewidywał dla siebie, aby się nią wcześniej cieszył w nieśczęściu, i że go kiedyś nie będzie!

mi uwagami naślompiło wiele innych, które niektórym czytelnikom same do myśli przyjdą, tych by zaś znudziły, co się ich domyslić niepotrafią. Postanowiłem u siebie dochodzić, czyli to dawszy życie podobnemu sobie, zwierze umiera? dla zapewnienia się w tej mierze, chodziłem co dzień odwiedzać łanią, i co dzień z największym moim ukontentowaniem znajdowałem ją bawiącą się mile karmieniem swego ielonka; nigdy się bowiem do iey schronienia nie zbliżałem, bez boiaźni znalezienia ją umarłą. Doświadczenie od kilku tygodni przezemnie powtarzane, powinno mnie było uleczyć od tej boiaźni, ale zacząłem nad to wiele rozumować, a zatym powinienem był czasem błądzić. (\*)

Być

---

(\*) Ludzie podług temperamentu, charakteru, a mianowicie podług odebranej edukacyi; albo wystawiają sobie przyzłość

Być może mówiłem, że ta biedna lania, aż wten czas dopiero umrze, kiedy iey życie niebędzie dla iey ielonka potrzebne. Wten czas zapewnie umrze, i iia także może w krótcie zobaczeć drugiego *mnie* z wnętrzości moich, tego *mnie*, którego tak gorąco pragnę, i którego bym serdecznie kochał; a może skoro zacznę

---

łość tak szczęśliwą, iż nigdy iey takiey, iakiey się spodziewaia, mieć nie mogą; albo ubiegaia się za szczęściem przywiedzianym, a często zwodniczym, sprawuia przez to sobie nieszczęścia istotne; albo nie widzą w przyszłości, tylko same utrapienia, których unikaia czasem, ale oczekiwanie ich, staie się im udręczeniem okrutnym; albo nakoniec nie staraia się zdiąć z przyszłości tey straszney i Świętey zaślony, którą ią Bóg zakrył. Którzy się tak sprawuia, są najmędrszemi i najszczęśliwszemi. Ci ostatni, trzeba na to dobrze mieć uwagę, są to ci, którzy albo są tak rostopni, że niechcą, albo tak szczęśliwi, że nie mogą wiele rozumować. Są to, iak ich nazywaia, proste dusze.

cznę mieć radość widzenia go, zamknę oczy moje na zawsze.

Czyniąc z gestami i wyrazami smutku tę mowę bezślową, (\*) spójrzałem niespokojnie po wszystkich częściach ciała mego. Zdałomi się, że mój brzuch był grubszy, niż zwyczajnie, iakoż tak było wrzeczy samey, bo dopiero zjadłem wiele pieczonych korzeni; to mnie przestraszyło. Sądziłem się być w takim stanie, w jakim widziałem łanie przed narodzeniem ielonka. Czułem że we mnie serce biło; to była nowa niespokojność, bicia iego zdawały mi się żywsze i częstsze niż zwyczajnie; rozumiałem, że się to zapewnie drugie serce w sercu moim tworzy --- Więcej iak przez godzinę zanurzony zosta-

wa-

---

(\*) Trzeba pamiętać, że ieszcze sam zostawałem, że ieszcze nie mówiłem tylko językiem wewnętrznym, językiem duchnym, który nie może być zrozumianym iak tylko od tego, co sam z sobą rozmawia.

wałem w tych błędnych myślach;  
ale zacząłem potym w grunto-  
wnych uwagach szukać sposobów  
na uspokojenie mego smutku.

Niebyłem pewny że łania po-  
winna wkrótce umrzeć po uro-  
dzeniu swego ielonka, a jeszcze  
mniey miałem dowodu moiey  
mniemaney cięży, głos zaś wną-  
trzny dosyć mi wyraźnie mówił,  
że podobne do mnie iestestwo,  
ktòrego towarzystwo zdawało się  
być tak potrzebnym do mego u-  
szczęśliwienia, niepowinno pocho-  
dzić ze mnie, ale potrzeba żebym  
go znalazł już gotowe, iak ie-  
leń łanią.



*Oswaiam łanią i ielonka.*

Sprzyskrzywszy sobie te domy-  
sły, które nie mogły mnie czynić  
tylko nieszczęśliwym; ponieważ  
potrzeba było czekać skutku, dla  
doświadczenia, czy są prawdzi-  
we, czy nie, wyrzekłem się ich;

M

a dla



a dla rozrywki bawiąc się tym, co podobno w rokoszach zmysłowych jest nayprzyjemniejszym, przedsięwziółem, ieśliby można ogłaszać łanią i ielonka i żyć w towarzystwie z niemi.

Przynajmniej byłem pewny, że się do nich zbliżyć mogę. Jelonek ieśwcze niebył zbyt dziki, a matka zwierzęcia nadto ieś do niego przywiązana, żeby go miała opuszczać, nie będąc przymuszoną. A tak iednego nielekliwość, drugiego miłość, zapewniały mi przystęp do obòyga. Z początku szedłem z wielką ostrożnością, żeby nie uciekły. W pierwszych dniach niechciałem przynosić ziół, tylko do pewney odległości od łani, ale codziennie przystępowałem kilka kroków bliżej; nakoniec przyzwyczaiła się do widzenia mnie, zaczęła dopuszczać mi przychodzić prawie aż do siebie, nie lękając się bynajmniej. Wkrótce miałem szczęście głaszać i pieścić ielonka, kiedy  
on

on ią fsał, mówię szczęście, i za-  
 łuię tych co nie czuią, że to szczę-  
 ściem dla mnie było. Nad to niech  
 fobie kòždy przypomni, że mia-  
 łem lat piętnaście, a iefzcze ira-  
 zu nie mogłem dotknąć się oży-  
 wionego ciała prócz mego. (\*)  
 W nieiaki czas poielonku i ma-  
 tka przyieła odemnie głaſkania,  
 nawet pokazuiąc się być z nich  
 kontentą. Była iefzcze młodą i  
 nigdy nie ſtrażoną i nie gonioną,  
 tak dalece, że miała iefzcze tę  
 ſzczerość, te zaufanie wrodzone,  
 którego zwierzęta nie drapieżne  
 nie tracą, chyba tyle, ile się widzą  
 być wystawionemi na niebeſpie-  
 czeńſtwa. Jeżeli nie co dawniej  
 odemnie uciekała, to dla tego, że  
 ią, że tak rzekę, do tego przy-  
 ciągał ieleń, który był ſtary, i  
 którego podobno doſwiadczenie  
 boiaźliwym uczyniło, a naybar-

M 2

dziey

---

(\*) Nie potrzeba leczyć umieraiącey  
 wiewiórki, ta mi ſprawia więcej bo-  
 iażni aniżeli ukontentowania.

dziey, dla tego, że chciała ochraniać od cienia nawet niebespieczeństwa owoc swych miłości; a dla teyże samey przyczyny, dla której pierwey uciekała, powinna była naten czas dzielić razem z swym ielonkiem niebespieczeństwo swego zbliżenia się. Wzywała mię przez swoje spòyrzenia, żebym nie użył na złe iey słabości a moiey siły, żebym nie gwałcił praw natury i ludzkości. Zdawała się mówić do mnie, „ Ty ie-  
„ steś dziką bestyą, możesz tak  
„ żyć iak ia ziołami; byłżebyś  
„ tak okrutny, żebyś nad ten  
„ przyjemny i niewinny pokarm,  
„ przenosił ucztę tyrańską, na  
„ której byś rozdzierał krwawe  
„ członki zwierzęcia spokojnego,  
„ na dyskrecją twoją zostawionego, które nigdy ci nie  
„ złego nieuczyniło, i któreć prosi o łaskę! Spòyrzenia moje od-  
„ powiadały iey i zaspokajały ją. W krótcie towarzystwo nasze stało się ściśle i roskoshne; nie trzeba

ba się temu dziwować. Utworzyliśmy i utrzymywali w milczeniu, a żaden go interes nie rozłączał, sama nas tylko wiązała rokosz, którey serca nasze w wzajemnym sobie powierzaniu się doznawały. Jelonek rósł, igraliśmy z sobą razem.

Uważałem pierwszych dni, że nie iadał ziół, ale zdawał mi się karmić ciałem swey matki, na co mi przykro było patrzeć. Przypatrzyłem się bliżey, zobaczyłem że on tylko ssał pierś swey matki. Niewątpilem, że co łania iadła, przekształciwszy się wniew, stawało się pokarmem przyzwoitym ielonkowi. Czego zaś pojąć nie mogłem, było to, że gdy kilka kropel spadło na jego usta, uyrzałem, iż ón ssał napój piękny biały, zamiast nieiakiey siekanki z ziela grubo zżutey, co ia rozumiałem, że on to tylko mógł wyciągać z pierś łani.

Tyle cudów porywały mnie do szukania wyżej mnie, wyżej nie-  
ba

ba Wielkiego Jęstestwa, którego przytomność wszędy być sądziłem, niewidząc go wyraźnie żadnym mieyscu.

Bytność moja zdała się być pomnożoną; naywyższa część mey duszy była napełniona temi wyfokiem wyobrażeniami, a druga część, ta co iest bliższa zmysłów, cieszyła się pięknością natury i używała roskofzy niewinnego towarzysztwa, którem dopiero zawarł. Ogien odemnie zawfze utrzymowany, przykładł się także do mey szczęśliwości.

Nie znałem innego ognia prócz słonecznego, i tego co urodziwfy się w mych rękach zuderzenia kamienia, tyle pożarł drzewa. Wkrótce miałem poznać trzeci daleko straszniejszy. Więcey iak od godziny, grube i czarne chmury zgromadzały się ze wfzyftkich stron na Niebie. Powietrze ociążałe ciężki mi sprawowało oddech. Uslyfzałem zdaleka głuchy huk, podobny do wód szumiących.

Ten



Ten huk tym bardziej się powiększał, im się bardziej Niebo zachmurzało. Nakoniec uyrzałem na powietrzu długi ciąg ognia, za którym nastąpiło straszne wyfrzelenie.

Rozumiałem z początku, że armata którom widział odieżdżającą z wyspy moiej, była na Niebie: rozumiałem nawet, że okręt zatrzymany brzegami morza, którego ja nie rościągałem daley iak do horyzontu widzialnego, wstąpił na Niebo w tym miejscu, gdzie się z niebem łączyć zdawało, i że wtenczas płynął nad głową moją. Wszedłem do iaskini obawiając się, żeby mnie nie zgruchotał iesliby spadł na dół. Podwoiły się pioruny, i strach we mnie powiększyły. Szczęściem zakończył burzę deszcz wielki, słońce się ukazało i natura znowu na siebie wzięła całą swoją piękność. W kilka dni potym doznałem innych strachów, ale ieszcze krócey trwały. Słońce się wie-

dnym

dnym momencie wsrzód dnia zaczął. Patrzałem na niego płacząc i podnosząc ręce do góry. Widziałem że się jego krąg powoli zakrywał, ale skoro się zakrył cały; tak zaraz z przeciwney strony część jego ukazywać się poczęła, i ta część coraz się powiększając przysła do zupełności krągu. Wniołem bardzo rozsądnie, że między mną i nim, inne iakieś przechodziło ciało. Zdałomi się nawet, że trochę dojrzał tego ciała.



### *Popelniam Okrucieństwo*

Widywałem czasem króliki; te zwierzęta że są bardzo dzikie, wpadły u mnie w podeyrzenie. Wniołem że one być muszą złośliwe, i zacząłem się obawiać, ażeby się kiedy skupiwszy nie przyszły mnie pozzość w moiej

iaskini; (\*) zamykałem wchód nieiaką lasą uplecioną z gałęzi, i sypiałem dosyć spokojnie za tą palisadą.

Jednego poranku, gdy zbierałem korzenie i składałem je pod jednym drzewem, tym czasem nim ie piec miałem, uyrzałem że ieden krolik przyszedł udzielić z nich sobie także: w padłem w gniew „ Ta potwora, mówi-  
„ łem, chciałyby zjadać moje  
„ korzenie, nadgradzając sobie  
„ to, że nie może zieść mnie sa-  
„ mego? Byłem nie daleko od niego: on mnie nie widział; miałem gruby kiy w ręku, rzucam na niego tak silnie i sprawnie, że uderzony pada na w pół umarły. Biegnę do niego, i z początku byłem tak nieczuły, że spokojnie patrzałem, iak się tłukł i pasował z śmier

---

(\*) Widywałem mnóstwo mrówek, które stały trupy chrząszczow i niektóre drapieżne ptaki, co sobie wydierały złapaną przepiórkę.

z śmiercią. Gniew wygasza ludzkość, ale ta znowu wzięła górę. Zostałem tknięty widząc, że te biedne zwierzątko cierpi i przez swoje ruszania się, i przez swoje spöyrzenia, wyrzuca mi na oczy, że przed czaſem bez porady natury, gubiłem iestestwo, nad którym nie miałem innego prawa, tylko które sobie moc i sprawność przywłaszcza. (\*) Strofowałem ſam ſiebie o twardość ſerca, ale próżno było chcieć to nadgrodzić. Tom tylko dla nieſzczęśliwego

---

(\*) Bezwątpienia potrzeba toczyć wojnę z zwierzętami zbyt mnożącemi ſię, albo mogącemi nam ſzkodzić. Podług tey zaſady mogłem królika zabić, którego miałem za ſwego nieprzyjaciela. Ale tey zaſady, co z moiey ſtrony uderzenie królika uſprawiedliwiała, ón zſwoiey ſtrony nie mógł poznawać: nie wiedział ón moich pobudek i nie mógł mnie mieć, tylko za naynieſprawiedliwſzego, żem zdradziecko zabił zwierze daleko odemnie ſłabſze, które ani mnie ukąſiło, ani mi nic złego nie uczyniło.

wego mógł uczynić krolika, że zakończyłem jego boleści i życie, zadając mu przez litość raz ostatni: skorom to zrobił natychmiast skonał.

Postanowiłem żadnego więcej nie zabijać zwierzęcia; ale znalazłszy z nich które umarłe, któreby jeszcze nie było zepsute, nie mógłżebym go jeść i znaydować w nim smak przyjemniejszy niżeli w korzeniach? Nietymże to mięsem karmiono mnie w mym więzieniu? Mój krolik mógł mnie objaśnić w tey wątpliwości, chciałem z niego zrobić doświadczenie: z początku musiałem walczyć z niejakim wstrętem, który ciekawość moja wkrótce przewyższyła. Ugryzłem kawałek skóry, która mi się zdała być zbyt twardą i niesmaczną. Pełne usta nabrało mi się włosów, które z trudnościom mógł powyrzucać. Nie zaniechałem jednak mego dzikiego przedsięwzięcia.

Wziò-



Wziółem ostry kamień, odarłem krolika ze skóry, żarłem ciało iego, które ieszcze drgało. Krew zboczyła ręce moje, skoczyłem w tył z boiaźni, upuściłem trup na ziemię, który zdiąwszy potym, wrzuciłem w krzaki. Rzu ciłem także zaraz z początku kawalki, których tylko dotknółem się ustami. Szedłem do bliskiego zdroiu umyć ręce. Przejrzałem się w iego kryształ, ( nigdy o tym bez zadrżenia wspomnieć nie mogę ) usta moje do tego czasu, tak świeże, tak rumiane, zbroczone były krwią brunatną, z którey kurzyły się ostatki życia ieszcze nie zupełnie wygasłego. Krew ta niewinna, powstała była przeciw mnie z zapalczywością, rozlała się po mych pierśiach i aż w oczy mi się lunoła: byłem podobny do wilka, który dopiero co pożarł baranka. Pograżyłem się w boleści, lzy moje zmyły część znaków mego okru-

okrucieństwa. Przeyrzrzałem się  
znowu w zdroiu i byłem kontent-  
nieyszym z siebie. Przyrzekłem  
nigdy nie być Tygrysem, i ieśli-  
bym kiedy zobaczył krolika, lub  
inne zwierze mówić mu przy-  
chilnie, idź mój przyiacielu,  
nie będę cię pożerał, nie zmażę  
ust moich krwią twoią, głos du-  
szy twoiey nie będzie się z wną-  
trności moich odzywał.

Dla utwierdzenia się bardziey w  
tym przedsięwzięciu, które mi po-  
dawały natura i ludzkość, sądziłem  
że mi należało powiększyć wstręt  
którym był sobie uczynił. Powra-  
cam do krzaku gdzie wrzucił  
krolika, wymuię go powoli z po-  
między gałęzi, niemogąc się ie-  
dnak ustrzedz, żeby go niektò-  
re nie poszarpały. Przypatruję  
się mu z bliska, widzę iż ma brzuch  
bardzo gruby: to mi przypomi-  
na śtan, w którym widziałem nie-  
co pierwiey łanie, nim swym ie-  
lon-

lonkiem zległa. (\*) Ach! zawo-  
łałem wewnątrznie, to jest łania  
krolikowa, ona była kotna, bez  
wątpienia zabiłem iey ielonka,  
popeliłem za iednym razem dwa  
zabòystwa. Jakże nieszczęśliwy!  
iакże niesprawiedliwy iestem! im  
więcey czuję roskoszy z życia,  
tym większa iest moja zbrodnia,  
żem odebrał życie temu, kto nie  
następował na moje --- Patrzay  
potworo, patrzay, coś zgubił.  
Nate słowa wzięłem kamień oftry  
i drżącą ręką otworzyłem wną-  
trności trupa. Pierwszy to był,  
który widziałem, prawie drgał  
iyszczce; zobaczyłem serce, żo-  
łądek, trzewa; zobaczyłem dziwną  
budo-

---

(\*) Dopiero od dni kilku wiem, że  
mówią, iż łania zległa. I czemużby  
niemożna tego używać wyrazu? cała róż-  
nica między pologiem łani i kobiet iest  
ta, że pologi tam są mniej bolesne,  
ponieważ ona w używaniu roskoszy mi-  
łośnych i w sposobie życia pod czas swey  
ciąży, idzie tylko za prawami natury.

budowę, którą utrzymowały kości  
 ruchome dziwnie pospajane i cia-  
 łem pokryte, które będąc tak  
 gęstym że czyni cał'owitość mo-  
 cną, jest iednak oraz tak miętkim,  
 że się podaje na wszystkie poru-  
 szenia które czynią koście nim  
 pokryte i podzielone - - - Zaflo-  
 na, którey lękałem się rozedrzyć,  
 ukrywała rzecz iakąś, która zda-  
 wałami się być kawałkiem ciała  
 nie ukształconego i nie porządne-  
 go. Przypatruję się bliżey, i  
 przez tę zafłone cięką, iasną,  
 przezroczytą i rozciągnioną, zda-  
 iemi się iakbym widział głowy  
 i oczy. Kamień mi z rąk wypa-  
 da: biorę go, i żebym mniej  
 miał trudności w przezwycięże-  
 niu wstrętu, otwieram prędko - -  
 Co za widok! sześć małych kro-  
 lików bliskie porodzenia się i już  
 żywe, trzepioczą się, otwierają  
 usta i strosują mnie z okropnością,  
 żem śmiał przenikać do schronie-  
 nia świętego, gdzie natura umie-  
 ściła ich, wyprowadzając z nik-  
 cze-

ciemności. Rzucam znowu nie-  
szczęśliwą krowicę i iey płód w  
krzak, z którego ią był wycią-  
gnął. Uciekam do mey iaskini  
płacząc, krzycząc i przeklinając  
samego siebie.

Przyszliście do siebie z me-  
go pierwszego przestachu, przy-  
pomniałem sobie, że widział w  
krowicy niektóre części, które, przy-  
pominając w tenże sam czas łą-  
czenie się Jelenia z łanią, na co  
niedawno patrzyć mi się zdarzy-  
ło, zdawały się być przeznaczo-  
ne do płodu. Wszystko to w  
zniecało w sercu moim iakieś  
żądze pomieszane, a w umyśle iakieś  
podebieństwo prawdy, a za-  
tym ciemności.

Załowałem także (ale niemiałem  
ochoty doświadczać drugi  
raz) że w trupie, który otwo-  
rzyłem, nie dochodziłem przy-  
czyny dymu ciepłego i wilgotne-  
go, który z niego wychodził.  
Mniemałem, że się w iego żołąd-  
ku, albo sercu ogień znajdował,  
i nie-



i nie myliłem się w tey mierze;  
ale ten ogień rozumiałem być  
podobny do ognia, przy którym  
się grzałem, i w tym mocnom się  
mylił.

W nieiaki czas po tey tragi-  
czney scenie widziałem inną mniey  
okropną, ale tym samym bardzicy  
powiększającą w oczach moich  
srogość pierwszey. Kruk ieden  
zwatłony starością i osłabiony dłu-  
gim życiem, leżał między zie-  
lem w cieniu pod iednym drze-  
wem. Ptak leżący mocno mię  
zadziwił. Zbliżam się rozumie-  
jąc że umarł, ale mu niedaleko  
do tego było. Rzucił na mnie  
wzrok i zdawało się iakby do  
mnie mówił „ Ja się ciebie więcey  
„ nieboię; niebędę uciekał, cho-  
„ ciałbym mógł; ieżeli dni mo-  
„ ich skrócisz, to tylko na kilka  
„ momentów; mam umrzeć, a  
„ umrzeć bez żalu, ponieważ do-  
syć żyłem „ Uważam go, widzę  
że się oczy jego zamykają, widzę  
że dziób otwiera, nogi i skrzydła

wyciąga i umiera - - - Ach zawo-  
łałem, jeżeli kiedy mam umierać,  
bodayby śmierć moja była tak łą-  
godna jak kruka tego, ale żeby  
nigdy potwora mnie podobna nie-  
podniosła na mnie swej gwałtow-  
nej ręki; żebym nigdy nie umie-  
rał, jak te nieszczęśliwe zwierze,  
co go złość moja zgubiła.

Głód mi się uprzykrzał, szedłem  
ziesć kilka korzeni, i powróciłem  
z kamieniem ostrym dla rościęcia  
kruka, żebym zobaczył, jeżeli  
ptaki podobne są wewnątrz do  
zwierząt, i jeżelibym niezna-  
lazł w nim ognia, któremu  
się domyślał w kroliku. Ale  
zbyt późno przyszedłem. Nie  
zaślałem już na mieyscu gdzie  
go zostawił, tylko pióra i koście.

Znaki śmierci okazały mi się pod  
czworakim różnym pozorem w  
rybkach, w wiewiorce, w kroliku  
i w kuku. Widziałem ją wiele  
jeszcze razy w innych kształtach.  
Niebędę czynić przykrości Czy-  
telnikowi, smutnym ich opisywa-  
niem.

niem. Naprzykrzyłbym mu się z ferca opisanie następującym, bo jest także smutne: ale spodziewam się, że dla ducha prawdy, którym one tchnąć będzie, nie poczyta mi za złe, żem go nie opuścił.



*Nowy widok pogrąża mnie w boleści.*

Było na ów czas około końca września. Wiosna i lato płynęły nieustannym dla mnie ciągiem rokoszy. Miałem życie rokoszne. Ale umniejszenie dni znaczne, nastąpienie pierwszego zima, pierwszy upadek liści z drzewa, wszystko to niespokojnym mnie czyniło, i sprawowało dla mnie życie nieprzyjemne. Szczęściem przypadek nauczył mnie dobywania ognia, a potrzeba przypomniata mi, że między odzieniem wydobytych z klatki, z naidowała się skóra wielka niedzwiedzia, która mnie więcej nie przestraszała:

N a                      przy-

przyzwyczaiłem się już do strachów. Poszedłem ją wziąć, obwinotłem się nią włosami do ciała; tym się bowiem sposobem odziewałem. Za pomocą skóry i ognia ochraniałem się od zimna, ale nie mogłem z nich mieć pociechy w smutku patrząc na ziemię posępną i odartą. Codzień nową iaką utracala ozdobę, codzień obawiałem się wychodzić z iaskini; nie widziałem, inie oczekiwałem, iak tylko nieszczęśliwości.

Jednego poranku uyrzawszy z głębi mey iaskini wrzos cały okryty mrozem białym, odwaliłem nagle lasę, którą wniyscie zamykałem co wieczor przed krolikami, i wykoczyłem na dwór, dla przewyciężenia wstrętu, który miałem wychodzić z iaskini. Dwa też potoki popłyneły z mych oczów; zacząłem wzdychać, łkać i krzyczeć. Wszystkie prawie liścia przez noc z drzew opadły, a te troche co pozostały, widać było, iak smutno odłaczały się od gałęzi;  
rzekł-

rzekłbyś, że chciały chwycić się  
drugich gałązek, o które, lecąc  
ocierały się, i iakby z niechęcią  
dążyły do ziemi. Chciałbym ich  
był zatrzymać, chciałbym był ich  
upadkowi zapobiec, wyciągałem  
ku nim ręce, ale niestety! próż-  
ne moje były usiłowania! Odwró-  
ciłem się, żebym przynajmniej  
nie patrzył na złe, na które nie  
było lekarstwa, i dalej płakałem  
rzewnie.

Jeśli się zdaie rzeczą dziwną, iż  
ja tak wiele łez wylewam dla li-  
ści, przypomnij sobie, że cię natu-  
ra zaczęła tylko, a nieszczęściem  
fztuka dokończyła, a zatem nie  
jest niepodobna, żebyś na to, co  
naturę trapi patrzył bez tkliwo-  
ści; ale ja którego ona sama uło-  
żyła i wyedukowała, mógłżebym  
bez łez i wzdychania patrzeć na  
konającą moją matkę, zwłaszcza  
nie wiedząc, że się na wiosnę mia-  
ła odrodzić.

Pochwyciłem znieiałą dotkli-  
wością drzewko, które mi pod  
rękę



rękę podpadło, uważałem go z pilnością i zobaczyłem, że z mieysc zkąd listki odpadły, wychodziły małe pączki, w których zawierały się listki podobne do tych, co widziałem rozwijające się pierwszych dni mego na wyspę przybycia.

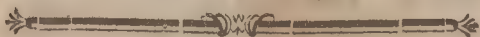
Widok ten wielką we mnie wzniecił nadzieję; pełen radości poszedłem łani i ielonkowi tyfiączne czynić przymilenia. Opowiedziałem im gestami i nieśłownym głosem, iakiegom doznał smutku, i co mi go osłodziło. Złamałem jedną małą gałązkę; otworzyłem paznokciami kilka pączków: pokazałem im dwóm przyjaciółom, że nowe listki nastompią niezadługo na mieysce tych, których opadnienie tyle mi sprawiło żalu, którego nie wątpiłem żeby i oni nie doznali, a tym sposobem dzieląc z niemi moją pociechę, czułem że się ona powiększała.

W kilka czasów potym mróz znacznie zelżał; Niebo się okryło  
chmu-

chmurami i deszcz spadł obfity. (mogło to być około końca Grudnia.) Widziałem, że pączki na drzewie codziennie się powiększają, z czegom się niewypowiedzianie cieszył. Zaraz prawie pomieszał radość moją mroz przykry, który zamknął wszystkie skarby natury. Wiele miałem trudności dnia pierwszego w worywaniu korzeni, i ztąd wniosłem, że ieślibym nie opatrzył się w dostatek zapasu, mogłaby się ziemia zamknąć, a ja umarłbym zgłodu.

Człowiek, któremu życia nie sprawia przykrym i nienawistnym, nie zaniedbuje sposobow zachowania się przy nim. Przepędziłem dzień cały na zbieraniu korzeni, i nosiłem je do mey iaskini, pewny, że się tam zachowają od zimna. Nazbierałem ich więcej - iak na sześć niedziel i piekłem według potrzeby. Mróz trwał prawie przez miesiąc: postrzegłem, że łania i ielonek, które codziennie odwiedzałem, zaczęły słabiec, ponie-  
waż

waż nie mieli zapasu. Dałem im korzeni pieczonych, których nie zechcieli; potem dałem surowch, rzuciły się do nich z chciwością, i iedząc poglądali na mnie w sposób, który tak dobrze wyrażał wdzięczność, że mnie tym uieły, abym ieszcze ich bardziej kochał.



*Dalsze opisanie widoku smutnego.*

Jednego z ostatnich dni tego mrozu, leżałem ieszcze w głębi mey iaskini, kiedy iuż słońce zeszło. Porywam się ze snu, postrzegam przez szpary mey lasy, którą był wchód zamknięty, wielką powierzchność białą, biegnę do drzwi, odwalam je iak zawsze i widzę, że świat cały do czterech tylko widoków iest przyprowadzony, to iest: zostawało tylko Niebo, słońce, morze i śnieg.

Nic więcey nie zostało na ziemi tey przyjemney i powabney różności, która ią sprawuje piękniey

nieyszą niżeli Niebo; ale białosc  
iskrzaca się, która ją okrywała  
całą, czyniła widok prosty, szla-  
chetny, wspaniały. Dziwiłem się  
iey nic nie poymuiąc, stawiam ze  
drzeniem iedną nogę na śniegu,  
ta grzęźnie, strach się mój podwa-  
la, padam w śnieg twarzą. Zda-  
ło mi się padając, że się podemną  
przepaść otwiera. W tym momen-  
cie porywam się ze wszystkiey siły,  
i staię na nogach prawie pierwiey,  
nim się ziemi dotknęłem. Cofam  
się w tył z przełękniem; pozna-  
ię na śniegu wyraz mego ciała;  
postrzegam, że go noga moja ści-  
ska, widzę ziemię na spodzie do-  
łu, który upadkiem moim wyko-  
pałem, a zatym widzę grubosc  
śniegu którego było prawie na  
stopę. Uczyniłem trzy kroki w do-  
le przezemnie wykopanym, od-  
ważam się raz postąpić daley,  
potym z wielką ostrożnością i  
z nieiaka boiaźnią, ieszcze daley  
postąpiłem krokow kilka. Ośmie-  
liłem się nakoniec, a nawet mia-  
łem

łem rozrywkę depcząc śnieg, i robiąc na nim ślady. Biegnę do ognia i dziwuję się, że go znalazłem odkryty. Szczęście dla mnie, że z wieczora nakładłem grubych gałęzi, nim spać poszedłem, bo zapewniemy był wygaś. Wiele główni zachowało się z ogniem pod popiołem zskorupiałym od padającego nań śniegu; to mi powodowało do rozumienia, że się śnieg pali. Rzuciłem garść śniegu na ogień, gasił go tam gdzie dopadł. Na ten czas zacząłem żywo otrząsać ten co był na gałęziach, które zapalić miałem. Układłem je na węglach porządnie i wkrótce cieszyłem się widząc je zapalone. Poszedłem rznąć innych wielkim nożem krzywym, który od czterech lub pięciu Miesięcy znalazłem między kamieniami na brzegu morza zachodniego, to jest: w jednym miejscu najodleglejszym od mego klatki. Zapewnie go tam położono w dzień wyśadzenia mnie na wyspę, i miał na



na uwagę położyć go na miejscu, nie co opodal od miejsca, na którym mnie na ląd wysadzono, ażebym go nie znalazł, aż dopiero po niejakim czasie, kiedybym przez doświadczenie nabrał doświatła, ażebym mógł zgadnąć do jakiego te narzędzie jest użycia, i żebym się nim nie skaleczył.

Przepędziłem poranek czyniąc doświadczenia z sniegu, rozpalać ogień i wycinając drzewa: dobrzem ten poranek przepędził. Krzątałem się koło tego wszystkiego z taką ochotą, że mi nawet iedzenie na myśl nie przyszło.

Kiedym iadł obiad, to jest kiedy usiadłszy na ziemi połykałem korzenia, uyrzrałem iż grube chmury powstawały na Niebie; w krótcie się potym rozerwały, a powietrze napełnione zostało kosmami śnieżnemi. Widok ten zadziwił mię i zmartwił. Cóż to jest? mówiłem uciekając i płacząc. Maż śnieg spaść aż do wierzchołków drzew? maż zawalić iaskinię mo-

ia,

ią, zgasić mój ogień, i stać się  
mym grobem? Pograżony w tych  
myślach okropnych, poczułem że  
się nogi moje podemną uginają:  
upadłem. Chciałbym być prze-  
stać być, albo żebym był nigdy  
nie był. Iak wiele razy złorze-  
czyłem tym, którzy mnie od  
dzieciństwa mego, nie przyzwy-  
czaili do widzenia Nieba, ziemi,  
lata, zimy, meteor. W tym szczę-  
śliwym wieku nie mogąc rozumo-  
wać, widziałbym był te wszy-  
stkie rzeczy bez boiaźni, a wi-  
dząc je rok po roku, nauczyłbym  
się był z doświadczenia, iż bardzo  
się rzadko przytrafia, żeby one  
miały nieszczęśliwe iakie skutki.



*Rozumię nad tym com dopiero widział.*

Skoro śnieg padać zaczął, schro-  
niłem się do mego ognia. Tam  
usiadłszy na piętach, założywszy  
na krzyż ręce, zwiesiłszy głó-  
wę na pierś, nieruszałem się nic,  
tyl-

tylk  
to v  
uwa  
foko  
pogl  
dzia  
uda  
okry  
któr  
Lęk  
pada  
zdał  
bard  
mi

Z  
ce z  
dzin  
w fi  
się  
Za  
niły  
sli.  
ie n  
nieg  
fobi  
ten  
mys

tylko co raz smutno to wiedną,  
to w drugą stronę obracając oczy,  
uważałem, czyli się bardzo wy-  
fokość sniegu powiększa, potym  
poglądałem po sobie samym. Wi-  
działem że śnieg pada na moje  
uda, które pod ten czas niebyły  
okryte skurą niedzwiedzią, na  
którey daleko wolniey topniał.  
Lękałem się żeby na mój ogień  
padając, niezagasił mi go, ale  
zdało mi się, iż przeciwnie tym  
bardziej się ogień wzmacniał, co  
mi nieiaka sprawiło pociechę.

Znowu nadzieia i radość w kró-  
tce zupełnie mi się wróciły. Go-  
dzinę tylko prawie przepędziłem  
w smutku, gdy Niebo rozjaśniać  
się poczęło i słońce ukazało się.  
Za odmianą stanu ferca, odmie-  
niły się moje wyobrażenia i my-  
śli. ( Wiele się układów przyzna-  
nie rozumowi, które nie należą do  
niego. ) Usiłowałem wytłumaczyć  
sobie samemu, co to była za rzecz  
ten śnieg. Przyszło mi z razu do  
mysli, że to mógł być nieiaki  
gatu-

gatunek defzczu, który się zmar-  
zał padając na powietrzu; ale że  
od kilku miesięcy rozumowałem  
zbyt wiele, i że zacząłem mieć  
upodobanie w tym co zadziwia,  
takie tłumaczenie sniegu zdało-  
mi się być nadto proste, żeby  
mogło być prawdziwe. Bardziej  
mi się podobało te. , , Te niezli-  
,, czone sztuki sniegu, spadające  
,, z Nieba na ziemię, są bez  
,, wątpienia pierwszą materją  
,, kwiatów, któremi za moim na  
,, Wyspę przybyciem, wszystkie  
,, urodzajne drzewa były okryte.  
,, Zapewne piękna pora, co te  
,, wydałe kwiaty, ma się w krót-  
,, ce odnowić. Zobaczę iak się  
,, ten wielki cud dzieie, i zapo-  
,, mnę smutku, który mi spra-  
,, wuje przygotowanie tey szczę-  
,, śliwej odmiany.

Tym czasem mróz trwał iesz-  
cze przez dni kilka, i zakończył  
się przyjemnym defzczem, który  
zniszczywszy śnieg do szczeru,  
o mało nie zepsuł moich fizy-  
cznych

czu-  
sąd-  
nia  
pnia  
w z  
zno-  
ze  
kfst-  
pąc  
W  
nie  
mni  
moi  
uuz  
ani  
prz-  
nat-  
zum  
boty  
fzy  
ko p  
fze  
Wid  
czk  
kwi  
i du  
nych

cznych uwag; ale nie zbywa przesądóm na sposobach utrzymywania się. Wniośłem że śnieg stopniały i obrócony w wodę, miał w ziemi, którą napawał, wziąć znowu swój kształt stracony, i że wkrótce zobaczę go w tym kształcie wychodzącego z drzew pączków.

W kilka tygodni potem, zdarzenie zdało mi się potwierdzać moje mniemanie, i utwierdziło mnie w moim błędzie, albo raczey, skoro uyrzałem że drzewa kwitną, już ani myślałem więcej dochodzić przyczyny tego cudu. Człowiek naturalny lubi się cieszyć: nierozumie, tylko gdy niema do roboty czego lepszego. Naymniejszy kwiatek здаiemu się być daleko piękniejszym, nad naypiękniejsze nad naywyższe badania --- Widziałem iak się zakończyły pączki, iak się z nich wywiałały kwiaty. Co za widok dla oczów i duszy niczym nie roztargnionych! Po mrozie wspomnianym

któ-



który tey zi-ny był naytęższy, postrzegłem że dni zaczęły być dłuższe, co mnie uleczyło z boiaźni nieustannej nocy, która zdawałami się grozić; kiedy zobaczyłem że od miesiąca Sierpnia aż do Stycznia, połowa ich prawie ubywała. (\*) Słońce poczęło lepiej dogrzewać, zioła żywszą i iasnieyszą na sobie wdziewały zieloność; pączki rosły i zdawały się czekać z niecierpliwością rozwinięcia się. Ptaki przez piosnki bardziey mocne niżeli przyjemne, bardziey huczne niżeli łagodne, zdawały się iedne drugich powoływać do bitwy, albo przez swoje krzyki piekliwe, prosić o jakąś rzecz, ktorey pilnie potrzebowwały. Nie wiedziałem na ów czas, czego to one od siebie prosiły, albo przynajmniey nie wy-  
ra-

---

(\*) Mogło na ów czas być puł Lutego, i dopiero osmieliłem się przypuszczać niejaką pewność, że dni były dłuższe niżeli w Grudniu.

rażnie tylko w sobie to czułem: pierwszemu na *Julią* spóyrzeniu zostawiono było, odkryć mi tę tajemnicę.

Prawie po miesiącu, wiosna zaczęła ukazywać się mym oczom, i dawać się czuć wszystkim moim władzom. Codzień ogłaszała się nowym jakim wdziękiem, nową jaką przyjemnością. Eh któreżby serce było tak obszerne, żeby wystarczyć mogło lubościom wiosny, któreaby się ukazała nagle!



*Odkrywam iedną wielką prawdę.*

Ciepło przyjemne i ożywiające schodzące z Nieba; wonia, którą mu ziemia iakby na dowód hołdu wdzięczności swej posyłała, piosnki ptaków nieustanne, i daleko miłsze, daleko melodynierysze, niż były nieco pierwey; igraszki mego ielonka i łani, pieśzczoty ich, które mi czyniły, nierównie żywsze, niż zwyczajne; lazur kwia-

tów, piękna zieloność która zaczęła uwięczać drzewa, słowem odrodzenie się natury, przenikały serce moje radością słodką, radością iakiej wyrazić niepodobno.

Choć nie lubiłem rozmawiać, kiedy się miałem czym bawić; rozumowałem na ów czas ale bez ufilności, bez natężenia; czyniłem to raczey sercem aniżeli umysłem; nie tak to były myśli, iako bardziey czucia, których doznawałem.

„Przepędziłem tu porę, mówię, u miarkowaną, drugą zbyt gorącą, trzecią znowu umiarkowaną, czwartą zbyt zimną. Niepostrzegłem tej różnicy nigdy zostając w klatce; ale byłem zamknięty, i może do niey powietrze nie mogło przenikać. Z innej strony ten czas zanic mi poczytać należy. Od tąd dopiero żyję, kiedy zostaję na tym mieyscu. Wiadzę teraz, że pierwsza pora u miarkowana powraca z takimże

„miż samemi znakami i przy-  
„iemnościami, iakie widziałem  
„przybywszy na tę wyspę; więc  
„to jest też sama, więc po niej  
„nastompią tak że trzy inne; i  
„bez wątpienia, gdy się ten  
„obrót zakończy, znowu się  
„zacznie. Ten obrót nie mógł  
„żeby się odmienić? nie mógł  
„żeby być porządnieyszym, po-  
„żytecznieyszym, mędrszym?  
„Jak i dla czego to tak jest? Jak  
„i dla czego panuje nieustannie  
„te dnia i nocy, zimna i ciepła,  
„następstwo? Jak i dla czego  
„ziarna, które przy końcu lata  
„widziałem spadające z iednego  
„krzewu, zostawały przez zimę  
„niby ziarna piasku martwe, a  
„teraz wypuszczają z siebieni-  
„gałązki małe, które idą w zie-  
„mię, gdy tym czasem inne ga-  
„łązki przybrane w liście, pod-  
„noszą się ku Niebu? Jak i dla  
„czego bieg słońca i Xsiężyca,  
„tak jest iednostayny, tak nie-  
„odmienny? &c. &c. --- Moja

„wola podług upodobania swego,  
 „kieruję mym ciałem i wszyst-  
 „kiemi członkami. Ta wyspa  
 „(\*) na której mieszkam, te  
 „Niebo, te gwiazdy, co krążą  
 „nad głową moją, i których ruch  
 „jest tak porządkny, wszystko to  
 „jest tylko jednym wielkim cia-  
 „łem, którym władnie wola wyż-  
 „sza i nademnie i nad słońce.  
 „Zkąd te wszystkie pochodzą  
 „i jesteście? zkąd ja sam pochodzę?  
 „Tajemnica to jest niedościgła.  
 „Ale z jakkolwiek bądź pocho-  
 „dziemy, iakiekolwiek bądź są  
 „nasze iścieśwa i materye z  
 „których iścieśmy złożeni, ode-  
 „braliśmy bez wątpienia ten  
 „kształt od teyże samey woli,  
 „co nami władnie. Kóždego ie-  
 „ścieśwa

---

(\*) Potrzeba tu uważać; i na innych  
 miejscach, gdzie mówię o mey wyspie, że  
 nie mogę użyć żadnego znanego słowa,  
 którym bym wyraził wyobrażenie, któ-  
 rem miał mey wyspy. Nie wiedziałem co to  
 jest wyspa, i że moja nie była całą ziemią



„Iestwa kształt iest doskonałe  
 „piękny, iest stały, i w odmia-  
 „nach nawet, swoich nieodmien-  
 „ny, gdyż wszystko idzie ie-  
 „dnośtąynym porządkiem: musi  
 „więc być że ta wola naywyższa,  
 „iest iestestwa nieskończenie mo-  
 „cnego, nieskończenie mądrego  
 „---- O wielkie Jęstestwo! więc  
 „to czym ięstęsmę, słońce, ia i  
 „wszystko, ięstęsmę przez Cie-  
 „bie? uznaię twoią moc, twoią  
 „mądrość, twoią dobroć, dzie-  
 „kuię ci, czczę cię ----

Wymawiając te słowa, miałem  
 oczy łzami zalane, podnosiłem  
 ręce ku Niebu, święta iakaś o-  
 garnęła mię boiaźń, padłem twa-  
 rzą na ziemię, zostałem przez nie-  
 iaki czas w tey pokornej postawie,  
 serce moje na nayżywsze się czci  
 i uszanowania otwiera czucia.

Niech się mnie nikt niepyta,  
 iak ledwie w szesnastym roku mo-  
 głem być zdolnym tak głębo-  
 kie czynić uwagi? jużem odpo-  
 wiedział na ten zarzut. Dusza  
 mo-

moja zachowywała ieszcze swoją wrodzoną czystość, a niebyła roz-targniona ani nikczemnością, ani zbrodnią, a tak choć młoda, mogła daleko sięgać. Ten dzień, krórego światło wieczne, co do-tąd przez promyki tylko zła-mane i odbijające się nieco mi się ukazywało, stało mi w oczach w całej swej światłości, był dla mnie dniem szczęśliwym. Na tej Epoce kończę życie moje naturalne i odludne; przepędziłem ieszcze na mej wyspie lat kilka, każdy rok niebył dla mnie, jak tylko powtarzaniem pierwszego, i czemużby nim nie miał być? Tak przyjemnie ten pierwszy przepędziłem! Przepędziłem go bez tęsknoty, i dla tego, że mnie nienauczono co jest tęsknota, i że żyłem sam ieden, i że umiałem czerpać szczęśliwość w sobie samym, a szczęśliwość przydatkową w tym wszystkim co mnie otaczało.

Czynię

*Czynię nowe odkrycie.*

Za kòżdym powròtem wiofny  
chodziłem odwiedzać moią klatkę,  
i niepoymowałem, dla czego bę-  
dąc drewnianą, była kwadratową,  
a inne drzewa okrągłe, była czczą  
a inne drzewa pełne; niewydawała  
ni liści, ni kwiatów, a inne ie  
wydawały. Sprzykrzywwszy sobie  
żem ią zawsze znaydował nie-  
płodną, z niecierpliwości porąba-  
łem ią wszteki fiekierą; mało mi  
się sprzeciwiała, bo była na pół  
zgniła. Tak ią rozrzucając po-  
strzegłem gwoździe, któremi  
pozbiłane były deski; postrze-  
głem dwa czopy żelazne, na któ-  
rych obracało się koło. Ta klat-  
ka, moja fiekiera i suknie któ-  
rym z pogardy dopuściłem zepfu-  
cia, zdały mi się być dziełem in-  
ney ręki, nie tey która utworzy-  
ła naturę, daleko od tey podley-  
szej. Wzięła mię chęć docho-  
dzenia przyczyny tey różnicy,  
ale

ale zkąd i jakim iey dōysć sposobem?

Tą niespokoynością pomieszany, poszedłem przeysć się za wielką skałę, (\*) która w pierwszym mego na wyspie mieszkania roku, tak bardzo mnie była przestraszyła, kiedy wiele głofów wyfzłych zgłombiiedney iaskini odpowiedziały mi, *dać mu pokoy.*

Od owego czasu obchodziłem zdaleka tę skałę, i wszystko co ją otaczało. Niemiałem także ciekawości widzenia długiego łańcucha gór za tą skałą leżących. Przyzwyczaiłem się do przechadzek milszych po innych mieyscach mey wyspy, a do tamtego wstępu powziółem. Unikałem u szczęśliwienia mego, ale mógł żem go przewidzieć? (\*) Nakoniec

---

(\*) Nie pierwszy to ia raz miałem chęć udania się na tamte mieysce, ale tak wielka nie była iak w ten czas.

(\*) *Nescia mens hominum fati sortisque futurae.*

niec ciekawość i niespokojność poprowadziły mię w tamtą stronę.

Porąbawszy klatkę, nałożywszy dostatkim drewek na ogień, podiadłszy dobrze korzeni, udałem się dalego w góry, obchodząc niedostępniejsze. Gdym iedną znalazł mniej przykrą, wlałem na nią aż na sam wierzchołek, z kąd widzę i dziwuję się obszernemu mojemu państwu. Rościągają się one bardzo daleko za górami; las przy którym kładłem ogień, kończył się obszerną, urodzayną płaszczyną, ze wizech stron oblaną morzem. Dla przypatrzenia się tylu pięknym rzeczom z bliska i wygodnie, przynajmniej potrzeba mi było dnia całego; postanowiłem więc skoro świt powrócić nazad, i wziąć z sobą zapasu. Przypatrowałem się jeszcze z podziwieniem przez iakie trzy godziny pięknym około mey góry widokom, ale że nieśmiałem przepędzać  
nocy



nocy w miejscu tym nieznanym, powróciłem do ognia i iaskini, iak skoro słońce się zaczęło spuszczać na zachód.

Czegoś mi niedostawało do mey szczęśliwości niewidziałem tego dnia ani mych łani, ani ielatków, (\*) dla poszukania ich podwoilem me kroki. Jak często rozumiemy że się dąży do mety, gdy się od niey oddala! Moie łanie i ielenięta znaydowały się na górze, szły za mną: doganiaia mnie, pieściemy się tyśiącznymi sposobami: powracam do iaskini, iem wieczerzę i spać się kładę. Przepędzam noc prawie całą wślodkiey iakieys̄ niespokojności, po której spoczynek zdawałmi się być stanem zniszczenia, w  
któ-

---

(\*) Od ósmiu lat stadko mey łani, i drugiej, którą w roku następującym znalazłem, mocno się rozmnożyło. Wszystkie młode ielenięta, które się rodziły oswajałem, a tak na ten czas miałem wiele ieleniów, wiele łan i ieleniāt.

którym niekontent bym był zo-  
stawiać. Porywam się ze snu  
wczesnie przed świtem, (Xieźyc  
na ów czas świecił.) Biorę mój  
sprzęt, to jest wiązkę korzeni,  
i idę.

Szedłem prędko prawie przez  
godzinę, przychodzę na górę, na  
której byłem wczora. Oczy moje  
przy słabym świetle Xieźyca ga-  
snącego, i iutrzeńki zaczynają-  
cey się ukazywać, odkryły z tej  
strony w którą szedłem, wiele  
zwierząt, iednych wielkich, dru-  
gich wzrostu miernego. Niewąt-  
piłem iż to są moi przyjaciele:  
biegnę do nich iak nayprędzey,  
(\*) chęć zobaczenia ich i igrania  
z niemi powiększa moją niecier-  
pliwość: przerzynam powietrze  
i ledwie na piasku ślady moje zo-  
stawuję.

### Tym

---

(\*) Jak ia nigdy nikogo niewidziałem,  
tak nikt mi nie nabił głowy, żeby nie-  
bezpieczno było biegać, przeto biegałem  
i często i prędko.

Tym czafem widzę z daleka trzodeę moją rozproszoną: ieden tylko ielonek z matką swoją szły drogą, którą ia isć miałem, szły z wolną; mogłem za niemi zdążyć: przychodzimy razem na koniec lasu gdzie się zaczynała płaszczyna. Ielonek mój kilka mi tylko zimnych uczynił pieszczot, zdawał mi się być zatrudnionym czymś innym, nie mną, wyrwa się z moich rąk; wchodzi do lasu; ia wchodzę za nim.

Pierwsze promienia słoneczne zaczęły wychodzić z załłony iutrzeńki. Nie rozumiałem żeby ten widok miał być dla mnie miłszym iak codzień, z tym wfyszkim nowe w oczach moich zdawał się wydawać przyjemności.

Sidło to z wabiło mego ielonka; była to wielka sieć rozpięta nad iedną wiązką ziół pachnących. Idziemy obydwu pod tę sieć. On ie nie myśląc o niczym; ia z chciwością przypatruję się tym kwiatom, tak sztucznie nad gło-

wą

wą  
uśł  
docie  
rusza  
utrzy  
da i  
Nie z  
w te  
lękać  
głos  
ciągn  
nie m  
przec  
miał  
któs  
dę  
Pie  
zach  
ie zn  
bym  
odzie  
go p  
wam  
lecie  
ręce,  
płacz  
trzyn

wą moją i około mnie ułożonym,  
 usłuię tego nowego widowiska  
 dociec: ielonek ciągnie ziola,  
 rusza kiy, na którym ten ułomny  
 utrzymował się budynek; sieć pa-  
 da i obydwaj jesteśmy złapani.  
 Nie zdawałomi się, żeby się nam  
 w tey okoliczności było czego  
 lękać, więcej mnie przestraszył  
 głos dzwonka, który padając sieć  
 ciągnęła --- Nie, nie, całe się  
 nie miałem czego lękać, owszem  
 przeciwnie iakiego szczęścia  
 miałem używać! --- Słyszę że  
 ktoś idzie, oglądam się --- Wi-  
 dzę *Julia*!

Piękność iey porywa mnie w-  
 zachwycenie, tracę wszystkie mo-  
 je zmysły, i rozumiem, że może  
 bym był skonał, gdyby zbiór iey  
 odzienia dziki, nie łagodził me-  
 go podziwienia i radości. Doby-  
 wam siły dla wywikłania się chcąc  
 lecieć do niey, wyciągam ku niey  
 ręce, mówię iey głosem łagodnym  
 płacząc *dać mu pokoy*. Ona za-  
 trzymuje się i także płacze, po-  
 tym

tym obróciwszy się w tę stronę z kąd przyszła, czyni znak iakiś pilny i znowu się do mnie obraca - - - Promienie iey oczów zapaliły moje serce, chciałem że wszystkiej mocy przerwać przeszkodę, która mnie od niey dzieliła. Widziałem że w niey walczy i chęć przyścia mi na pomoc, i boiaźń iakowego z tą przypadku, to przystępuje, to się znowu cofa.

Jeden starzec (był to iey oyciec) przybiega do niey zadychany; pogląda na mnie; widzi że się ia pafuię; boi się i o nią i o siebie samego: ścisła ją, mówi, żeby do chaty poszła. Ja płaczę, padam na kolana przed starcem, wyciągam do niego ręce z proźbą; krzyczę głosem przez wzdychania osłabionym *dać mu pokoy*, a to wszystko prosząc o *Julia*.

Ona w momencie potym powraca niosąc dwa pałasze gołe, z których ieden daie Oycu, a drugi zostawuie sobie i upuszcza na

zie-



ziemię. Przyśtempuią oboie do  
fiec; *Julia* ciągnie za ieden ma-  
ły sznurek; sieć się otwiera; ia  
głowę podnoszę, otwor się po-  
większa, i tak wychodzę z ielon-  
kiem. Czytam w *Julij* oczach,  
iż ona z tego nie jest nie kon-  
tentą; w oczach Oycy nic pewne-  
go nie widzę. Zdaie się iż on temu  
i rad, i boi się; grózi mi pałaszem  
ieślibym do niego przystąpił;  
nie do niego też to ia śpieszył. Ja  
patrzę na *Julia*, zbliżam się do  
niej z tą gorącością żywą, któ-  
rą tylko naturalny instynkt wznie-  
cać zdoła. Ona się chce bronić,  
podnosi pałasz, który w tym mo-  
mencie zdaie się iey być bardzo  
ciężki; czyni mi letką na udzie  
ranę; w ten że sam czas starzec  
mnie dbając o mnie, uderza  
mnie swoim w ramie, ale szczę-  
ściem skórę tylko otarł. Padam  
na bok, pytam się żałośnym gło-  
sem i uymuiącemi znakami, za-  
iaka mnie karzą zbrodnię; ukłę-  
kam znowu przed starcem, serce  
mi

mi powiada, że to iego tylko samego o łaskę prosić powinienem; pokazuję mu, że moja krew, którom dopiero rozlał, miesza się na moim łonie z łzami ciekącemi z oczów moich. Na *Julia* o nic się nie żalę: ona razem zemną pada do nóg Oycowskich i przez swe proźby zniewala go dla mnie. Starzec odciągwszy sznur z sieci w którą byłem wpadł, idzie mi wiązać ręce: ja mu się nie bronię; widzę w iego oczach że niechce mi szkodzić, ale tylko swemu bezpieczeństwu zaradza ( Człowiek naturalny nigdy się nie myli w tym, co mu powiadaia oczy ).

Po tey rozumney ostróżności, starzec poszedł szukać lekarstwa na zgojenie mych ran, a *Julia*, która z nych krew ocierała, czyniła przygotowanie do ich obwiązania; zaczynała od tey co była na ramieniu.

„ Poczciwy starcze, nie szu-  
 „ kay więcej lekarstwa na ule-  
 cze-

„ czenie mych ran: ta co była  
 „ naygłębszą naypierwiefy zofta-  
 „ nie uleczoną. Co za balsam  
 „ *Julia* na nią przyłożyła! Bez  
 „ wątpienia przyłoży ona po-  
 „ dobnyż na drugą, którom o-  
 „ debrał, i ia żałować będę że m  
 „ ich nie odniośł więcey, iak  
 „ dwie tylko „ Oto ieft, co-  
 „ bymbył powiedział, gdybym był  
 „ umiał mōwić. Nie wiedziałem,  
 „ coby to mogło być ten balsam,  
 „ którego tak cudowny uczulem  
 „ skutek; *Julia* wyznała mi potym,  
 „ iż to było iey uft pocałowanie.

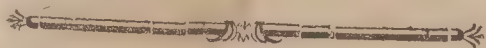
Patrzałem na *Julię*. płakałem,  
 pochwycilem iedną iey rękę i  
 bez przeftanku całowałem; nie  
 mogłem iey trzymać iak tylko  
 słabo, mogła mi ią wyrwać łatwo,  
 ale możnaż na wyfpie bezludney  
 oprzeć się miłości? Starzec przy-  
 niośł iedno ziele, które o kilka  
 kroków od nas wyrwał. Córka ie-  
 go pokazała mu, iak ia rękę iey  
 trzymałem, zdawało się iakby go to  
 zmiękczyło; powiedział iey słów

zedwie; odebrała mi rękę i spó-  
 rzawszy namnie miłośnie, zda-  
 wała się iść do swojej chaty. Ja  
 tak przeraźliwie krzyzczeć zaczo-  
 łem, że się wróciła; groziłem, że  
 porwę me więzy i pójde gdzieby  
 ona poszła, ponieważ ieszcze no-  
 gi wolne miałem: widziałem iż  
 upadłszy u nóg Oyca, prosiła go.  
 Poszedł sam gdzie ją posyłał. Zo-  
 stawiał nas: czyniłem *Julij* tyfiące-  
 ne przymilenia, którebym był  
 czynił z tą otwartością w przy-  
 totności iey Oyca. Powrócił  
 wkrótce, przyniósł naczynie far-  
 furowe wody dla omycia mych  
 ran i płótna na obwinienie. Gdy-  
 bym był mógł obrócić myśl moją  
 na inny jaki przedmiot, prócz te-  
 go co mój cały umysł zaprzętnął,  
 byłbym tkliwszy na troskliwe sta-  
 rania *Eufemona*. (\*) Spóyrzałbym  
 był

---

(\*) Niewiedzialem nazwiska ani Oy-  
 ca, ani Córkę, aż dopiero żyjąc z niemi  
 przez czas nieiaki. Używam ich przed  
 czasem, toż samo i innych które mi się  
 tu wyrażam.

był z nieiaka uwagą na naczynie  
farfururowe, ale nie widziałem tyl-  
ko *Julię* Miłość moja ku niej do  
ostatniego stopnia przychodziła.  
Nieszczęście to jest przepędzić  
całą swoją młodość nie widząc ko-  
biet; kiedy się z nich którą zoba-  
czy, musi się przyptać i wolno-  
ścią i rozumem.



*Widzę iedne dzieło sztuki.*

Obwiązawszy me rany, chcia-  
no mnie prowadzić do chaty; do-  
fyć było żeby tam była szła *Ju-  
lia* pierwiej; poszła, ia za nią, a  
iey Oyciec szedł za mną. Przez  
ieden z tych miłych grymasów;  
tak zwyczajnych kobietom, za-  
częła się mocno śmiać, i biecć  
kilka kroków oglądając się, czy  
ia za nią biegnę. Trzebaż iey  
było te dla zabezpieczenia się o  
mnie czynić doświadczenie? Nie  
widziałaż, że magnes nigdy nie  
rzuca swego żelaza? Dała mi po-



znać przez ieden swòy uśmiech, że przywiązanie moje do niey, podobają się iey, a ten uśmiech tak mi się zdał być pięknym, iak promienia poranku, na które rozwijały się kwiaty.

Po puł kwadransa drogi, przychodzimy do iednego zakrętu lasu. Nic ieszcze nie oznaczało pomieszkania zrobionego ręką sztuکی. *Eufemon* go roztropnie ukrył: gdyż nie zawsze iest bezpieczenstwo na wyspie pustey. *Julia* wchodzi w las, nie idąc żadną drogą ubitą. (nie było żadney ścieżki i nie potrzeba iey było.) Szliśmy lasem iakby na strzelenie z fuzyi, gdy ona schyliwszy się weszła pod iakieś krzaki, które szczipły tylko miały otwor. Wchodzę z nią; iedna mała otwiera się altanka, aż oto my znajdujemy się wobfzernym zagrodzie, które na okóło gęsto otoczone iest krzakami, cierniem i chróstem, tak, że nie można się tam było domyslić pomieszkania ludzkiego. Na frzod-

ku

ku tego opasania stała piękna cha-  
ta, która w niczym nieustempo-  
wała chacie *Filemona* i *Bawki*, tyl-  
ko w tym, że w niey nigdy nie  
mieszkała miłość, ale już do niey  
szła w ślad za mną.

Była otoczona bogatą murawą, któ-  
rą zdobiła zieloność i kwiaty. Ska-  
kała po niey mała trzódka kóz, owiec  
i psów, (\*) gdyż psy (było ich  
sześć) razem z owcami i kozami  
pomieszane igrały. *Eufemon* nieoba-  
wiał się, ni żeby te zwierzęta nie u-  
ciekały, bo zewnątrz dobrze łąkę  
swoję ogrodził płotem, ani żeby  
przez szczenie ięgo pomieszka-  
nie odkryły. Psy ięgo były spokoj-  
ne, nigdy nie szczerkały, ani nawet  
za przybyciem moim. Jagnięta i  
koziółki zawsze dobrze karmione,  
zawsze przy swoich matkach,  
rzad-

---

(\*) *Eufemon* miał inny folwark,  
gdzie były kury, kuropatwy, i bażanty,  
ale że te ptastwo czyni wiele hałasu, trzy-  
mał go bardzo daleko od swego miesz-  
kania, i nie chodził do nich tylko z wiel-  
ką ostrożnością, o której wkrótce powiem.

rzadko kiedy beczwały, a do tego chrósty gęste, któremi to miejsce opasane było, nie dopuszczały żeby zdaleka ich głos był słyszany.

Dom *Eufemona* był dobrze zbudowany; powiedział mi potym, że ja mogę pojąć sztukę budowlaną. Nauczono go, bawiąc go tylko, wszystkich umiejętności pożytecznych, to jest wszystkich kunsztów, które umiejąc można skutecznie służyć i ludziom i samemu sobie, nawet w ten czas, kiedy się ludzkiej pozbawi pomocy. Pomieszkanie jego było z gliny, wysokie stop tylko dzieścię, dach bardzo ostry deskami pokryty. Nie trzeba było, żeby ten dom przenosił wysokością swoją najniższe nawet otaczające go drzewka. Szczęśliwy, kogo własny interes i bezpieczeństwo przymuszały do unikania okazałości! --- Jakże pięknym zdał mi się być pałac *Eufemona*! Wybielony był wewnątrz i zewnątrz: miał także szklane okna: widziałem w nim

dwa

dwa łożka, stoł, stołki, niektóre naczynia i inne drobne sprzęty, które mnie tym bardziey zadziwiały, że nie wiedziałem do iakiegoby mogły być użycia. Przyday, że moja kochana *Julia* mieszkała w tey chacie, i poymiy iesli możesz, co to za wspaniały musiał być dla mnie pałac.

Nie dostawało w nim do upodobania mego iedney rzeczy, równie potrzebney iak i piękney; nie widziałem iej w tym domu, i próżno iej na wkoło domu szukał; to iest ognia. Postrzegłem popioł w kominie, a nie mając rąk wolnych, szedłem rozgarnąć go nogą: *Julia* mnie zatrzymała; biedna dziewczyna lękała się, że bym się nie sparzył. Odgarnęła popioł kleszczami, i pokazywała mi się być nie co markotną, że w nim nie znalazła ognia. Widziała, że m daleko ieszcze był z tego nie kontentnieyfzy od niey, i dla uspokoienia mnie wzięła krzesiwo z kórkiem, hubką i podniętą fiarkową.

Spu-

Spuszcza kórek, w tym momencie widzę dym, i prawie zaraz piękny płomień błękitny. Z początku trząślem głową, gdy mnie zaleciał odrażający zapach siarki, ale m się wkrótce pocieszył. Mógłżem bowiem zbyt drogo przyplacić roszkowi widzenia ognia, a ognia wychodzącego z rąk *Julii*? Rospała gałęzie suche, ale nie myślała gotować obiadu, choć już czas gotowania obiadu minął. Bardzo ją zatrudniałem ja, zatrudniałem także iey Oyca, chociaż różnym sposobem. Poglądali na siebie, rozmawiali, i nie wiedzieli co o mnie myśleć. Zobaczyli że ja znam ogień, ale prócz ognia nic więcej. Otwierałem oczy na wszystko, które na to wszystko pierwszy raz patrzyły. Wzieli mnie za człowieka dzikiego; ale jakim sposobem znajdowałem się na tej wyspie? czym się na niej urodził? czy mnie tam przywieziono? czy żyłem sam tylko jeden? wszystkich tych wiadomości nie

mo-

moż  
dzie  
*Julii*  
woli  
stał  
zoft  
spra  
ie :  
w te  
dy  
w te  
śną  
C  
cuft  
zły  
re  
„p  
„f  
„c  
„c  
iey  
tro  
mo  
li,  
Na  
mo  
my



można się było odemnie dowiedzieć. Zdanie było mey kochaney *Julij*, żeby dla osmielenia mnie, uwolnić mi ręcę. Oyciec na to przystał i rokosz rozwiązania mnie iey zostawił. Te więzy nie wielką mi sprawowały przykrość; miałem ie za nieiaką rzecz potrzebną, i w ten czas ie tylko czułem, kiedy chciałem ścisnąć *Julia*, ależ wtedy zdawałami się być nie znośną.

Oboie mówili ięzykiem francuskim: *Julia* rozrywając mi węzły, te do mnie rzekła słowa, które mi potym powtórzyła „Mòy „przyiacielu, będzieszże zaw-  
„sze pamiętać, co ia dla ciebie  
„czynię? będzieszże mnie ko-  
„chać zawsze? Odpowiedziałem iey z przymileniem dwoie lub troie *dać mu pokoy*; z czego się mocno Oyciec i ona śmiać zaczęli, i ia śmiać się im dopomogłem. Naypierwiej użyłem wolności rąk moich na przyciśnienie *Julii* do mych pierśi; ten iey pozwolony dla

dla mnie udział, zdał mi się być  
nawwyższą rozkoszą.

*Eufemon* niechciał, żebym wolności swoiey mógł użyć na złe; przyszedł mi spętać nogi, ale tak, żebym nie mogąc biegać mógł chodzić. Kontent żem odzyskał ręce, biorę *Julia*, chodzę z nią po izbie, ruszam z mieysca wszystko, co mi tylko woczy wpada, wszystko iey chcę dawać. Przyszedłszy do krzesiwa, zastanawiam się nad nim przez czas długi, obracam nim tyśiącznemi sposobami, biorę go, trząsam, dmucham, chcę ognia wykrzesać - - - Nie będę książki moiey powiększać opisywaniem drobnych okoliczności, których czytelnik sam się łatwo może domyslić; przystępnie do innych, które go bardziey będą obchodzić.





*Zaczynam być zupełnie szczęśliwym.*

Już prawie dni ośm żyłem z moimi kochanemi *Julią i Eufemonem*. Moja niewinność i otwartość iednały mi ich serce. *Eufemon* sam rozerznoł me pęta, ale mi zostawały do potargania inne, to jest te okrutne wędzidło, które *Julia*, a naybardziej iey Oyciec, kładli na moje pragnienia. Już się rany moje zgoiły, ponieważ człowiek samemi tylko ziołami żyjący, łatwo się ulecza. Ale rana od miłości mojemu sercu zadana, stawała się niebezpieczną. Schnołem, więcej nie jadłem, oczy moje zapadły, twarz się osunęła, ogień dopiekający biegał wżylach moich.

*Julia* nie mniej odemnie była i zmieniona i nieszczęśliwa. Pada do nóg Oycy swego, przekłada mu co cierpiemy ia i ona, choć żadna rozumna przeszkoda uszczęśliwieniu natzemu niesprzeciwia się - - -

J a

Ja to czuję, oco go ona prosi; rzucam się mu także do nóg, płaczemy wszyscy troje, on daie mi rękę *Julii*, i rzuca na nas wzrok Oycowski.

Od tego czasu widziałem w *Julii* oczach, że słabe tylko czyniła usiłowania, w nakazywaniu im milczenia. Miłość i wszystkie iej ognie w nich zgromadzone były. Nadto było tego do wzniecenia wemnie pożaru. Poprzyśięgałem starca, żeby nas samych zostawił --- Czuję, że miłość ma upodobanie kryć się pod skrzydłami przyzwoitości i samotności. *Julia* zatrzymuje *Eufemona*, i przez pocałowanie pełne ognia ale razem z iednym westchnieniem, daie mi poznać, że choć ią równie iak i mnie miłość dogrzewa, moc iednak iakaś ią wstrzymuje wyższa nad moc miłości --- Niewiedziałem na ten czas, żeby imaginacya była mocniejszy niż serce. Byłem zanurzony w smutku i sam do siebie,

bie mówiłem. Jeżeli jest prawo iakie, co głośniej woła, niżeli prawo natury? Tak zapewne, i musi być te prawo sprawiedliwe, kiedy się mu poddaie *Julia* --- Jest sprawiedliwe, i niemoże się długo prawu Natury sprzeciwiać, a *Julia* nieomieszka uczynić mnie szczęśliwym. Pocałowałem ją na wzajem, oddałem iey na wzajem westchnienie za westchnienie, i czule na nią spòyrzałem. Wkròtkim czasie potym *Eufemon* oddawszy mi znowu iey rękę wyszedł, a ona iuż się temu więcej nie sprzeciwiała.

Święty związku natury, tyś nas w tym momencie ziednoczył! Wstyd i delikatność, nie oddzielni piękney rokoszy towarzysze, rokoszy nasze żywsze i czulsze nam sprawiły. Nic ieszcze nie mogło zerwać związku tak szacownego i świętego. O gdybyśmy moia kochana *Julio* mogli umierać razem, być ziednoczonymi razem nawet w grobie, i  
wszy-



wszystkim szczęśliwym małżonkom za wzór służyć.

Mając twarz zarumienioną skromnością, oczy iasniejące czytą radością, którą samo tylko przeświadczenie o swej cnocie wzniecić może, idziemy do *Eusemona*; ón dzieli z nami naszą szczęśliwość, widzi, że się w nas odraza nadzieja jego potomstwa, stajemy się pociechą jego starości: wyrok wiecznego bezżeństwa, który na córkę swoją wydanym być rozumiał, został uchylony. Ta wyspa nie jest już dla niego wyspą dziką, nie jest okropnym grobem, gdzie rozumiał że codzień umierał, ale jest miłym schronieniem, w którym здаiemu się jakby już widział, że się rodzą i żyją wpokoju liczni jego wnukowie.

Kiedy uspokoiło mnie odziedziczenie *Julij*, stałem się także dla niej powolniejszy, *Eusemon* umyślił nauczyć mnie swego języka, to jest francuskiego, ale wie-

leby

leby pracy nadaremnie był podeymował, gdyby potrzeba, apodobno ieszcze bardziey miłość nie namówiły mnie, korzystać z jego nauk. Wołał on czasem swej córki, (\*) i iak skoro wymówił *Julio*, ona odpowiadała *jestem*, te nowe słowa, tak mi się zdały być piękne, że prawie z pamięci mi wygluzowały moje *dać mu pokoy*. Co moment mawiałem głosem męskim *Julio*, i zaraz cichszym i łagodnym odpowiadałem, *jestem*. To niewymównie bawiło moją młodą małżonkę i iey sędziwego oycą. (\*\*) Smiałem się widząc że się oni śmieją. Mawiali mi często potym, że .

---

(\*) Miał on ostrożność nigdy iey niewołać zdaleka, ani mówić głośno, toż samo i ona. Potrzeba im było zawsze strzedz się. Więcey ieszcze mieli nie spokojności mnie znalazłszy, bo mogłem być nie sam ieden.

(\*\*) Ona miała lat 30. iey Oycieś 70. a ja 23.

że moja prostota i otwartość mocno się im podobały.

Jednego dnia po obiedzie przyszło do głowy *Julij* mieć ze mną iedną małą rozmowę, która się w krótcie zobaczy. Dałby Bóg, żeby Małżonkowie nigdy nie umieli innych! więcoby to ważyło, niż wszystkie ich wyszukane rozmowy. Wziąwszy mnie za rękę, całuje mnie i mówi głosem naśladowującym głos Ojca swego, *Julio, ja cię kocham: ja natychmiast powtarzam, Julio, ja cię kocham*. Kładzie swą rękę na moje usta i mówi, głosem swoim zwyczajnym, *Aryscie, ja cię kocham; (\*)* i grubszym głosem w sposób pytania przydaie, *moćnoż mię kochasz?* Zdeymuie z ust moich rękę, a iatym samym głosem powtarzam, *moćnoż mnie kochasz?*

---

(\*) Oyciec iey chciał żeby mi dała te nazwisko, które znaczy, dobrze nauczony, ponieważ wzięłem dobrą edukacją, bo sama natura była moją nauczycielką.

*chasz?* Ona odpowiada, przeskadzając mi znowu mówić. *Tak jest mój przyjacielu, tak jest, mocno, a ty? - - -* Potym oddając mi wolność, męskim znowu głosem, *och mocno mocno!* a ia powtarzam, *och mocno mocno!*

W trzech lekciach, które nie-trwały razem jednego kwadransa, nauczyłem się tej rozmowy z miłym oneyże wymawianiem. Zapłaciłem mey Nauczycielce języka, całując ją więcej niżelim liter wymówił, i mówiąc podług ścisley sprawiedliwości, ieszczem się iey tanio zapłacił. Z tym wszystkim ona mi oddała całowania za całowania, właśnie iakby iey nienależały. Jak piękneż to jest społeczeństwo miłości! Jakże jest wspaniałe! - - -

Chętniem się nauczyłem tej krótkiej rozmowy, uczyłem się tak że słów innych, które mnie bawiły; ale nie byłem ciekawy umieć rozmowy długie, podług mnie bardzo nie pożyteczne, iakie mię-

dzy sobą często miewali *Eufemon* i *Julia*, którym ja miałem upodobanie przerywać moim, *ja cię mocno kocham, oh mocno*, i innemi podobnemi słowami.

—  
*Przedsię biorę nabyć iedney wiadomości.*

Co innego są dzieci, co innego dorośli. Ci nie chcą sobie zadawać pracy, nie mając żadney pobudki, a ja niewidziałem nic, co by mnie pobudzało do uczenia się słów bez końca, i do wymawiania ich tym lub innym tonem.

*Eufemon* dając mi chleba i kracząc go, ( po owej bowiem dwóch pałaszów scenie, zawszem się lekkał żelaza; ) mawiał do mnie, i powtarzał *chleb*. Ja na niego pooglądałem i smiałem się. Smiesznie mi się wydawało, że dając mi tę rzecz, przyłączano, właśnie iakby tego iaka była potrzeba, słowo, którego skutek nieczynił tey rzeczy ani smaczniejszy ani posilniejszy. Miałem to na



ów czas za rzecz całę niepożyteczną. Darmo się gniewałem, nigdy on nie odmienił sposobu, i gdy mu ia pokazując chleb dawałem znak, aby mi go dał, on mi pokilkakrotnie powtarzał, i chciał koniecznie, żebym i ia powtarzał *chleb*. *Iulia* się także do tego mieszała, i czasem przez ufzanowanie dla iednego, a przez miłość dla drugiey, mówiłem im te słowo, ale tak niedbałe, iż to znaczyło, *eh dobrze, chleb, kiedy tak koniecznie chcecie*. Niezadługo poznałem, że oni mieli przyczynę. Pewnego dnia zachowali resztę chleba co mieli, i zostawili mnie głodnym. Otworzyłem szafę, szukałem, czyniłem im znaki, których oni udawali, że nie rozumieją. Wzięła mię niecierpliwość. Może, mówiłem do siebie ięzykiem wewnętrznym, może potrzeba, żeby z rozumieli moję proźbę, powtórzyć im ich głos. Wymówiłem ze złością *chleb*, właśnie też oni tego czekali; przy-

nieśli mi go czym prędzey, a ja na ów czas poznałem dobrze, iż słowne głosy może nie są potrzebne, kiedy przedmioty są przed oczyma, ale stają się mocno potrzebne, kiedy tych przedmiotów nie widzimy; (\*) i od tego czasu przedsięwziąłem uczyć się mowy. Żywość, znaki iakieś interesu, które widziałem w rozmowach *Eufemona* i *Iulij*, powiększały ieszcze bardziey wemnie ochotę, którą mieć zacząłem

---

(\*) Kiedy ja, albo *Julia* wołaliśmy *Eufemona*, ón odpowiadał i przychodził. Kiedy *Eufemon*, albo ja wołaliśmy *Julii* ona odpowiadała i przychodziła. Ja sam kiedyś usłyszał ich wymawiających te imie *Aryst*, przychodziłem, i iak skoro *Julia*, albo *Eufemon*, moje wymówił, bądź ostrzegając mnie że mieli dać mi co do zrozumienia przez znaki, bądź że tylko z sobą o mnie rozmawiali, ja zaraz odpowiadałem, *istem*. Z tego wszystkiego, i ztąd że *Eufemon* i *Julia* rozumieli się nieczyniąc sobie znaków, wniosłem że mowa bardzo jest pożyteczna.

łem rozumienia ich, i rozmawiania tak iak oni. Poſtanowiłem od tego momentu, ſłuchać ich z uwagą, czegom ieſzcze nigdy do tych czas nie czynił; a dla wyrażenia im tego przedſięwzięcia, powtórzyłem im po kilkokrotnie uważnie *chleb*, i to mówiąc, chleb im pokazywałem.

Przechadzaliśmy ſię codzien w małym, naszym ale ſpokojnym Pańſtwie; zaprowadzono mnie już raz na ſolwark ptaſtwa. Były tam kury, kuropatwy, gołembie, ſynogarlice, bażanty. Niezamykano tego ptaſtwa. Folwarkiem ich była doſyć obſzerna murawa, na około której iedne gniezdziły ſię wkrzakach, drugie na drzewach, i zgromadzały ſię na te mieyſce, kiedy ich wołano i ſypano im ziarno. (\*)

*Eu-*

---

(\*) Niepowiedziałem w opiſaniu mego życia ſamotnego, że znaydowałem gniazda; że widziałem z wielkim podziwem

*Eufemon* i *Julia* oswajały ich od wylęgnięcia do wylęgnięcia co rok przez trzy lata, przez które znaydowali się na tej wyspie. (\*) Ja codziennie dwa razy chodziłem ich odwiedzać, a *Julia* nie omieszkiwała nigdy chodzić zemną. Było to najmilszą moją zabawą; ale ani tam ani winną stronę nigdyśmy niechodzili, niewłaźszy z nas które w przód w iedne drzewo suche, w którym wewnątrz *Eufemon* zrobił schodki kręte prowadzące aż do wierzchu: ztamtąd jak z iakiego *observatorium* widać było całą wyspę, wyiawwszy tylko część

---

wieniem, iak ptaszeta z iay wychodziły; że uważałem ich wdalszym także czasie: że ich oswajałem. Ale małoż to innych rzeczy także opuścić musiałem, dla skrócenia mey Xiążki, i dla zapobieżenia, ięśliby można, aby nienudziła czytelnika.

(\*) Niemieli oni z Okrętu, którym do tej wyspy przybyli, tylko gołembie i kury; a zaś inne ptaki na wyspie poznaydowali.

część zaślioną górami, w którey  
 ia mieszkałam. A tak nim się wychod-  
 ziło z ogrody domowey, w którey  
 znajdowało się i te drzewo, zapew-  
 nialiśmy się ile możności, jeżeli  
 nie było nieprzyjaciół, to jest jeżeli  
 nie było ludzi na polu; mówię  
 zapewnialiśmy się ile możności;  
 ponieważ niemożna było widzieć  
 ani w lesie, ani za górami,

Jednego dnia gdyśmy się prze-  
 chadzali z *Eufemonem*, (gdyż ten  
 zacny starzec nietylko od rosko-  
 szy niestronił, ale i jeszcze wy-  
 znajdował nam one; ) *Julia* skie-  
 rowała kroki nasze ku iedney  
 małej skale sobie wiadomey. Gdy-  
 śmy byli w nieiakiey odległości  
 od skały, *Julia* spòyrzawszy na  
 mnie zawołała, *Aryście ia cię ko-  
 cham*. Tknięty, iż odmieniła porzą-  
 dek rozmowy, czego niezwykła  
 była czynić, ledwie mię dał dokoń-  
 czyć, i głosnię od niey zawołałem  
*Julio ia cię kocham*. Głos iakiś po-  
 dobny do mego, powtórzył wy-  
 raźnie, *Julio ia cię kocham*. Spòy-



rzalem na okolo, pobieglem kilka krokow, i nic nie zobaczyłem. Przydałem z poruszenia niewiedząc sam com mówił *och mocno mocno*. Doznałem na ten czas najpierwszego i największego zbyt czułej miłości nieszczęścia małżeńskiej zawiści. Choć niewiedziałem czyli prócz mnie i *Eufemona* są ludzie inni, biegłem gonić tego, co miał zachwałosc powtórzyć moje słowa. *Julia* zatrzymała mnie śmiejąc się, i dla mego zaspokoienia, woła znowu, *Aryście ja cię kocham*. Głos iakis kobiecy, którego pierwszy raz nie miałem czasu słyszeć, woła po niej, *Aryście ja cię kocham*. Na te słowa gniew się mój podwaja. Tak mnie prawie obraża to, że inna prócz *Julij* kobieta, śmie do mnie mówić, (\*) iak obrażało, że inny prócz mnie

---

(\*) Cóżby było gdybym był rozumiał o czym to ta mniemana kobieta mówiła do mnie, mówiąc że mnie kocha? Ale  
szczę-

mnie człowiek śmiał mówić do *Julij* --- *Julia* łagodzi mnie, prowadzi pod iedną skałę, wprowadza do iedney iaskini, którą oboie razem na około obfzedłszy, nie znaleźliśmy nikogo. *Julia* rzekła słów kilka, które odezwały się po wszystkich stronach, po wszystkich iaskini zakątkach, i w niektórych zostały powtórzone. Poznałem na ten czas co to jest echo: poznałem że potwory nocne, co przed kilko laty pierwey tak bardzo mnie były przestraszyły, i że inne potwory, co mnie dopiero w taką wprawiły złość i zawisć, nie są co innego tylko echo, i zostałem uspokojony.



*Padam na twarz i oddaję cześć Bogu.*

*Eusemon i Julia z rozkością słodką, z radością godną dufz tak pięknych*

---

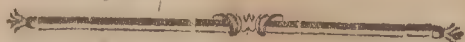
szczęściem dla mnie choć znałem miłość, nieznałem ieszcze iey nazwiska, tylko kom się go domyślał.

knych patrzali, iak ia czasem pod-  
nosiłem ręce do Boga, czasem pad-  
szy na ziemię twarzą, cześć mu  
oddawałem i pokazując mu ich  
oboje, dziękowałem że mi dał ich  
wynaleść. Jedna ich tylko rzecz  
niespokojnymi czyniła; patrzałem  
zawsze słońca, obawiali się, żeby-  
to nie iemu ia mój hołd oddawał.  
Podczas swej modlitwy umyślnie  
obracali się tyłem do słońca, dla  
pomiarowania, cobym ia o tym  
myślił. Ten ich postempek nie  
gorczył mnie, ale niechciałem go  
naśladować. Nakoniec poczeiwy  
*Eufemon*, który do tych czas nie  
śmiał mi ieszcze mówić o Bogu,  
i nie wymieniał mi, tylko same  
(wskazując na nie) iestestwa pod-  
padające pod oczy, iako to Niebo,  
słońce, ziemię, morze, &c. &c.  
zaprowadził mię na górę bardzo  
wysoką. Tam obróciwszy się ty-  
łem do słońca, bierze mnie za rę-  
kę, ścisła ją ile może, ogląda  
na mnie mile, roni łzy, podnosi  
ku. Niebu rękę, co mu została

wolna

wolna, i głosem, którego nie podobna wyrazić, ale który się dobrze daie rozumieć sercu, mówi mi, Bóg--- Czuję się być przeniknionym czcią, patrzę na *Eufemona*, tzy iego wyprowadzają i mnie tzy z oczów, zostaie przez nieiaki czas iak w zachwyceniu, zostaie iak wryty - - Nie iest to Niebo, co mi on wymienia, a iednak nie widzę tylko Niebo. Więc mi on wymienia wielkie iestestwo, które wyższe iest nad same Niebo, jestestwo, któremu ia część oddaie --- Tak, one to iest, wyczytaie imie iego w duszy mego oycy, w ten czas, gdy go usta iego wymawiają - - Po tey rozmowie moiey wewnętrzney, w świętym iakimś zapędzie, biorę *Eufemona* i *Julię*, i mówię im pokazując iestestwa, które wymieniam, *Eufemon* --- *Julia* --- *Aryst* --- morze --- ziemia --- drzewa --- skały --- Niebo --- słońce --- Bóg --- Te wyznanie wiary było iasne; zrozumieli go bez trudności. Padliśmy twarzą na  
zie-

ziemię wżyczyć razem w stronę przeciwną słońcu. Zgromadziłem na tym mieyscu kamienie, które ułożyłem na pamiątkę tego wyznania wiary, i błogosławiąc Boga, powróciliśmy się do naszego szczęśliwego i niewinnego pomieszkania.



*Jedne Wyobrażenie sprawuje tkliwą scenę.*

*Eufemon* i *Julia* urodzili się we Francji, byli katolikami, i łączyli intencje swoje z modlitwami kościoła. Mieli Kalendarz nieustawiający; z niego wiedzieli wszystko święta i pobożnie je obchodzili. Tym tknięty, naśladowałem ich, usiłowałem przeniknąć do ich duszy, byłem iż tak rzekę Chryścianinem. Czasem *Eufemon* ukazywał mi, albo obrazy, (\*) albo

Kru-

---

(\*) Za obaczeniem pierwszy raz obrazów i zwierciadła, które mi były ukazane



Krucifix. Rozrzewniał się sam, mianowicie Krucyfix mi ukazując. Ale te wyobrażenie było ze frebra. Niewidziałem, ani ciała zkrwawionego, ani ran, ani żadnych znaków boleści, co małe we mnie czyniło wrażenie. Daleko żywiej i tkliwiej wzruszyła mnie twarz naturalnie odmalowana - - - Głowa skrwawiona, zsiniała, umierająca, czoło pełne nie winności i majestatu, twarz pełna łagodności, usta nieco otwarte, z których widzieć zdawało się, iak ostatni duch życia wychodził, oczy co nim się miały zamknąć, zdawały się jeszcze rzucać wzrok Oycowski - - - Rozpływałem się we łzy, i iak dziecko, które na

wi-

---

zane, czyniłem wszystkie małe grymasy, iak dziki Arlekin, ale potem wylewałem łzy radośne. Nakoniec przyzwyczaiłem się do widzenia tych widoków. Poznałem zaraz *Julię* w portrecie, który był wielki, ale *Eusebona* nie poznałem, bo iego portret był w miniaturze malowany.

widok trapiącego go przedmiotu, kryje się na łono swej Matki, rzucam się na łono *Julii*, potym pochwyciwszy chustę, w którą był zawinięty uśłuię otrzeć krew drogą - - - (\*) Postrzegam się w błędzie, ale politowanie moje i żal mój bynajmniey się nie umniejszaia. *Eufemon* i *Julia* widokiem tym rozrzewnieni płaczą także. Mieszkamy tży nasze współ, a te nieustaią płynąć, aż mi z przed oczów wzięto ten Boski obraz.



*Doznaię nowy rokoszy.*

Więcey iak od dwóch Miesiący miałem szczęście żyć z *Eufemonem*

---

(\*) Śmierć Cezara, głowa Cyncerona, wystawiona w rynku na widok, lub inny iaki podobny obraz sprawiłby był we mnie też same rozrzewnienie, ponieważ nie wiedziałem ieszcze historyi obrazu, który mi pokazywano. Jakże nie równie głębszą w sercu moim sprawiłby był tklliwość ranę, gdybym był wiedział Historyą ięgo.

*nem* i *Julią*. Używałem wszystkich społeczeństwa rokoszy. Nic jeszcze nie powiedziałem o iedney nayprzyjemnieyszey. *Eufemon* grał na Wioli, a *Julia* śpiewała i grała na Klawicymbale. (\*) Grali oni razem koncert za moim do nich przybyciem. Trzy lata było iak żyli dalekiemi od wszelkiego roz-targnienia. Mieli gust, mieli ta-lenta, dusze ich były nayczystsze, a zatym naytkliwsze. Złącz to wszystko, i sądź iakiey mocy, iakiey piękności była ich muzy-ka. Przypomni sobie także, iż ja nie słyszałem nigdy ani instrumen-tu, ani głosu; że głos ten pierw-szy raz odemnie usłyszany, był arcy miły, był głos kobiety, któ-rą ja kochałem - - - Zaczęła ona  
od

---

(\*) Gdyby była nawalność wyrzuciła *Julią* i iey Oycę na tę wyspę, nie mie-liby byli bez wątpienia instrumentów muzycznych, obrazów i wiele innych rzeczy mniej potrzebnych; ale to wszy-stko nie zda się być rzeczą nie podobną, kiedy się dowie, iak się tam oni dostali.

od tych słów, (\*) godnych Dawida, godnych samego Boga, *Niebiosza opowiadają chwałę Boga: &c. &c.* Wlepiłem w nią oczy, słuchałem, i konałbym był, gdyby oczy iey trochę ieszcze dłużej nie sprowadziły do serca mego ognia życia.

Głos iey zdawał mi się być zawsze iednostaynie wdzięczny, iednostaynie tkliwy, ale powoli przyjemność iego przestała mi sprawować tego zachwycenia, które odbierało mi władzę czucia rozkoszy. Gdyby wszystkie moje siły, wszystkie mey duszy sprężyny nie natężyły się były, i powoli nieiako nie złączyły się z iey instrumentu głosem, musiałbym być umrzeć na niektóre przednieysze kawałki, w których sama siebie przewyższała. Po tey muzyce godney brzmieć w rozległościach

---

(\*) Ułożyła ona Muzykę na ten text zaraz, kiedy się dostała na Wyspę Pokoju, kiedy się podniosła iey dusza, kiedy została uwolnioną od wszelkiego gatunku związku.

ściach wieczności, *Julia* chcąc mi uczynić mniej nagłe i czułe przeyscie od Nieba do ziemi, skończyła na piosnce Święt wieyskich. *Także ja lubię odwiedzać ciebie moje słodkie ustronie &c &c.*

Trudno mi było za pierwszym koncertem pojąć, cobybył za związek między małemi punktami czarnemi na białym wyrażonemi papierze, a głosem, który slyszalem. Wyraziłem iak mogłem, niespokoyność moją *Julij*, która się iej łatwo domysliła.

Spiewaiąc nōty, których się do tykała końcem szpilki, dała poznać, że się głos podwyższał lub zniżał, według położenia tych czarnych znaków. Nie przestawała mi codzień lekcij swoich dawać: podobały mi się one; miałem głos i zdatność, a mistrzynią moją była miłość sama. Nauczyłem się muzyki prędzey niż ięzyka, przeto muzyka po spóyrzeniach i wzdychaniach, jest nayżywszym wyrażeniem czucia,

R

a za-



a za tym dusza ieszcze nowa, uczę się iey z naywiększą rokoszą. Przyday, że prawidła iey są daleko prostsze, i niezawodniejszye, niż prawidła iakiegokolwiek ięzyka.

Raz gdy zamknowią drzewi *Eufemon* i *Julia* swóy koncert zakończyli, (zawsze bowiem mieli tę potrzebną ostrożność) poszliśmy na skatę Boską. Tak nazywaliśmy tę, na której wszyscy razem oddaliśmy cześć Bogu. Z góry tej skąty daleko się widok rościaga na wszystkie strony. *Eufemon* chcąc wiedzieć, czy ja sam tylko mieszkał na drugiej części wyspy, użył tego frzodku, aby mi podał sposób objaśnienia go w tej mierze. Kazał córce swojej stanąć przy sobie, a mnie na kilka kroków odstompić, mówiąc; *uwaga*. (te słowo i niektóre inne rozumiałem.) Położył kamyk ieden przy sobie, a drugi przy córce, potym wzioł ie obydwu, i pokazując mi

część

część wyspy, w którey mieszkali-  
 śmy, rzucił ie razem ku swey  
 chacie, i rzekł mi wskazując na  
 siebie i na córkę: *Eufemon -- Ju-  
 lia ---* Do tych czas nic go nie-  
 rozumiałem, choć słuchałem z  
 wielką pilnością. Położył także  
 kamyk ieden przy mnie, tudzież  
 pięć innych, pokazując po sobie,  
 iakby nie widział wiele ich miał  
 kłaść, wszystkie w iednym rzę-  
 dzie z pierwszym i ziemną. Wziął  
 ieszcze kilka w ręce, i nadstawił  
 mi ie, wskazując na część wy-  
 spy, w którey ia mieszkalem.  
 Zrozumiałem, że on mi daie po-  
 znać, iż on sam tylko z *Julią*  
 mieszkał w tey wyspy stronie, w  
 którą dwa kamyki rzucił razem,  
 i że się mię pyta z wielą ia osoba-  
 mi żył w drugiey stronie. Łatwa  
 była odpowiedź: wzięłem kamy-  
 ki z rąk iego i rzuciłem na zie-  
 mię, inne także pięć daley ode-  
 mnie leżące po odtrącałem nogą,  
 a ieden przy mnie leżący, rzuci-  
 łem w tę stronę, kędy mieszka-

łem; potym iedną ręką pokazu-  
jąc na siebie, a drugą na owę część  
wyspy, rzekłem mu, *Aryst sam  
tylko*. Łzy mu się potoczyły z  
oczów, równie i *Julij*; usciskali  
mnie z radości, i powiedzieli po-  
tym, co za przyczyna tego była.

W początku ich na wyspę przy-  
tucia, chęć dowiedzenia się, ie-  
żeli na niej ludzie mieszkali, za-  
prowadziła ich, że tak rzekę po-  
omacku, manowcami, aż do miey-  
sca, na którym ja zostawałem.  
Zobaczyli mnie nagiego, i nie  
wątpili żeby na tey wyspie nie  
mieszkali ludzie ludoiedzi, i to  
naybardziej przymusiło ich, szu-  
kać dla siebie tak trudnego do od-  
krycia schronienia. Zaczeli mieć  
lepszą nadzieję, kiedy od lat  
trzech prócz mnie, więcey niko-  
go nie widzieli. Odpowiedź moja  
dopiero opisana, zupełnie ich za-  
spokoila. Zostawało mi tylko do-  
wiedzieć się, zkąd i iakim sposo-  
bem na tę wyspę przybyłem. Na-  
zaiutrz dowiedzieli się, ile było  
mo-

można, i lepiej niżeli ja sam wiedziałem.

Po kilka razy odtąd iak z niemi zostawałem, chciałem ich prowadzić do mego dawnego mieszkania, ale oni tam iść nie śmieli. Ja tam także sam iść nie chciałem --- Mieysca owe nie mogłyby mi były na myśl przywieść nic w przeszłym życiu milszego, nad los szczęśliwy, któregom w istocie używał. Wszystkie momenta, w którychbym nie widział *Julii*, zdawałyby mi się wiekami. Nadto podałbym się był w podeyrzenie Oycu i iey, gdybym się był od nich oddalił. Dla utrzymania mnie, te wszystkie przeszkody, były więcej niż dostateczne. Nakoniec *Eufemon* i *Julia* uzbroiwszy się dobrze, i dawszy mnie także pałasz, którego nie wzięłem, aż przez nie jaki czas boiaźnią moją dotknięcia się go naśmieszyłem ich do woli, *Eufemon* rzekł mi pokazując chatę z której wyszliśmy: tu u *Eufimona* . . . idziemy  
teraz

teraz do *Arysta*, i to mówiąc pokazywał mi drogę prowadzącą do mego dawnego pomieszkania. Odpowiedziałem mu, iak człowiek który dobrze rozumie to co słyszy: *tak jest, tak jest*, i puściliśmy się w podróż.

*Eufemon* wykopał w lesie iedne drzewko, i zasadził go w swoiey zagrodzie pierwey niżeliśmy z niey wyszli. Chciał przy nim zosławić swòy rydel: prosiłem go uślnie, żeby mi pozwolił wziąć go z sobą. Postrzegłszy łzy w oczach moich, nie mógł mi tego odmówić. Widziałem już iak on drzewka sadził, które się przyeły i już zaczynały wypuszczać nowe latorośle i liścia. Umyśliłem był sobie także iedno posadzić na mey wyspie, na mieyscu które mi ukazywała miłość. Podałami się właśnie pora uskutecznienia tego miłego zamyśłu; dla tey to przyczyny z tak wielką uślnością prosiłem o rydel, dla tey przyczyny fzedłem mężnie iak

Rzy-



Rzymianin, niosąc rydel i pałasz.

Przychodzimy do mego dawnego pomieszkania, witam go, całuję wchód do mey iaskini, ale upewniam się *Julię* że w niej więcej mieszkać niechcę. Niebawiąc prowadzę ją czym prędzey do *kamienia snu*, proszę, aby ten kamień tak bardzo mi ukochany, ucałowała i kwiatami go usypała. *Julia* za moim przykładem całuje go i kwiaty nań rzuca. Pamiątka mego smutku i wzdychania mogła być nie czułą i nie płodną, ale pamiątka mey miłości powinna być całę przeciwną. Idę wykopać w bliskim gaiku jedno drzewko, i sadzę go blisko kamienia, ażeby czasu swego okrywało swym cieniem tenże sam kamień, który ia tyle razy moimi łzami skrapiałem.

Jelonki i wiele oswoionego ptactwa przyszły pieścić się zemną. Przychodziły one i do drugiey części wyspy, i wszystkie prawie taką miały śmiałość do *Eufemona*

i *Ju-*

i *Julij*, iak do mnie pierwey ieszczce, niżlim ia pomyślił, że się oni na wyspie znayduią.

Od kamienia snu, poszliśmy do mey klatki. *Eufemon* zgromadziwszy niektóre ostatki, obeyrzawszy ich i złożywszy iedne do drugich, domyslił się, iż to było więzienie z deszczek, które bez wątpienia okrętem przywieziono, i mnie z onego wypuszczono. Na ten czas ścisłkaiąc mnie za rękę rzekł do *Julij*. „Biedny Aryst, „zapewne tu przyprowadzony iest „iak i my przez ludzi, którzy „go zgubić chcieli. Wkrótce zupełnie o tym został przeświadczony. Spòyrzał na ieden kamień ciosany i dobrze wygładzony, na którym te przeczytał słowa, w których ia nigdy nie uważałem, tylko proſty iakiś zbiór znaków; nie przyszło mi do myśli, czy przypadkiem, czy umyślnie zrobionych, lecz cale mi niezrozumianych. Słowa zaś takie były; czytałem ich potym częſto, i do tych czas ieszczce chowam ten kamień. *Dzie-*

*Dziewiątego Maja M. D. . . .*  
(\*) *Mocą wyroku Króla Imci P. N. M. wysadziliśmy na tę wyspę niewolnika stanu, który nigdy nie widział świata, nigdy nie mówił, i nigdy nie słyszał mówiących; był w Roku piętnastym wieku sięgo. (\*\*)*

Kontenci z odkrycia tych wiadomości, powróciliśmy do domu *Eufemona*, i przekonani żeśmy sami tylko na tej mieszkali wyspie, przechadzaliśmy się od tąd śmielej, ale iednak zawsze z ostrożnością, gdyż co moment mógł iaki przyplynać okręt, i czym szczęśliwsi byliśmy, tym więcej lęka-

---

(\*) Ucinam koniec tej daty przez uśzanowanie Króla, za którego urodziłem się. Same mu tylko winienem pochwały; i jeśli względem mnie był niesprawiedliwy, to dla tego, że nieszczęściem, Królowie nie mogą sami widzieć wszystkiego.

(\*\*) Dowiedziałem się potym że ten napis na kamieniu był wyryty, przed moim odjazdem, i tylko daty za przybyciem moim na wyspę dokończono.

kaliśmy się, żeby kto nie przy-  
szedł zepsuć, albo też nawet tyl-  
ko pomieszać nam naszej szczę-  
śliwości.

Chęć słodkiego towarzyszenia  
we wżyskim mey żonie i Oycu,  
powodowała mi do nauczania się  
wkrótkim czasie po Francuzku,  
po Łacinie, tudzież pięknych  
umiejętności, iakiemi ja nazywam  
czytanie, pisanie, rysunki, mu-  
zykę, rachunki, Geometrią. (\*)

*Nowy*

---

(\*) Rolnictwo i nauka budownicza są  
także dwie umiejętności, iedna potrzebna  
druga pożyteczna, ale tylko w krajach  
załudnionych. *Eufemon* nauczył mnie  
także ich początków. i nieco doświad-  
czenia, w którym niemogłem się wydzi-  
wić mocy i obfzerności dowcipu ludzkie-  
go.

Jest ieszcze iedna ani szkodliwa, ani  
pogardy godna umiejętność, chiba kie-  
dy się staie, iak teraz iest poсполicie u  
wielkich Panów, sztuka trucia, to iest  
kuchnia. Nauczyłem się chętnie przyda-  
wania do smaków naturalnych, innych  
smaków przyjemnych. Przyzwyczaiłem  
się także zabijać, i iescć zwierzęta, ugo-

*Nowy mnie węzeł łączy z Julią.*



Nietrzeba się dziwować, że tak szybki postępek uczynił w tych wszystkich umiejętnościach: przyjaźń bowiem i miłość lekcie mi dawały. Niepotrzebowałem lekcji dla nauczania się, powinienem był zadość czynić obowiązкови, którego pisanstwo i beztalstwo, choć mu tak wielką czynią zakatę, nie mogą znieważyc; obowiązкови Świętemu, którego znajomość sam Bóg wyrysował na sercach naszych ognistym charakterem.

Od dziewięciu miesięcy *Julia* zostawała w ciąży, i powiła mi Syna. Zległa bez boleści; natura nie uchyla się od tego, kto ją tylko samą wziowszy za wzór i przewodniczkę, iey tylko samey pomocy wzywa... Na widok  
syna

---

towawszy, albo upiekłszy, alem się mocno strzegł, żebym się przez to nie stał okrutnym, albo obżartym.



fyna mego wnętrzości się moje wzruszyły. Wziołem go na ręce i bez przestanku całowałem. Czułem w tym momencie, iak się dzielna dusza moja zdawała w ten czas troie ciał ożywiać... Rozumiałem zawsze, że m kochał *Julią* ile tylko można; alem się postrzegł na ów czas, że m się mylił. Iak nie równie ią więcej ukochałem, kiedy zobaczyłem pełniącą najśłodszą i najświętszy obowiązek matki! iak ią ukochałem, gdy zobaczyłem, że własną swoją istnością karmi syna, którego wydała na świat; gdy zobaczyłem, że mój syn rośnie piękny iak kwiatek na łonie swej matki, na łonie mej Małżonki!

*Eufemon* szczerze zemną dzielił moją radość. Widział się odradzać w swym wnuku, widział nowy między sobą, mną i swoją córką węzeł. Uślowałem iak najprędzey nauczyć się, co powinienem był umieć dla uczenia mego syna, gdyż niewiedziałem, żeby

żeby tak długi był wiek dziecinny; niewiedziałem i iedney szczęśliwości ludzkiej.

Nim mój syn skończył rok drugi, ja umiałem już mianowicie muzykę, ięzyk, czytać i pisać. W tym to czasu przeciągu nauczył mnie *Eufemon* mierzyć rozległość i trwałość: nauczył mnie co jest rok, i że ja dwadzieścia lat wprzòdy urodziłem się przed moim synem; że rodząc się byłem tak iak on niemowlęciem, żem miał lat piętnaście, gdym z klatki wyszedł, którey mu ukazałem ostatki; żem przepędził sam na wyspie lat ośm; że trzy lat już z nim żyłem; że wyspa nasza naymnieyszą tylko jest częstką ziemi; że tyle jest ludzi po świecie rozproszonych, ile liści na drzewach naszej wyspy. Gdy wemnie te i inne wiadomości wpoił, opowiedział mi usiadłszy pod chatą, historję swoję bardzo ob-

obszernie. (\*) Starość poşpolicie iest wielomówna. Niemielişmy 2adnego zatrudnienia, a cokolwiek mi on opowiadał, wszystko dla mnie było rzeczą nową. Wielką miałem roşkosh słuchać go, ale tu nie opiszę, tylko historyę od iego na wyspę przybycia, i sposob 2ycia a2 do tego czasu, kiedy ia szczęśliwym przypadkiem z nim 2yć zaczęłem. Opiszę opowiadanie iego prawie słowo w słowo. Tak mi się one w pamięć wraziło, 2em go nie zapomniał. Nie trzeba wątpić 2em go często przerywał przez moje pytania, ale ich nie będę powtarzał, 2ebym nie nudził czytelnika.

*Euse-*

---

(\*) Zeby *Julii* nie przypomniał smutnych przypadków, namówił ją, aby przez czas opowiadania tey Historyi, bawiła się sama w chacie.

---

*Eufemon opowiada swoją Historię.*

Przyprowadziwszy mnie z wol-  
na od ożenienia się swego Oycy  
z swoją matką, i od narodzenia  
swego aż do czasu kiedy przed  
się wziął podróż, którą zakoń-  
czył na wyspie, gdzieśmy mie-  
szkali, w ten daley mówił sposob.  
„ Słuchay mię teraz z większą  
„ uwagą mój *Aryście*, moje ko-  
„ chane dziecko; przystempuie  
„ do tey Historii mey części,  
„ która ci naywięcey obchodzić  
„ powinna. Wyszędłem z iedne-  
„ go portu morza frzódziemne-  
„ go, żebym przyszedł żyć z to-  
„ bą na tey wyspie.

Moia żona, iakem ci powie-  
dział, więcej roku iak umarła:  
z pięciorga dzieci które miałem,  
została mi tylko iedna *Julia*.  
Pokoy oczekiwany od dawnego  
czasu, przez dwa straszne narody,  
czekając go na wzajem się ni-  
szczy

szczyły, został nakoniec szczęśliwie zawarty. Handel znowu zaczął kwitnąć, w Indjach można było przyiść do bogactw. Dostatki moje były dosyć ucziwe; niepowinienem był więcej żądać, ale zachciałomi się albo je powiększyć, albo stracić. Straciłem je też: z początku rozumiałem się być biednym, a teraz zaczynam się mieć za najszcześliwszego z ludzi.

Kochałem mono *Julią* i ty widzisz iak jest ona warta kochania; chciałem żeby dzieliła zemną w *Peru* bogactwa, tam bowiem myślałem osieść. Nie miała ona tego co ja pragnienia bogactw, ale kochała mnie, i chętnie wszędy szła za mną. Niebo iey za to nadgrodziło. Ach iak nierównie, szczęście które tu iey czekało, szacownieysze jest, nad wszystkie bogactwa nowego świata.

Przybrałem w towarzystwo losów i przypadków moich trzech innych kupców mniej odemnie  
ma-



małżeńnych, z których dwoy mieli, iak mówią, męstwo, opuścić swe żony idzieci. Jedziemy wszyscy uczyniwszy, co przepisuą prawa, ale te prawa żadney nie-dodają pomocy w ten właśnie czas, kiedy ich naybardziey potrzeba, to jest: kiedy ludzie zli, mogą jednego tylko, które znają prawa użyć, to jest prawa przemocy, które iak przyidzie kolej, gubi ichże samych.

Towarzysze moi prawie zawsze z sobą się trzymali. Ja ba-wiłem się z *Julią*, czytaliśmy, graliśmy na instrumentach, roz-rządzaliśmy zawczasu przyszłemi bogactwy, i układaliśmy sposoby używania ich ku uszczęśliwieniu tego wszystkiego, co by nas otaczało; lecz gdyśmy żyli w nay-większey spokojności, burza po-wiłała nad głowami naszemi.

Byliśmy blisko tej wyspy: nasi zdraycy towarzysze, uili sobie część maytków, a pogrozili drugiej, która zapewnie była

ślabszą. Jeden z nich przyszedł do nas z miną szyderką i urągającą się, którey zbrodniowie potrzebują więcej dla ośmielenia siebie, niżeli dla przestraszenia ofiar niewinnych. Spół się mocno punszem, choć dopiero była szóstą zrana; ale wino i likwory są nową ostrogą, którey potrzebują niezdolni dla zachęcenia się do zbrodni, „Podróż wasza, rzekł „do nas, prędzey się zakończy „niż nasza, a zatym będziecie „bezpieczni od wielu niebezpieczeństw, „których się nam „jeszcze obawiać będzie potrzeba. „Zamiast próżnych bogactw, „których iedziemy szukać „w krajach pożerających swe „mieszkańce, znajdziecie na tej „wyspie pustey spokojność i pokoy serca. „Będziecie się przechadzać, „będziecie czytać, grać „na instrumentach, „ponieważ my „chcemy zostawić wam dwie „wasze wiole, „kewicymbał, „Xiążki i inne drobiazgi, w „ktò-

„których macie upodobanie. A  
 „jeżeli staniecie się żyrem dzi-  
 „kich zwierzy, albo samoiedów,  
 „my za dusze wasze uczynimy  
 „ofiary i nieprzyiedziemy tu  
 „brać po was spuszcizny. - - -

*Julia* padła na moje łono i zem-  
 dłała. Ocuciłem ją spirytusem,  
 wysadzono nas na ląd; dano nam  
 żywności, broni, sprzętów i na-  
 rzędzi wielu kunsztów, które  
 szczęściem umiałem. ( To zawsze  
 jest rzeczą pożyteczną, a czasem  
 i potrzebną. ) Przyieliśmy z  
 wdzięcznością te skarby istotne,  
 niemając im za złe, że nam ode-  
 brali te, co się dla nas stały nie-  
 pożytecznemi. Zdaniem naszym,  
 dosyć oni zostali ukarani za nie-  
 sprawiedliwość, kiedy iej przed  
 własnym sumieniem zataić nie  
 mogli. Dano nam wszystkiego  
 czego było potrzeba, a nawet i  
 nad potrzebę. Ten z towarzy-  
 szów naszych, który się z nas  
 naurągał, wyszedł, niemogąc za-  
 pewnie znieść zgryzoty: dwa

drudzy ledwie mogli nasze spòyrzenia wytrzymać. Doświadczylismy w tym momencie, iaka jest władza cnoty nad wystempkiem, chociaż ten nad nią tryumfować zdaie się.

Dla umnieyszenia, ieśliby być mogło, w własných swych oczach fzkaradności zbrodni, kazali przy nas na brzegu złożyć wszystko, czegośmy tylko żądali. Jeden z nich uparł się, żeby nam dać trzy łóżka, chociaż trzeciego niechcieliśmy przyjmować. Pewny pifarz któregoś był przyiął na okręt, natrząsając się zemnie rzekł, iż te łóżko przyda się, kiedy kto z przyjaciół moich, przyidzie mnie odwiedzić. Prawdę mówił on, przydał pocziwy starzec sciskając mnie za rękę, i tyś to jest mój kochany *Aryście* któryś miał być tym przyjacielem. Niewdzięcznik zawsze jest dowcipny, gdzie idzie o znieważenie swego Dobrodzieia. Pifarz wiedział, iak bardzo kochałem

łem moją córkę: rzucił iey nie-  
co monety, mówiąc szydersko. „  
„ Niebędziesz się na nas żalić, że-  
„ śmy zabrali wszystkie wasze pie-  
„ niądze, o to macz za co kupić  
„ szpilek „ *Julia* chciała tę mo-  
netę rzucić w morze, alem się  
ia temu sprzeciwił; a potym w  
naymilszych naszych rozmowach,  
często okoliczność tę przypo-  
miniała.

Okręt odpływa i niknie nam z  
oczów. Poglądamy iedno na drugie,  
dez potoki wylewamy, *Julia* pada  
mi na łono, ia ściskam ją - - - U-  
śmierz twój żal, moje kochane dzie-  
cie, będziem żyć albo pomrzemy  
razem; ieszcześmy nie ze wszyst-  
kim nie szczęśliwi. Ta wyspa iest  
pusta, niezobaczemy na niey lu-  
dzi, a zobaczywszy takich, od ia-  
kich iesteśmy uwolnieni, możnaż  
żądać widzieć ich ieszcze? Opa-  
trznosc, przypadkiem jakim, co  
się nam niepodobnym być zdaie,  
może tu przyprowadzić wartego  
ciebie małżonka; możesz się śtać  
ma-



matką licznego ludu, i uczynić go szczęśliwym przez cnoty, które w pierwszym pokoleniu, które ma wyjść z ciebie będziesz mieć staranie głęboko zaszczepić. Niemamy tu nieprzyjaciół prócz drapieżnych zwierząt, jeżeli tylko i te się znajdują. Jeżeli są, mamy broni, mamy strzelbę, możemy ich wygubić. Węśnie nam tylko obawiać się potrzeba. Nie traćmy serca; noc następującą możemy bezpiecznie przepędzić. Zaczniemy zaraz na to pracować. Przewoźmy, ciągniemy nasze sprzęty pod las, który niedaleki jest od nas, iak na sto kroków. Poszukamy potym na brzegu lasu tego, iakiego schronienia ukrytego, do którego by trudny był przystęp, i tam sobie mieszkanie założemy.

Trzeba nam było sprzęty nasze przewozić przez jeden wzgórek piaszczysty, ale szczęściem, pochyłość jego niebyła przykra, a piasek zbity. Z trzech  
na-

naszych łózek, dwa były na kółkach, na nich przewieźliśmy klewicymbał, wiole, trzecie łóżko i i resztę naszego majątku. Zeby tym wygodniey nam służyły za przewozy, stawię ich bokiem, to jest w poprzek: do obydwóch nóg u dołu przywiązuję po jednym sznurze, a trzeci przez sam środek. Poymuiesz dobrze, iż dwa sznury do nóg uwiązane, miały służyć do ciągnięcia mnie i *Julij*, ale ci trzeciego zapewne trudno zgadnąć; otoż na co się on przydał. Była na okręcie pewna liczba oslic, które ja wiozłem moim kosztem, ponieważ chciałem przejeżdżając przez mieysca, gdzie są tak nieszczęśliwi murzyni, zobowiązać panów ich tak okrutnych, ażeby wzięli ku ich pomocy te bydłeta, którychby żywienie prawie ich nic nie kosztowało. Z tego wszystkiego towarzysze moi oddali mnie tylko oslicę z osłęciem, z innemi niektóremi bydłętami, które w krótc-

ce

ce wymienię. Sznur, który przywiązałem przez frzodek łóżka, obwiodłem koło pierś oślicy, przywiązawszy go, żeby nie opadł, drugim sznurkiem po nadszyję, i koniec drugi także przez frzodek łóżka przywiązałem, tak że zamiast szleń mógł służyć.

Obróciwszy razy cztery, przewieźliśmy wszystko co było potrzebniejszego, żywność, naczyńia kuchenne, łóżka, klewicymbał, wiole, cztery kufry pełne bielizny i sukien, dwa inne z papierami muzycznymi, książkami, obrazami &c &c. deski, statki cieślińskie, stolarńskie i ślusarskie, sznury, goździki &c &c.

Weszliśmy oboje do lasu, bośmy nie śmieli i na moment jedno drugiego odstępować. Szukaliśmy takiego miejsca pewnego i wygodnego, gdziebyśmy mogli złożyć nasze bogactwa. Znaleźliśmy te same. Wszystkie nasze majątki tu był sprowadzony. Wyścierza i odwagi i mocy, kiedy  
na

na cudzą pomoc spuszczać się nie można. Buduję na prędce chatę z tarcic; używam piły, szlagi, fwidra, dłuta, ale nie używam ścieżki hibli, bo na ów czas bynajmniej niedbałem o kształt i piękność, ale tylko myślałem, jak uchronić od zwierząt drapieżnych.

Zostawiono mi z oslicą i osiołkiem dwie gęsi, które zaraz pierwszego dnia pozabijałem, ponieważ mocno krzyczały, i mogły wydać nasze schronienie; jednego barana i trzy owce, z których oto dwa widzisz skaczących na łące między pięcio iagniętami, które mam z nich przyplodku; psa i sukę, z których się uchowały te co znamy żyją; było ich więcej ale nie mogąc wyżywić, musiałem pogubić: nakoniec sześć kur, koguta i dwie par gołębki.

Sprowadziliśmy aż na te miejsce wszystkie te bydła i ptactwo, i wpędziliśmy w tę zagrodę, do której zrobiłem ścieżkę, po-  
wy-

wyrywawszy niektóre drzewka, które natychmiast znowu posadzałem, gdy już wszystko weszło, i zrobiłem furtkę jedną prostą, którą jeszcze widzisz, ale ta druga już lepiej jest zrobiona. Tamta nie podobałami się, dla czego wnoszę że się nas nie puſzcza próżność, choć żyjemy sami bez świadków, ponieważ córka moja zapewne nie była dla mnie świadkiem strasznym.

Te zakładanie pomieszkania sposobem tak nowym, mocno nas bawiło; nie pozwalało nam czasu, ani co robić, ani tęsknić, ani myśleć o nieszczęściu, a zatym niebyliśmy nieszczęśliwi. Nawet co raz bardziey utwierdzałem się w swym przeſwiadczeniu, iż to na tym mieyscu czekała nas prawdziwa szczęśliwość. Dnia jednego rzekłem do *Julij*, czas iest żebyśmy małemu naszemu Państwu dali, nie mówię kształt rządu, ten który w czasie, niestety! może aż nad to będzie porządny, ale



(\*) ale przynajmniej tylko nazwisko. Nazwiemy go *Wyspą Pokoju*. Mielśmy oboje pokoy serca - - - nie zdawało się, żeby tu znajdowały się zwierzęta żarłoczne, któreby żyły śmiercią drugich zwierząt. Oto pobudki nadania wyspie naszej tego imienia, które stanie się dla nas i dla potomstwa naszego pamiątką i godłem.

O bodayby wnukowie nasi po upłynieniu wielu wieków, nigdy nie znieważyli tego świętego nazwiska! Bodayby bracia nasi, którzy nie dawno odmienili okrutne pałazę, w statki i narzędzia rolnicze, nigdy im tego okropnego, co odebrali, nieprzywrócili kształtu! - - - To mówiąc spóyrzałem na *Julia* widząc że płacze i spytałem

---

(\*) *Eufemon* tłumaczył mi te słowa z uśmiechem, i jasno dał mi poznać, że każde Państwo, gdy do nawdoskonalszego zdaie się dążyć rządu, wten sam czas zakłada dla siebie grunt upadku.

tałem się iey o przyczynę. Spodziewam się rzekła, iż lemieże nie będą na broń przerabiane; zdatemi się, iż ludzie zaczynają przychodzić do rozumu, i czuć w sercach ludzkość, a ta uwaga niewyciska mi z oczu łez, tylko łzy słodkiego rozrzewnienia. Jesteśmy tu sami, iakże wnukowie nasi wyjdą z nikczemności, do której zdają się być wskazani? ta to uwaga, co mnie pogrąża w smutku i zabiia. Uspokój się, odpowiedziałem, uspokój się moje dziecko. Bóg temu zaradzi. Proroctwo się sprawdziło, znaleźliśmy cię mój kochany *Arycie*.

Chcąc ci powiedzieć, dla czego tę wyspę nazwaliśmy Wyspą Pokoju, przerwałem moją Historyę: wracam się do niej. Wprowadziliśmy dnia pierwszego nasze kury w tę zagrodę, ale uważywszy że gdakanie, a osobliwie śpiewanie koguta mogłoby nas wydać, rzekłem nazajutrz do *Fuij*, iż niebezpieczno jest trzymać ich przy sobie

fobie, i że potrzeba ie oddalić, choćby stracić przyszło. Oddałę ie, odpowiedziała *Julia*, i nie-straciemy ich przeto. Zrobię, iak będę mogła, wielki kurnik z iednemi tylko drzwiczkami z boku, nasypię węń ziarna, postawię go na ziemi, zawołam kur kur - - - które do ziarnia wniyda, we wnątrz, zaniosę ich z tąd opodał, dam im znowu ieść, będę co dzień o nich mieć też same staranie, to one ulubią te miejsce, będą ieść iasia po krzakach na około, z kąd będę chodzić ie-podbierać.

Przyprowadziła do skutku ten zamiysł. Stało się iak ona fobie obiecywała, a ieszcze i więcej, gdyż kuropatwy i bażanty, które się oswoiły z kurami, przyprowadzały co rok swoje stado, i tak mamy ptastwo i do stołu, i dla rozrywki.

Niemiałem ci ia w prawdzie zawsze ukontentowania patrzeć na nie, owżem przez lat trzy dawa-

dawały mi pobudkę do smutnych uwag; Ale mój przyjacielu, moje dziecko kochane, odtąd iak przyszedłeś cieszyć mnie w moiej starości, iak ten widok odmieniony iest dla mnie! Niewidzę ia w nim tylko obraz Rzeczypospolitey szczęśliwey, ktòrey masz być Oycem.

Było to na początku wiosny, gdyśmy się dostali na tę wyspę, a za tym był to czas naysposobnieyszy do budowy; chciałem z niego korzystać. Moia Córko, rzekłem do *Julij*, może nam przyidzie długo zostawać na tej wyspie, może też być, że tak na niej będziem szczęśliwi, iż nie zechcemy iey opuścić. Nie straciłem mey spokoyności, kiedy słyshałem, że wydawam wyrok na moje na tym miejscu dozgonne mieszkanie. Owszem przeciwnie, usiłowałem wszystko wczesnie przewidywać. Uważałem, że naypotrzebnieysza rzecz do mieszkania, są takie do okien. Wiem że nie iest rzecz trudna  
szkło

szkło zrobić, ale do tego potrze-  
ba wiele zachodu, wiele przygoto-  
wania, co niepodobna żeby czło-  
wiek jeden wydołał. Znaydowało  
się na Okręcie wiele tafel, które  
wieziono na Wyspy Indyjskie; pro-  
siłem żeby z nich mi co udzielono,  
dano mi dwanaście tuzinów, przy-  
dając niektóre żarty szyderskie,  
którymi dusze podle urągają się z  
cnoty nieszczęśliwey. Oto są te  
szkła zawinięte w szmatę starą,  
zdzadzomi się one do domu obszer-  
nieyszego, który budować zamy-  
ślam. Dostyc mi było tego, i nie-  
których naczyń, które mi także  
dano. Natura obdarzyła mnie  
dowcipem i odwagą, zobaczysz  
co ja porobię. *Julia* usmiechnęła  
się na tę mowę, uściśkała mnie i  
przyobiecowała, iż mi będzie po-  
magać w czym tylko zmoże. U-  
myśliliśmy zaraz następującey  
nocy iść o jakie kroków dwieście,  
szukać gliny i kamieni; które-  
śmy szczęśliwie wynalezli. ( to  
są prawdziwe skarby ) Nieśmia-  
łem



łem tam chodzić innego czasu, jak w nocy. Zobaczyłem cię idącego szukać kamieni, i z tego wniosłem, że na drugiej części wyspy znajdowali się ludzie.

Resztę dnia obróciłem na robienie niby karów, pod którymi uwiązałem dwa drągi do noszenia. Te kary były podługowate, a drągi po podnemi szły w poprzek; ponieważ forta do zagrody naszej była wązka, a potrzeba była tego, żeby niełatwo ją postrzedz. Przynosiliśmy co noc po pięć lub po sześć karów kamieni i gliny, a resztę nocy przepędzaliśmy w naszej chacie zrobionej z tarcic.

Dla teyże samey przyczyny, dla której w nocy tylko nosiliśmy kamienie i glinę, dla tey mówię samey przyczyny, obieraliśmy ścieżki porośnię murawą, aby naszych niepostrzeżono śladów; także wstawaliśmy bardzo rano nosić iść naszemu ptaśtwu, a resztę dnia niewychodziliśmy

z na-

z naszego zakąta. Mieliśmy do-  
fyc, i bardzo mile czym się w  
naszey odludności zabawiać.  
Czytanie i muzyka bawiły nas;  
mnie prace mey budowy, a *Julij*  
małe wprowadzie na pozor i drob-  
ne, ale pożyteczne roboty, któ-  
remi się w chacie zabawiała, czas  
mile zabierały. Im mniej bowiem  
spodziewaliśmy się pomocy i spo-  
sobu do życia, tym bardziej mu  
sieliśmy go szukać w naszym  
własnym przemyśle i pracy.

Niedaleko od naszego pomie-  
szkania wykopałem studnię: tę to  
samą, do której z taką ochotą  
chodzisz z wiadrami i innemi sta-  
tkami po wodę, dla ujęcia fatygi  
*Julij*. Osadziłem na wkoło tę stud-  
nię młodem i wierzbami, które  
teraz tak ją zakrywają cieniem;  
ale na ów czas słabo ją tylko bro-  
niły od upałów słonecznych. Tak  
mając wodę, kamienie i glinę,  
łatwo możesz pojąć, żem mógł  
murować. Nieoszczędzałem ma-  
teryałów na moję budowę; bo te  
T nie-

niekoſztowały mi, tylko pracy, ale też i nieużywałem ich nad potrzebę, bóm na nie pracować musiał. Wymurowałem ſciany ſzeroko na oſmnaſcie całów, a przemurowania przedzielające izby po prawey i lewey ſtronie, na ſtopę. Wyſokoſci murów wynioſłem tylko do ſtop dziewięciu, a ſzczyt aż do wierzchu tylko do ſtop pięciu, tak dalece, że wyſokoſci domu aż do ſamego wierzchu niebyło więcey, nad ſtop czternaſcie, a zatym drzewa na około ſtojące naymnieyſze, wyſokoſcią go ſwoią przenoſzą.

Trzecią część domu mego buďowałem na ſnicernię i kuźnię. Skorom ją dokończył, zrobiłem ſtoł robotą ſtolarską z dwóch tarcic dobrze ſpoionych i goździami zbitych, i poſtawiłem piec do grzania żelaza w wielkim ogniu z drzewianem, (ponieważ nie miałem ani miecha ani węgla.) Moie ſtutki, żelazo i część drzewa, zajmowały iak i teraz zajmują reſztę izby. Dru-

Druga izba, to ieſt ſzrednia ſłużyła nam za piekarnią i kuchnią. Trzecia tey przyległa, była naszym pokojem ſypialnym, izbą ſtołową, ſalą do koncertu, gabinetem nauk; a potym prawie przez trzy lata, gdy mamy ſzczęście żyć z tobą, ſtała ſię ona także pokojem do kompani.

Miałem czym zamknąć moje drzwi, okna i okiennice którem dałem wewnątrz. Miałem haki, zawiaſy, klamki, wrzeciądze, temi naybardziej były potrzebne ieżeby kiedy przyſzło zoſtawać w obłączeniu: dla tey to ſamey przyczyny niedawałem okiennic zewnątrz: i że zamek zewnątrz dałem tylko dla pierwſzych drzwi, chciałem, żebym w przypadku mógł ſię w momencie zatarasować i nie mieć czego ſię obawiać z dołu, gdy tym czaſem przez dziury w dachu umyſlnie na ten koniec pozostawowane, dawałbym ognia z ſtrzelby.

Za pomocą ognia, młota i kamienia arcy twardego, który mi służył za kowadło, prostowałem i kułem me gwoździe, iak mi było potrzeba. Dwóch tylko iezcze moiemu pomieszkaniu rzeczy niedostawało, i wybielenia we wnątrz i zewnątrz, i posadzki. Tenże piec mógł mi służyć do palenia i posadzki i wapna. Miałem kamienie; znalazłem od nieiakiego czasu żyłę gliny ganczarskiej; umiałem robić posadzkę, a to takim sposobem. Zylęm niegdys we Francyi w iedney małej wiosce arcy rokoszney, ze wsząd otoczoney lasami niedaleko miały *Point sainte -- Maxence i Senlis (\*)* zwanych, leżącey, w których i miałem przyiaciół, i z niemi przy-

---

(\*) Pokazano mi na iedney Mappie położenie tych miast i wiosek, o których była mowa. Od nieiakiego czasu nauczył mnie *Eufemon* iuż początków Geometrii, pokazawszy mi że Wyspania była tylko punktem na ziemi, nauczył mię rysować ją dokładnie.



przyjemnie żyłem. Byłem zupełnie szczęśliwym, i żałby mi było tey szczęśliwości, gdybym nie zaczął być szczęśliwym ie-  
szcze na tey wyspie, niżlim był niegdyś w tamtym pięknym kraju - - - Nieprzykrz sobie mój synu, że czasem historyę moję przerywam, wracając się do czasów dawnych: zwyczajna to jest wada starości, człowiek szędziwy mimo chęci przypomina swe dawne lata, nad któremi ma czego ubolewać, ieżeli ich na złe użył; przeciwnie zaś ma rokosz, przywodzić ie sobie na pamięć, ieżeli dobrze były użyte. Musisz, mój przyjacielu, widzieć z pogody iasnieiącey wtwarzy moiej, iak przepędziłem czas przez który żyłem w *Florynic*, tak się nazywa ta wioska o której ci mówię. Chcę, żebyś w niey kilka dni pomieszkał, ieśli się poda okoliczność iachania aż do Francyi: ale bodaybyś tey okoliczności nigdy niedoznał, ieślibyś nie-  
miał

miał powrócić do tej wyspy, zaludniać ją i uszczęśliwiać! Wracam się do mey historyi. Okolice Floryny, obfitują w glinę ganczarstką, prawie wszyscy wieśniacy bawią się robieniem posadzki; chodziłem często przypatrować się ich robocie i sam z niemi pracowałem. Rzemiosło, ich iak widzisz, stało się dla mnie bardzo pożyteczne.

Miałem nieco trudności w wynalezieniu mieysca na piec spofobnego, chciałem, żeby go wyfokie otaczały góry, ażeby z żadney strony niebyło widać dymu, i żeby na nich *Julia* straż odprawowała: nakoniec znalazłem mieysce, iakiegom żądał. Zwierchołku gór, co go otaczały, można było widzieć rościągłość całej prawie wyspy, i jeśli nie miał chatę, cobym był sobie za nie szczęście poczytał, to przynajmniej opasujące ją chrufty.

W dole między temi górami, zrobiłem piec z gliny i kamieni;  
a gdym

a gdym go ia murował, gdym drzewo rąbał, wustroniu od mey chaty odległym, gdym palił wapno i posadzki, córka moja przez ten czas, na iedney naywyższej górze, straż odprawowała. Jeśli by była zobaczyła co, czegoby się nam obawiać należało, powinna była głośno krzyknąć, pokazać mi z ktòrey strony, i iak nayprędzey uciekać zemną do chaty. Prawie sześc niedziel przeszło na tych pracach trudnych, na tych niespokoynych strażach, ktòrych tyś był nayszczegulnieyszym celem. Nareszcie mieliśmy czym chatę naszą pobielić, i w niej dać posadzkę.

To com ci dopiero powiedział o naszej boiaźni, mój kochany *Aryście*, wroiło w myśli moiey iedną baieczkę, (\*) względem tego

---

(\*) Wiedziałem, co to jest bayka; czytywałem bayki *Fontaina* i prawie wszętkiem rozumiał. *Eufemon* umiał tak dobrze wykladać, co się między ludźmi wspo-

tego co tey boiaźni było przyczyną. Słuchayże. Małe ptaszęta siedząc na jednym drzewie, zobaczyły człowieka chodzącego prędko, ale krokiem równym popolu, który ręką prawą machał, za każdym postąpieniem nogi prawey. Ten człowiek ich przestraszył, uleciały. W kilka dni potym, zobaczyły go na tymże polu, i postrzegłszy że nioś ziar-  
no, żałowały iż się ulęktły człowieka, który w rzeczy samey dawał im pokarm, a na rok następuiący gotował im ieszcze obfitszy. (\*)

Tenże sam piec, który mi służył do dwoiakuż użycia tak różnego, przydał mi się wkrótce ieszcze na trzecie. Moia glina była biaława i delikatna, umysli-  
łem więc narobić z niey garków,  
mis,

---

współczeństwie dzieie, żem to poymował  
bez wielkiey trudności

(\*) Zamiast uczynienia z tey bayki  
jakiego zimnego przystosowania, któ-  
rego łatwo było można domysleć, *Euse-  
femon* serdecznie mnie uściśkał.

mis, talerzy &c. dano mi trochę tego naczynia wyrzucając z okrętu, ale mogłem go przysposobić więcej, i przez prace uniknąć tęsknoty. Gotuję więc wszystko, co było potrzebne do tego nowego ziemiośla. Wśrodku iednego kłoca zakopanego w ziemię, wywiercam dziurę, w którą wbijam czop mocny; biorę potym dwa drągi które o podał od siebie łączę trzema czopami, między którymi w frzodku, w tym co miał być na spodzie, wywiercam dziurę obszernieyszą na wylot, a w wierzchnim dołek tylko wydrażam, ażeby nasadziwszy te krągi na czop wbity w kloc wkopany w ziemię, za ruszeniem nogą kręgu spodniego, mogły się razem łatwo obydwaj obracać. Postanowiłem potym blisko dwa kozły, i położyłem na nich tarcice, aby mi służyły zamiast stołu, naktòrymbym kładł glinę, stawiał wodę i zrobione naczynia... Ach mōy Synu! zawołał poczcwy siarzec,

mu-



musisz być bardzo dobry, że mi nie przerywasz, mówiąc, iż to wszystko wiesz tak dobrze iak i ja, i żeś ośiatnią razą zrobił ieden bardzo piękny kubek, z którego *Julia* ma wielkie upodobanie pić.

Resztę pięknych roku pory ona i ja obróciliśmy na opatrzenie się przeciw zimnu, i na przypodobienie na ten czas żywności. Naywięcey nazbieraliśmy kasztanów (\*) i tatarki, która tu sama bez uprawy roli rośnie; nazbieraliśmy także innych ziarn dla ptactwa; zrobiliśmy siano dla owiec; nawyciskaliśmy z różnych owoców przyjemnego soku, którym napełniliśmy pięć wielkich wiader, umyślnie na to zrobionych, Światła zaś mieliśmy świec około trzydziestu funtów.

Do

---

(\*) Przez dziewięć lat kiedym żył sam, nie miałem pomocy z kasztanów w mey żywności, w tey stronie wyspy, gdzie ja mieszkałem; także na mey i tatarki nie było.

Dopiero to, na następującą wiosnę, pokonczywszy różne moie rzemiosła, któremi bawić się musiałem, dla sporządzenia sobie wygodnego pomieszkania, zacząłem bawić się uprawą ziemi. Otrzymałem od towarzyszw moich kilka garści żyta Europejskiego, lnu, konopi i wiele innych nasion ogrodowych. Posiałem tego wszystkiego na pręcie w tym roku część iedną, a w następującym sto ziarn za iedno zebrałem; ale to aż dopiero na drugą wiosnę zacząłem używać wszystkich tych bogactw, samych prawdziwych, samych pożądaných, i dla zupełności uszczęśliwienia samych łatwych. Wtedy to dopiero także, owszem nieco ięszcze późniey, zobaczyliśmy, że nasz skarb, któryśmy posiadali od roku, pomnaża się. *Julia* w sześć prawie tygodni, po naszym na Wyspę przybyciu, usłyszała w bliskości tej zagrody huk pszczoł, i otym mi doniosła. Nadstawialiśmy

śmy ucha, i wysledzili ich siedli-  
sko. Od tego czasu codziennie  
pilnowała roju; upletła własnemi  
rękami ul z sitowia, w którymby  
go mogła osadzić. Doczekała się  
nakoniec tey roskoszy, tak czy-  
stej i tak słodkiej, przyniosła do  
mnie ten rój z tryumfem, ja  
zletka postawiłem go na płaskim  
kamieniu, którymem przygo-  
tował, na którym z przedniey stro-  
ny napisałem te Wirgiliusza sło-  
wa *CÆLESTIA DONA*, dary  
*Niebieskie*. Z tego to roju rozmno-  
żyły się cztery inne ule, te, co  
*Julia* tak wielkie ma upodobanie  
nazywać *ulami świętymi*. Jey to win-  
niśmy miód, ten balsam *Niebie-  
ski*, na którym zawsze kończemy  
nasze uczty, iey winniśmy воск,  
który w pośrodek ciemności, ży-  
we nam i piękne daie światło.

Z lnu i konopi, które w rok  
zbieramy, robię, iak widzisz róż-  
ne rzeczy, płótno, powrozy, sieci.

Jednego poranku przededniem  
zobaczyłem zwierza grubego,  
ktò-

który mi się zdał być niedzwiedziem, ale mógł to być inny zwierz iaki nie drapieżny. Wtęy niepewności zachowałem pod jedną wielką sieć, czwartą część owiec (\*) i wiązkę ziół różnych: przywiązałem do sieci dzwonek, abyśmy byli ostrzeżeni, kiedyby sieć upadła. Dzwonek zadzwonił, *Julia* bieży - - - Ty wiesz resztę historyi, od tego momentu tak szczęśliwego dla nas wszystkich.

Podziękowałem *Eufemonowi*, za rzeczy tak dziwne które mi opowiedział; nie przedstawiałem z nim o nich rozmawiać, a on powtarzał te, które mu większe wrażenia czyniły.

Tym czasem Synek mój włożył się koło nas i bawił. Cóż to za piękny wiek ta dziecinność, rzekł do mnie *Eufemon*! Przepędzi-

---

(\*) Czwarta część owiec, o których tu mówi *Eufemon*, były zawiązką ziela, a iam ich niewidział, ani wchodząc pod sieć ani z niej wychodząc.

dziliśmy więcej dwóch godzin, ia na opowiadaniu, ty na słuchaniu, a dla syna twego największe, o których tu mówiłem, rzeczy, są tylko frazdkami. Nic on nie znajdzie, coby było godnym bawić go, tylko rokosz, tak rzekę, rozwijania się, ruszania i rośnienia.

Dziwujemy się mądrości Boga, który chciał, ażeby dzieci niewidzieli, tylko to, co się znajduje przed ich oczyma, i niepoznawali niebezpieczeństw, tylko przytomne: nie mają one ani mocy, ani sposobu uniknienia tych, co są dalekie. Potrzeba było, żeby takie my tylko poznawali, którzy się możemy od nich, albo uchronić, albo odprowadzić. Uczmy dzieci mianowicie przez doświadczenia które ich niepokosztują, poznawać niebezpieczeństwa, i od nich unikać. Dopuszczmy niech padają; nie upadną z wyfoka, upadki ich niebędą szkodliwe. Pozwólmy im czasem no-  
za



ża, ieśli się zranią, rana ich niebę-  
dzie głemboka, atym czasem do-  
fyc tego będzie, dla uczynienia ich  
bacznieyszemi i ostróżnieyszemi  
nato, co im szkodzić może. Ale  
im bardziey powinniśmy się spie-  
szyć nauczać ich tego, co im do  
ich zachowania służy, tym mniey  
powinniśmy zatrudniać ich wia-  
domościami dowcipnemi i praco-  
witemi; które tylko umysł osłabia-  
ią, i wyniszczaią pierwey nim  
zostanie uformowany. Nienale-  
żałoby, niechcąc natury gwałtem  
przymuszać, zafadzać pilnie do  
umiejętności i wyzwolonych na-  
uk człowieka młodego, tylko aż  
kiedy iuż rość przestaie, to iest  
około lat dwudziestu.

Gniewałbym się, do tego roku  
młódź zostawować bez cwiczenia,  
bez nauk, i iak mówią bez edukacyi  
Chciałbym tylko, żeby różnemi  
czasami przy okolicznościach rozsą-  
dnie rządzonych, dawszy iey do-  
brze poznać potrzebę, lub poży-  
teczność rzeczy, którey chcemy  
uczyć

uczyć, uozono tylko prawdziwych początków, a zostawowano, żeby młódź sama szła daley. Chciałbym, ażeby dobrze wyrozumiawszy skłonności i zdatność młodzieży, raczey miarkowano i wstrzymowano nieco iey żywość, z którąby chciała lecieć za swoim gustem, i niedopuszczono iey nigdy unosić się za swym zapędem, bo byłaby zbyt żywa, i wyniszczyłaby się; późniefy tego lękać się nie trzeba; gorącość nie co oftygnie, żywość zwolnieie. Chciałbym także aby zawczasu w młódź wszczepiano początki religij, mówię żeby wszczepiano; ponieważ iey tylko wykłady i to dalsze uczaią się, i są udziałem rozumu. Sercem to nie rozumem należy być Chrześcianinem, sercem potrzeba czytać Ewanegelią i wykonywać ją, iako sercem człowiek iest pocziwy, łagodny, dobroczynny, ludzki &c. *Umiejętność nas w pyche wprowadza, a miłość sama czyni nas godnemi zalety,* mówi Apostoł.

Ten

Ten ięzyk nie iest więcey dla ciebie niezrozumianym inoy synu, czytanie Xiąg świętych zaczyna ci być łatwe do zrozumienia, i ia z radością patrzę, że zawarty w nich duch Boży wchodzi do serca twego:

Na tymesmy byli, kiedy *Julia* przyszła nam oznaymić, że obiad gotowy. Ani *Eusemon*, ani ia niepomyśliliśmy żeby iuż była godzina obiadu. Byłem wszystek zanurzony wtym, com słuchał, zapomniałem o wszystkim, nawet prawie zapomniałem o *Julij*. Jej przytomność rozproszyła te zachwycenie, które wszystkie moie władzy w zachwyceniu trzymało. Starzec z początku spóyrzał na swoją Còrkę okiem roztąrgnionym, potym zaraz miłosnym; mój syn tak się pilnie bawił, iak my pilnie rozmawiali; ale iak tylko zobaczył *Julie*, zaraz zawołał, *mama mama*, i porzuciwszy dzbie, z których sobie czynił

pobiegł ją całować; myśmy ją ucałowali po nim, i poszli do stołu.

Kochałem żonę moją miłością spokojną, co szczęśliwość naszą stanowi w naywyższym stopniu, Niestety niewierzyłem, żeby ta miłość potym, przynajmniej przez nieiaki czas, udręczenie mi sprawowała.

Potym iak mi się urodził syn, zostałem Oycem iedney córki. *Julia* powiła mi ieszcze córek trzy, i synow dwa przez lat dzieścięć, które przepędziliśmy na wyspie, bez innych przypadków wielkich, prócz tych, które prawdziwie są wielkimi dla serc zdolnych czuć, iak powinny im wielkimi zdawać się nawet w Kraiu, któryby już był zaludniony.



*Jeden przypadek nas przestrasza.*

Już upłynęło lat szesnaście iak *Eufemon* i *Julia* wzajemnie sobie na WYSPIE POKOJU, sprawowali-

walifmy uszczęśliwienie, już trzynaste lat było, iak iadzieliem z niemi i powiększał im też szczęśliwość. Dnia czwartego miesiąca Kwietnia M. D. - - - postrzegliśmy z daleka iakiś przedmiot, któryśmy wzięli za drzewo pływające. Mnie zdał się być tak tylko wielkim, iak pomierna gałąź, ale od dawnego czasu wiedziałem, i nawet bez nauczyciela, iak powiedziałem na innym miejscu, nauczyłem się pierwszych *optyki* prawideł. Zobaczyłem że *Eufemon* i *Julia* przestraszeni blednieją, poglądają na siebie i na mnie, zobaczyłem tży w ich oczach. Niewiedziałem co o tym myśleć... Szczęścieli to iest, czy nieszczęście, które się do nas zbliża, zawołał *Eufemon*? Co zaś, rzekłem mu, alboż to nie iest drzewo? Ach! mōy Synu, nie drzewo to iest ale cale rzecz inna! Ten przedmiot dwadzieścia razy od nas iest oddalony, a przeto dwadzieścia razy iest



większy, niżeli się tobie wydaie. W tym samym czasie dobywa perspektywy, którą zawsze nosił przy sobie; daie mi ją, patrzę i widzę bat płynący ku nam z rozpuszczonemi żaglami. Znowu on patrzy i po kilku minutach oddaie mi ją. Patrzę powtórnie, aż ten bat przynajmniey pięć razy pokazuje się większy, niż pierwiey; był to okręt. Nietraćmy czasu, rzekł na ów czas *Eufemon*. Prawda iest, że ta wyspa niema w sobie żadnego kruszcu, ani żadney inney rzeczy, które drogiemi zowią; a tak możemy się spodziewać, iż nikt nie przyidzie mieszać nam spokoyności, którey tu używamy. Potrzeba iednak mieć ostróżność. Idźcie do chaty oboie, i zatara- fuycie się. Ty møy Synu weź brón, a ty mola córka, trzy- may się przy nim z dziećmi, to on będzie niezwyciężony. Co do mnie, ia będę uważał wfzytko, powdę upatrywać co to iest, i iesli zobaczę niebezpieczeństwo, będę ufiło-

uśliwać schronić się do chaty. Jeślibym do niey uciec niemógł, bez wystawienia was na niebezpieczeństwo, udam się w inną stronę; pociągnę nieprzyjaciela za sobą, postompię tak, żebym tylko sam zginął, i będę się miał za szczęśliwego, tym sposobem umierać....

Ja z *Julią* podamy do nog iego, błagamy go, aby nas nieopuszczał, i nie podawał się na niebezpieczeństwo tak, żebyśmy go my z nim niedzielili, i niepierwiefy z stąpili ze skały iść bronić naszych dzieci, aż nam przyobiecał, że w krótcie przyidzie, albo się z nami bronic razem, albo razem umierać.

Niebawiać przyszedł. Tylko cośmy nasze dzieci zgromadzili, tylko com, pozamykawszy okna i drzwi, wziął się do broni, na tychmiał słyszemy głos zadychany. *Cieszcie się, cieszyć, to są Francuzi.*

Wybiegamy czym prędzey przyimuiemy go i ściskamy: wszyscy iego wnukowie, nawet do najmłodszego, który jeszcze i  
iedne-

jednego słowa wymawiać nieumiał, złączyli się z nami, żeby go całować. Wyciąga ku niemu rączki, uśmiecha się i wydziera się z rąk matki, żeby go ucałował. Pocciwy starzec skrapia łzami radości te dziecko, i mówi do nas. Ach moje dzieci! iaka lubość w mym się sercu rozplywa! doznaię iak was kocham; nigdy tey miłości tak żywo niedoznał; uczułem, że się wemnie cała moc, cała mey młodości siła odradza, iak skoro potrzeba było bronić życia wasze.

Szedłem otwarcie prawie aż do samego brzegu, wzrok mój znała się utwierdził; postrzegłem banderę białą, i rozpoznałem ją z daley, niżbym był mógł przed trzydziestą laty --- Idźmy ofiarować naszym gościom małą naszą pomoc, idźmy, to są francuzi, to są nasi przyjaciele, nasi bracia --- Niestety! czemu to nie wszyscy ludzie są sobie przyjaciółmi i bracią?

Ja pierwszy idę z taką radością, z takim pośpiechem, iak człowiek poczciwy, który pierwszy raz znalazł sposobność stania się pożytecznym. Już część ekwipażu była na lądzie; wzywano mnie przez znaki, żebym się zbliżył, ale próżnoby mi dawano znaki przeciwne, próżnoby grożono, żebym nieprzystępował; tak kontent byłem z widzenia ludzi wielu razem, żebym się do nich przez ogień przedzierał. Wtedy to ja poczułem, że my z natury lubiemy społeczeństwo. *Mòy* Oyciec, żona, dzieci, szli za mną zdaleka; skoro się ukazali, wszyscy lud zaczął spieszyć się do brzegu. *Mòy Synu, mój synu* zawołał starzec, idź im powiedz, *niebóycie się, my jesteśmy Francuzi, niema prócz nas nikogo na tej wyspie.* Zatrzymano się tym chętnie, że niechciano tylko się zabezpieczyć przeciw napadnięciu. *Eufemon Julia* i nasze dzieci nadeszli: zaczękano na nich  
nie

nie mnie to bowiem chciano wy-  
pytywać się, ponieważ z mego  
podziwienia i niejakiego zachwy-  
cenia wnoszono, że nie byłem  
przyzwyczajony do widoków sztuki,  
i że te wszystkie, co były ra-  
zem przed moimi oczyma, od-  
bierały mi władzę odpowiadania.  
Komendant okrętu spytał się *Eufemona*, i jeśli to prawda, żeśmy  
byli sami tylko mieszkańcy tej  
wyspy. *Eufemon* zapewnił go, że  
tylko sami. Spytał go znowu  
przypatruiąc się mi pilnie,  
czyśmy wszyscy byli Francuzi?  
Odpowiedziałem mu, że ja byłem  
Anglik. *Eufemon* mi to powie-  
dział, dowiedziawszy się z napisu,  
(o którym wzmiankowałem wy-  
żej,) Jestem Anglik, ale ściśle  
sprzymierzony z Francją (poka-  
zując na *Eufemona*, *Julia* i moje  
dzieci) a co ci bardziej jeszcze  
powinno dogodzić, jestem obywa-  
telem świata, iak kolwiek obzer-  
ne słowu temu nadaśz znaczenie.  
Jesteś Anglikiem, odpowiedział?

Może



Może to ten sam iestós, któregó mi szukać zlecono. Od któregóż tu czasu zostaiesz, i iak tu żyiesz?

Niedobrze iest całą prawdę odkrywać: wygadałem się wiele, *Eufemon* drżał z boiaźni o mnie; zapomniałem wtyń momencie nauk roztropności, które mi ón dawał, i nierozumiejąc żeby kiedy potrzeba było żałować zbytniej szczerości i otwartości, zacząłem odpowiadać na iego pytania. Przez długi czas żyłem sam na tey wyspie; wczasie znalazłem dwoie innych ludzi; oni mnie nauczili mówić, żyć wspoteczestwie; spoteczestwo zniemi, ofobliwie z tą kobietą, zdałomi się być bardzo rozkoszne. Ona i ja iesteśmy rodzicami tych dzieci, które około nas widzisz. Pytasz się mnie, iak długo tu żyję? mam prawie lat trzydzieści siedm, a miałem piętnaście, gdy mnie tu przyprowadzono. Możesz pòysć i zapewnić się o tyr z iednego napisu, który  
tam-

tam w dole znaydziesz ! ---- Z napisu, odpowiedział dobywając z kieszeni papieru, niezaczynaśz się ón od tych słów? Dziewiątego maja M. D. *mocą wyroku Króla Jmści P. N. M.* --- Tak iest, tak, odtych się ón słów zaczyna, któres dopiero przeczytał, a kończy następującemi: *wysadziliśmy na tę pustą wyspę niewolnika stanu, który nigdy niewidział świata, nigdy nie-mówił i nigdy nieśłyszał mówiących. Był w roku piętnastym wieku swego.* Nie toż zawiera w sobie twój papier? Tak iest odpowiedział tonem surowym, na który poczuwałem się żem niezasłużył, i który dla tey przyczyny mnie obraził, tak iest, właśnie to mój papier to zawiera, i ty iestes ów niewolnik stanu którego ja szukam. Przykazuie ci imieniem Króla Pana mego, ażebyś wszedł na ten okręt, i płynął ze mną do Anglij. Ty mi rozkazuiesz? --- ze strony iakiegoś Pana? --- Jdź, ja nie znam  
za-

żadnego Pana prócz BOGA który mi nic nieroskazuje. (\*)

Bojąc się dalszych skutków, któreby mogła pociągnąć moja odpowiedź, biegnę na bliską skałę, ale bez żadnego umysłu, nienamysłiwszy się nawet, ieślibym miał iść bronić się wchacie, albowi też uciekać i skryć w głębi lasu, ponieważ to wszystko zdawało mi się być rzeczą niepodobną. Nieocalałem w sobie, tylko naymnieszczęść część mnie samego: zostawiałem w ręku moich nieprzyjaciół *Eufemona*, *Julie* i moje dzieci. Patrzałem z okropną niespokojnością na to, co z tąd miało wyniknąć. *Eufemon* miał z Komendantem rozmowę dosyć krótką, i bardzo spokojną, po której On, *Eufemon*, *Julia* i moje dzieci weszli do okrętu. Ledwie co z nich weszło ostatecznie, już ia także ze ska-

---

(\*) Mówiąc właściwie Bóg nam nie roskazuje, wlał on w serce nasze nasłono, jak mówią i pragnienie tych rzeczy, których po nas wyciąga.

skąły skoczyłem. „ Niegodni  
„ møy wolności i szczęścia mego  
„ towarzysze, więc wy upodlacie  
„ się aż do tego stopnia, że chce-  
„ cie mieć nad sobą Panów? Pa-  
„ nów, którzy rozkazują? War-  
„ ciście żebym was opuścił, z  
„ tym wszystkim idę za wami,  
„ ponieważ was jeszcze kocham;  
„ ale nikomu nie będę służyć,  
„ nikomu nie będę podlegać.

Nazbyt prędko sądzisz, møy ko-  
chany *Aryście*, rzekł mi łagodnie  
*Eufemon*. Przypomni sobie iak  
pod cieniem tych buków, które z  
tąd widzimy po prawey stronie  
skąły BOSKIEY, przekładałem ci  
ostatnią razą prawa społeczności,  
i iak musiałeś przyznać, iż nie jest  
to nieszczęście mieć nad sobą Pa-  
na, ale go potrzebować. Tyś mą-  
drze : wniosł z tego zdania, iż  
człowiek pocziwy, mówiąc wła-  
ściwie, niepodlega posłuszeństwu,  
kiedy Pan iego wyciąga po nim  
iakiey rzeczy sprawiedliwej, po-  
nieważ on nawet bez swego Pana,

włó-

włożyłby na siebie te prawo, i że gdy Pan więcej od niego wyciąga, niżeli pozwala słuszność, albo się uchyla bez luntu, i bez gwałtowności z pod jego władzy, albo, jeśli się nie może uchylić, to tylko potrzebie ulega, a zatym w jakim bądź z tych rozumieniu, zawsze poczciwy człowiek niema nad sobą Pana. Widzisz mój przyjacielu, ja ci własne twoje zdania przypominam użyż ich dla umiarkowania swych zapędów, a teraz mnie posłuchaj.

Jeśli *Williams* Komendant tego okrętu, mówił do ciebie tonem surowym, to nie dla tego, żeby miał być twoim nieprzyjacielem: widział on iakęś się rodził, był on tknięty twoją nieszczęśliwością, szuka cię od dawnego czasu, i mimo głębokiego sekretu, który się zachowuje względem twego losu, wynalazł twoje schronienie. On cię tu przychodzi szukać, i ofiarować ci swą pomoc. Rozumiał, iż cię zobaczy takim, iakiś wyszedł z



rać natury; znajduie cię nauczono-  
nego, i mówiącego mądrze z szla-  
chetną śmiałością; chce wiedzieć,  
iakbys tak długo żyjąc wolnym,  
przyiósł rozkazy, któreby ci dano  
groźnie. Daie ci ie, ty mu odpo-  
wiadasz tonem odważnym, który  
go w podziwienie wprowadzicie, i na-  
tym kończy się komedya: powiem  
ci zaraz, cośmy z sobą ułożyli,  
ieżeli nato przyśtaniesz.

Król Angielski ani rozkazał,  
ani zabronił wyprowadzić cię z  
mieysca tego: bez wątpienia ten  
Pan nie myśli więcej o tobie.  
Zostawił cię na staranie Opatrz-  
ności, i spokojny zostaje wzglę-  
dem swego szczęście. Z swoiey  
to własney pobudki *Williams* uśiadł  
na okręt Francuski, żebyć za pro-  
wadził do Francij, pokazał ci  
obyczaje ludzkie, i ieśli zechcesz  
owrócić odprowadził cię znowu  
tę wyspę. Dwoie małżonków  
wielu dzieci, których widzisz

na pokładzie okrętowym, (\*)  
 różnych przeciwności doznali na  
 wyspach; teraz bez wątpienia za-  
 cznie się ich szczęśliwość, gdyż  
 sprzykrzywszy sobie obłudę, albo  
 raczey dziwactwa fortuny, chcą  
 z drugą familią, która za niemi  
 przyiedzie, zaludnić iaką pustą  
 wyspę, i z pomiędzy innych obio-  
 rą **WTSPE POKOJU**. Zapewnia-  
 ią mię w tym co mówią, nietyl-  
 ko *Williams*, który się zdaie być  
 człowiekiem poczcivym, ale też  
 ci dwa zacni i szczerzy moi w *Ar-  
 tezij* współziomkowie, (\*\*) z swo-  
 iej poczcivosti od dawnego cza-  
 fu dobrze mi fwiadomi. A tak  
 mój przyiacielu, możesz iachać  
 z *Julią* i z niektórymi twemi  
 dziećmi, te zaś które tu zosta-  
 wisz, i ja, będziem drogim za-  
 kładem

---

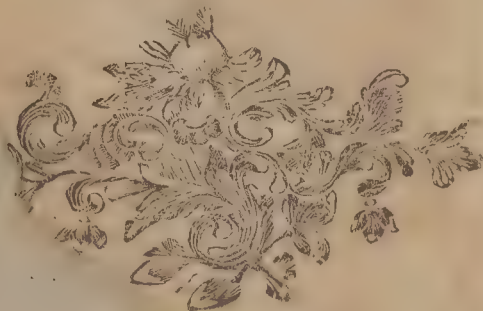
(\*) *Eufemon* rysował mi domy, miasta,  
 fortece, okręty, i nauczył mnie architek-  
 tury cywilney, militarney, hydrauliczney.

(\*\*) *Eufemon* pokazując mi na mappie  
 Prowincyą *Artezij*, powiedział od da-  
 wnego czasu, że to była jego oyczy.

kładem, dla którego musisz powrócić; zrobisz przymierze z dwoma familiami, które się ze sobą mają złączyć, i ta wyspa stanie się wyspą pokoju, niewinności, zaludnienia, szczęśliwości. Ale radbym iak najprzede dowiedzieć się początku tej kistoryi, którego ty niewiesz. *William* przyobiecał, że mi go opowie.

**KONIEC CZĘSCI PIERWSZEJ.**

Wtóra część w druku



z po-  
rze z  
e zna-  
a sta-  
vinno-  
ści - -;  
ey do-  
kisto-  
*Willi-*  
powie.

SZER.









Biblioteka Jagiellońska



stdr0025808

